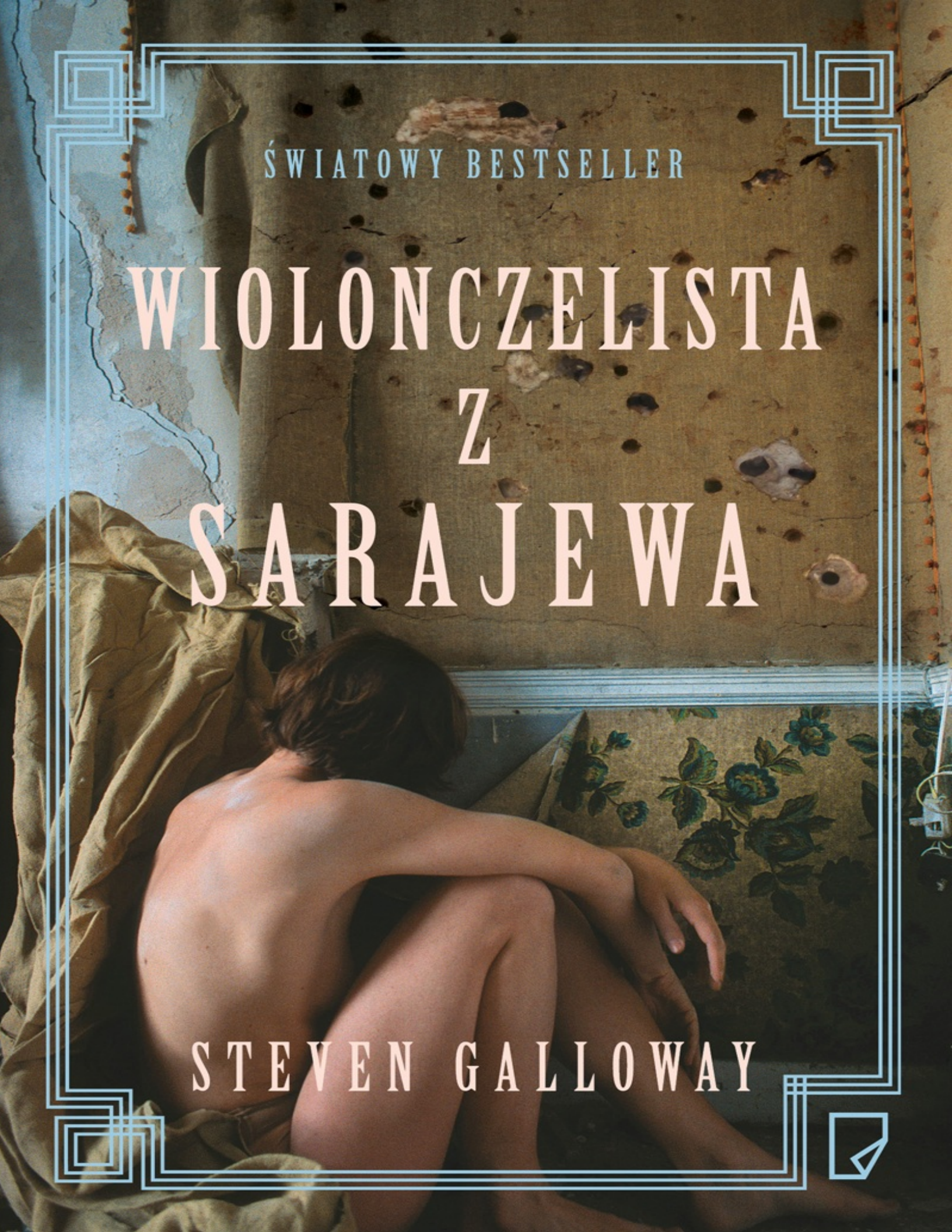
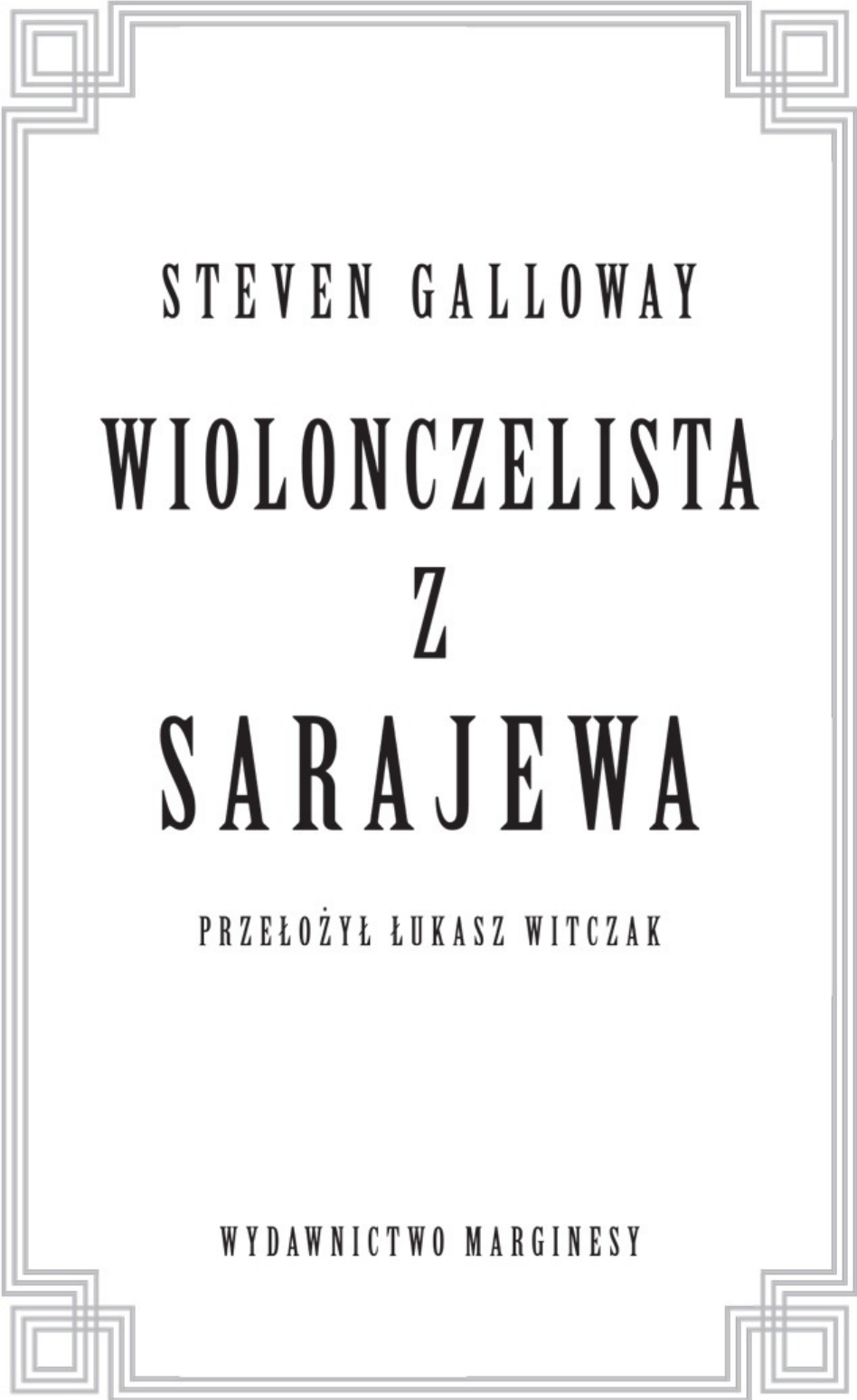


ŚWIATOWY BESTSELLER

WIOLONCZELISTA Z SARAJEWA

STEVEN GALLOWAY





STEVEN GALLOWAY

WIOLONCZELISTA

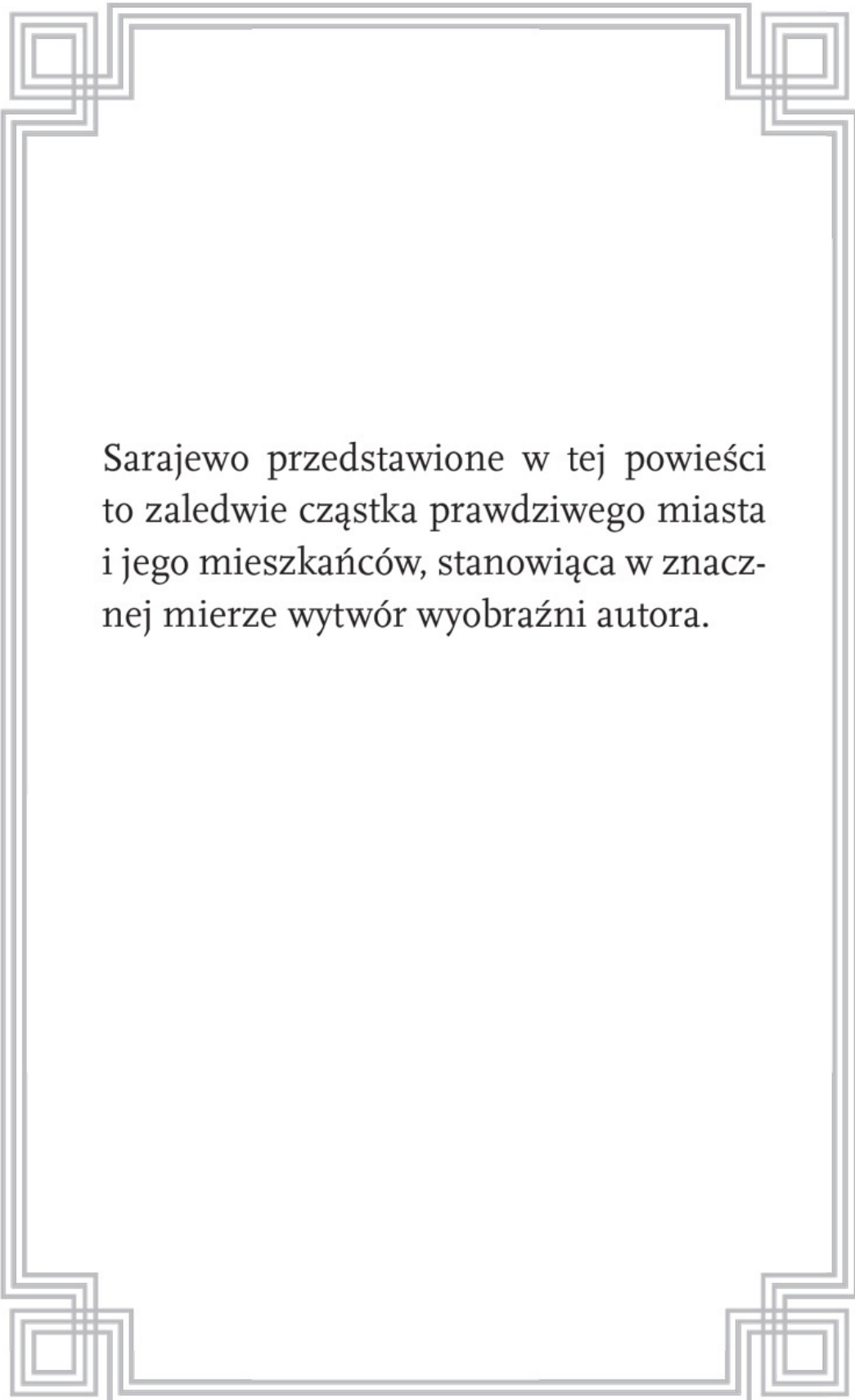
Z

SARAJEWA

PRZEŁOŻYŁ ŁUKASZ WITCZAK

WYDAWNICTWO MARGINESY

dla lary



Sarajewo przedstawione w tej powieści to zaledwie cząstka prawdziwego miasta i jego mieszkańców, stanowiąca w znacznej mierze wytwór wyobraźni autora.



Możesz nie interesować się wojną,
lecz wojna interesuje się tobą.

LEW TROCKI

WIOLONCZELISTA

Pocisk spadał z ostrym gwizdem, bez trudu rozdzierając niebo i powietrze. Odległość szybko malała, cel powiększał się z każdą sekundą. Jeszcze przez krótką chwilę wszystko było po staremu. Potem cały widzialny świat eksplodował.

W 1945 roku w gruzach zbombardowanej biblioteki w Dreźnie pewien włoski muzykolog natknął się na cztery takty partii basowej z pewnej sonaty. Uznawszy, że są one dziełem siedemnastowiecznego weneckiego kompozytora Tomasa Albinoniego, przez dwanaście lat starał się na podstawie osmalonego fragmentu zrekonstruować cały utwór. Tak powstała kompozycja zwana *Adagiem Albinoniego*, niepodobna do twórczości tego artysty i uznana przez większość badaczy za mistyfikację. Jednak nawet ci, którzy kwestionują autentyczność dzieła, nie potrafią odmówić mu piękna.

Pół wieku później właśnie ten paradoks wzrusza wiolonczelistę. To, że coś zostało nieomal unicestwione w gruzach zniszczonego miasta, by następnie odrodzić się w nowym, wartościowym kształcie, daje mu nadzieję. Nadzieja to jedno co pozostało mieszkańcom oblężonego Sarajewa, lecz ubywa jej z każdym dniem.

Dlatego codziennie, a więc również dzisiaj, wiolonczelista siada przy oknie swojego mieszkania na pierwszym piętrze i gra, dopóki nie odzyska nadziei. Rzadko wykonuje *Adagio*. Zazwyczaj kiedy gra, wstępują w niego nowe siły, jak w tankowany samochód. Ale nie zawsze. Jeśli przez kilka godzin nie udaje mu się obudzić w sobie nadziei, robi przerwę, zbiera się w sobie, po czym sięga po smyczek i przywołuje *Adagio Albinoniego* – z wypalanej skorupy Drezna do podziobanych przez moździerze, pełnych snajperów ulic Sarajewa. Gdy wybrzmiewają ostatnie dźwięki, jego serce znowu bije nadzieją; jednak za każdym kolejnym razem jest mu trudniej i wie, że moc *Adagia* kiedyś się wyczerpie. Może je zagrać skończoną liczbę razy. To skarb, którego nie wolno mu roztrwonić.

Kiedyś było inaczej. Jeszcze nie tak dawno wszystko zapowiadało szczęśliwą przyszłość. Pięć lat temu na weselu siostry pozowali całą rodziną do zdjęcia; ojciec obejmował go ramieniem, ścisnął mocno za bark. Był to silny uścisk, niejeden człowiek na jego miejscu poczułby ból, ale wiolonczelista czuł wtedy coś odwrotnego. Te mocno zaciśnięte palce przypominały mu, że jest kochany, zawsze był kochany, a świat jest miejscem, gdzie dobro znajduje drogę do ludzkiego serca. Choć zrozumiał to już wtedy, oddałby prawie wszystko, by cofnąć się w czasie i przeżyć to jeszcze raz w zwolnionym tempie, choćby po to, by lepiej zapamiętać tamtą chwilę. Chciałby znów poczuć na ramieniu dłoń ojca.

Już wie, że dzisiaj nie będzie *Adagia*. Gra dopiero pół godziny, ale od razu poczuł się nieco lepiej. Na zewnątrz ludzie czekają w kolejce po chleb. To pierwsza dostawa od ponad tygodnia. Przez chwilę rozważa, czy do nich nie dołączyć. Stoi tam wielu jego znajomych i sąsiadów. Postanawia jednak, że na razie zostanie w domu. Jeszcze nie skończył.

Pocisk spadał z ostrym gwizdem, bez trudu rozdzierając niebo i powietrze. Odległość szybko malała, cel powiększał się z każdą sekundą. Jeszcze przez krótką chwilę wszystko było po staremu. Potem cały widzialny świat eksplodował.

Kiedy moździerz zniszczył gmach opery, wiolonczeliście zdawało się, jakby znajdował się w środku, a cegły i szklane odłamki, dawniej spajające konstrukcję, stały się pociskami, raniły go i kaleczyły nie do poznania. Był pierwszym wiolonczelistą Sarajewskiej Orkiestry Symfonicznej. Wówczas wiedział, kim jest. Przemieniał ideę muzyki w rzeczywistość. Na scenie, w eleganckim smokingu, stawał się jej narzędziem. Dawał słuchaczom to, co sam kochał najbardziej na świecie. Był solidny jak uścisk dłoni ojca.

Teraz nie dba o to, czy ktoś słucha jego gry. Smoking od dłuższego czasu wisi nietknięty w szafie. Działa na wzgórzach otaczających Sarajewo rozbiły wiolonczeliste, tak jak rozbiły gmach opery, tak jak rozbiły pewnej nocy jego rodzinny dom, w którym spali ojciec i matka, tak jak prędej czy później rozbiją wszystko.

Geografia oblężenia Sarajewa jest prosta. Miasto zajmuje długi, równinny pas otoczony zewsząd wzgórzami. Żołnierze wojsk oblężniczych kontrolują wszystkie wzgórza oraz kawałek płaskiego terenu pośrodku miasta, w dzielnicy Grbavica. Z moździerzy, czołgów i granatników ostrzeliwują resztę miasta, która broni się przy użyciu karabinów i jednego czołgu. Sarajewo jest niszczone.

Wiolonczelista nie wie, co stanie się za chwilę. W pierwszym momencie jego umysł nawet nie zarejestruje wstrząsu spowodowanego upadkiem pocisku. Będzie długo stał w oknie i patrzył. Wśród paniki i pożogi ujrzy kobietą torebkę, umazaną krwią i obsypaną odłamkami szkła. Nie będzie wiedział, do kogo ona należy. Potem spojrzy pod nogi, na smyczek, który upuścił, i wyczuje głęboki związek między tymi dwoma przedmiotami. Nie zrozumie jego istoty, lecz mimo to rozbierze się, podejdzie do szafy i zdejmie ze smokingu plastikową folię.

Przez całą noc i cały następny dzień będzie stał przy oknie. O czwartej po południu, równo dobie po tym, gdy pocisk z moździerza runął na jego sąsiadów

i znajomych stojących w kolejce po chleb, schyli się po smyczek. Wąskimi schodami zniesie wiolonczelę i taboret na dół, na opustoszałą ulicę. Usiądzie w niewielkim kraterze powstałym wskutek wybuchu. Wśród trwającej dookoła wojny zagra *Adagio Albiniego*. Będzie je grał codziennie przez dwadzieścia dwa dni, bo tyle osób zginęło w eksplozji. W każdym razie spróbuje. Nie będzie wiedział, czy przeżyje. Nie będzie wiedział, czy wystarczy mu *Adagiów*.

Na razie wiolonczelista niczego nie podejrzewa. Siedzi w słońcu i gra, nieświadomy. Ale pocisk został już wystrzelony. Spada z ostrym gwizdem, bez trudu rozdzierając niebo i powietrze. Odległość szybko maleje, cel powiększa się z każdą sekundą. Jeszcze przez krótką chwilę wszystko będzie po staremu. Potem cały widzialny świat eksploduje.

I

STRZAŁA

Strzała mruży oczy. Długo czekała. Przez celownik karabinu widzi trzech żołnierzy stojących przy murku na wzgórzu nad Sarajewem. Jeden spogląda na miasto, jakby coś sobie przypominał. Drugi wyciąga zapalniczkę i podpala trzeciemu papierosa. Nie mają pojęcia, że ktoś do nich celuje. Pewnie im się wydaje, że znajdują się w bezpiecznej odległości od frontu. Mylą się. Być może sądzą, że budynki stanowią wystarczającą osłonę. Są w błędzie. Mogłaby w każdej chwili zabić jednego z nich, a może nawet dwóch. I niebawem to zrobi.

Ci trzej mają powody, by czuć się bezpiecznie. Gdyby mierzył do nich ktoś inny, raczej nie mieliby się czego bać. Kilometr to duża odległość; karabin Strzały, taki sam, jakiego używają prawie wszyscy obrońcy Sarajewa, ma zasięg ośmiuset metrów. Powyżej tej odległości szanse trafienia do celu są znikome. Ale nie dla Strzały. Ona potrafi posłać kulę tam, gdzie inni strzelcy nie umieją.

Dla większości snajperów strzelanie z dużej odległości to połączenie sztuki obserwacji z matematyką. Trzeba oszacować siłę i kierunek wiatru oraz dystans. Obliczenia muszą uwzględniać prędkość pocisku, grawitację, moc powiększającą celownika. Zupełnie jak przy rzucie piłką. Piłki nie rzuca się prosto w cel, ale nadaje się jej trajektorię, która się z nim przetnie. Strzała nie dokonuje pomiarów, nie bawi się w obliczenia. Po prostu posyła kulę tam, gdzie trzeba. Nie bardzo rozumie, dlaczego innym snajperom sprawia to kłopot.

Jej stanowisko znajduje się w szkielecie wypalonego wieżowca biurowego, kilka metrów od okna z widokiem na południowe wzgórze. Nawet gdyby ktoś uważnie się przyglądał, trudno byłoby mu dojrzeć drobną młodą kobietę z czarnymi włosami do ramion, przyczajoną w dymiących gruzach kiedyś normalnego życia. Leży na brzuchu, nogi ma częściowo zakryte starą gazetą. Jedyne, co mogłoby ją zdradzić, to jej duże, jasne niebieskie oczy.

Strzała uważa, że nie ma nic wspólnego ze snajperami na wzgórzach. Bierze na cel wyłącznie żołnierzy. Oni strzelają do bezbronnych mężczyzn, kobiet i dzieci. Za każdym razem, gdy pociągają za spust, chodzi im o coś więcej niż o zabicie człowieka. Usiłują zabić Sarajewo. Każda śmierć pustoszy miasto jej młodości równie dotkliwie jak granaty spadające na budynki. Żywi oprócz towarzysza tracą również wspomnienie miasta, w którym człowiek mógł przejść na drugą stronę ulicy bez obawy, że ktoś go zastrzeli.

Dziesięć lat temu, kiedy miała osiemnaście lat i nie mówiono na nią Strzała, pożyczyła od ojca samochód i pojechała na wieś odwiedzić znajomych. Dzień był

słoneczny, bezchmurny, auto zdawało się jechać samo, jakby kierowane siłą przeznaczenia według jakiegoś tajemnego planu. Za którymś zakrętem w radiu puszczono jedną z jej ulubionych piosenek, słońce przeświecało przez drzewa niczym przez koronkowe firanki, przypominając jej o babci, i wtedy nagle po twarzy pociekły jej łzy. Nie z powodu babci, która wówczas cieszyła się jeszcze świetnym zdrowiem, lecz pod wpływem szczęścia, radości z życia, tym silniejszej, że ono kiedyś niechybnie się skończy. To doznanie było tak potężne, że musiała zjechać na pobocze. Później czuła się trochę głupio i nigdy nikomu o tym nie powiedziała.

Dziś jednak wie, że to wcale nie było głupie. Dziś rozumie, że całkiem niechcący dotknęła najgłębszej istoty ludzkiego życia. To rzadki dar – zdać sobie sprawę, że twoje życie jest cudem i że nie będzie trwało wiecznie.

Kiedy więc Strzała pociągnie za spust i zakończy życie jednego z tych żołnierzy na wzgórzu, uczyni to nie dlatego, że chce go zabić – choć nie może temu zaprzeczyć – lecz dlatego, że ci ludzie odebrali ten dar jej i większości mieszkańców Sarajewa. Ulotność życia stała się czymś tak oczywistym, że przestała cokolwiek znaczyć. A najgorsza w tym wszystkim jest przepaść między tym, co wie, a tym, w co wierzy. Bo choć wie, że jej łzy tamtego dnia nie były głupią ckliwością nastolatki, niezwykle trudno jej w to uwierzyć.

Z górującej wysoko nad okupowaną Grbavicą twierdzy Vraca ci żołnierze bombardują miasto w poczuciu bezkarności. Podczas drugiej wojny światowej Vraca była miejscem, gdzie hitlerowcy torturowali i mordowali swoich przeciwników. Nazwiska ofiar wyryto w kamiennych schodach, lecz wtedy mało kto walczył pod prawdziwym nazwiskiem. Większość bojowników przybierała nowe imiona, które mówiły o nich więcej niż chełpliwe opowieści pijaków w knajpach; imiona, o których późniejsze władze, próbujące przekuć ich czyny w propagandę, wołałyby zapomnieć. Mówi się, że działali pod pseudonimami, by nie narażać bliskich – by móc prowadzić dwa równoległe życia. Ale Strzała przypuszcza, że chcieli przede wszystkim odseparować się od tego, co robili, by potem łatwiej było im wrócić do normalnego życia. Nienawiść do ludzi na wzgórzach – za ich własną nienawiść, która była pierwsza, i za wyrządzoną jej krzywdę – zrodziła w niej potrzebę oddzielenia tej części siebie, która zamierzała, wręcz pragnęła walczyć, od tej, która nigdy walczyć nie chciała. Gdyby pozostała przy swoim nazwisku, nie różniłaby się niczym od żołnierzy, do których strzela. W pewnym sensie czułaby się wtedy bardziej martwa, niż gdyby zginęła naprawdę.

Mówiła o sobie Strzała od początku, odkąd pierwszy raz sięgnęła po karabin, by zabić człowieka. Niektórzy nadal zwracają się do niej po imieniu. Ignoruje ich. Jeżeli

są uparci, przypomina, że teraz nazywa się Strzała. Nikt z nią nie dyskutuje. Nikt nie podważa jej wyborów. Każdy stara się przetrwać po swojemu. Ale gdyby ktoś ją przycisnął, odpowiedziałyby: „Jestem Strzała, bo nienawidzę tamtych. Ta dziewczyna, którą znaliście, nie miała w sobie nienawiści”.

Strzała wzięła dziś na cel żołnierzy koło Vracy, bo nie chce, żeby wróg czuł się tam bezpiecznie. To będzie bardzo trudny strzał. Co prawda z kryjówki na ósmym piętrze zniszczonego wieżowca, lecz to nie zmienia faktu, że twierdza jest położona wysoko i zasłonięta kilkoma budynkami. Trzeba będzie zmieścić kulę między nimi. Żołnierze muszą pozostać na obszarze około trzech metrów. Dym z płonących zabudowań co jakiś czas przesłania jej widok. Gdy tylko odda strzał, każdy snajper na południowym wzgórzu natychmiast zacznie jej szukać. Nie zajmie im to długo. Zaczną ostrzeliwać wieżowiec, jeśli będzie trzeba, zrównają go z ziemią. Nieprzypadkowo jest spalony – stanowi łatwy cel. Szanse ucieczki są małe. Ale dla Strzały takie wyzwanie to nic nowego. Zdarzało się jej strzelać w trudniejszych warunkach i nieraz musiała się liczyć z szybszym odwetem.

Wie dokładnie, ile czasu potrzebują, żeby ją zlokalizować. Gdzie będą szukać i gdzie spadną pociski. Kiedy kanonada ucichnie, ona będzie już daleko stąd i wszyscy, włącznie z innymi obrońcami miasta, będą się zastanawiać, jak to zrobiła. Nie zrozumieliby, nawet gdyby im powiedziała. Nie przekonałoby ich, że Strzała wie, jak zachowa się broń, ponieważ sama jest bronią. To szczególny rodzaj geniuszu, nie do pozazdroszczenia. Ona sama, gdyby to zależało od niej, wolałaby w niego nie wierzyć. Wie jednak, że nie ma wyboru. Człowiek nie wybiera sobie wiary. To wiara wybiera nas.

Jeden z trzech żołnierzy oddala się od towarzyszy. Strzała patrzy w napięciu, czy pożegnają go salutem.

Jeżeli tak – strzeli. Przez chwilę ma wątpliwości, nie potrafi odczytać ich gestów. Żołnierz wychodzi poza wąski korytarz strzału. Tą z pozoru nieistotną decyzją uchronił się od śmierci. Strzała wie, że życie niemal w całości składa się z takich momentów.

Obserwuje ich jeszcze chwilę, wypatrując jakiegoś detalu, który podpowie jej, który powinien zginąć jako pierwszy. Zamierza oddać dwa strzały i zabić obu. Nie jest jednak pewna, czy nadarzy się ku temu okazja, a jeśli ma zabić tylko jednego, wolałaby dokonać właściwego wyboru, o ile taki istnieje. Koniec końców to pewnie bez różnicy. Możliwe, że jeden z nich przeżyje, nie zdając sobie nawet sprawy z tego, jak niewiele brakowało. Będzie to sobie tłumaczył szczęściem, zrzędzeniem losu, opatrnością. Nigdy się nie dowie, że ledwie ułamek milimetra w ustawieniu lufy

dzieli promień słońca na twarzy od ziejącej dziury w klatce piersiowej, przez którą – z bólem wydającym mu się większym niż cały świat – wyciekłoby wszystko, czym był i mógł się stać w życiu.

Jeden z żołnierzy mówi coś ze śmiechem. Drugi mu wtóruje, ale w jego uśmiechu jest coś wysilonego, jakby śmiał się jedynie przez wzgląd na towarzysza. Strzała myśli. Którego zastrzelić, kawalarza czy klakiera? Nie może się zdecydować. Przez parę kolejnych minut patrzy, jak palą papierosy i rozmawiają. Ich dłonie kreślą w powietrzu ostre kształty, akcentują słowa, czasem zastygają nieruchomo jak noże przygotowane do ciosu. Obaj są młodzi, młodszy od niej; gdyby popuściła nieco wodze fantazji, mogłaby sobie wyobrazić, że dyskutują o meczu piłkarskim. Może zresztą właśnie o tym rozmawiają. Wcale by się nie zdziwiła, gdyby dla nich to wszystko było swego rodzaju grą. Chłopcy z granatami zamiast piłek.

Obaj odwracają głowę, jakby ktoś ich zawołał. Strzała wie, że nie może dłużej zwlekać. Wybiera jednego z nich. Nie wie, dlaczego akurat tego – może stanowi łatwiejszy cel, może wydał się jej groźniejszy, a może któryś z nich jest podobny do kogoś, kogo znała i lubiła albo nie znosiła? Nieważne. Wydycha powietrze, a jej palec naciska spust, na którym jeszcze przed chwilą tylko się opierał. Kula przekracza barierę dźwięku, rozrywa materiał, skórę, kości, mięśnie i narządy, rozpoczynając krótki proces przemiany żywego w martwe.

Kiedy składa się do drugiego strzału, w ułamku sekundy dociera do niej, że coś nie gra. Żołnierze na wzgórzach wiedzą, gdzie się ukryła. Rezygnuje ze strzału i czując na sobie wzrok snajpera, przewraca się na bok. Zasadzał się na nią przez cały ten czas, aż ujawniła swoją kryjówkę. Dała się zwabić w pułapkę. W miejsce, gdzie przed chwilą leżała, uderza kula. Biegąc ku wypalanej klatce schodowej, słyszy wystrzał z karabinu, ale nie słyszy uderzenia. To znaczy, że snajper albo całkiem chybił, albo ją trafił. Nie czuje żadnego bólu, ale mówiono jej, że w pierwszej chwili to normalne. Nie ma sensu teraz sprawdzać. Jeżeli kula ją dosięgła, niebawem da o sobie znać.

Gdy Strzała wbiega na schody, przez dach wpada pocisk z moździerza i wybucha. Kiedy jest na wysokości szóstego piętra, ósme zawala się wskutek kolejnej eksplozji. Na piątym Strzała instynktownie rewiduje swój plan i skręca w ciemny, wąski korytarz, uciekając ile sił przed następnym granatem, który lada moment uderzy w klatkę schodową. W chwili wybuchu jest już w bezpiecznej odległości, nie dosięgają jej kawałki stali, drewna i betonu, ten rój pocisków, spóźniona zapłata za jedną wystrzeloną kulę. Dopiero gdy ostatnie odłamki pocisku lądują na podłodze, zawraca w stronę schodów. Nie ma wyboru. To jedyna droga wyjścia z budynku.

Jeżeli pozostanie w środku, tamci wyrównają z nią swoje rachunki. Wraca więc na klatkę schodową, nie wiedząc, co z niej zostało. Piąte piętro zawaliło się na czwarte; zeskakując na dół, zastanawia się, czy podłoga wytrzyma jej ciężar. Wytrzymała. Teraz trzeba trzymać się wewnętrznej ściany między klatką a resztą budynku, bo tam runęło najmniej gruzu.

Na parterze słyszy kolejny wybuch i choć od głównego wyjścia z budynku dzieli ją tylko kilka kroków, zbiega jeszcze niżej, do piwnicy. Przemyka po omacku ciemnym korytarzem, aż napotyka drzwi. Otwiera je ramieniem. Przejście z mroku w światło na moment ją oślepia, lecz nie zatrzymuje się ani na chwilę. Znajduje się teraz w niskiej klatce schodowej w północnej części wieżowca, częściowo osłoniętej przed żołnierzami na wzgórzach. Przyzwyczajając oczy do nowego otoczenia, uświadamia sobie, że grzmoty pocisków przytępiły jej słuch – jak wtedy, kiedy nurkowała z koleżanką w basenie i śmiały się z tego, jak dziwnie, obco i niezrozumiale brzmią ich imiona wykrzykiwane pod wodą. Opuszcza budynek i kieruje się na wschód. Czuje ból w boku. Spogląda w dół, obawiając się, że ujrzy własny żołądek przyciśnięty do strzaskanych żeber. Okazuje się jednak, że to tylko draśnięcie; musiała się skaleczyć podczas ucieczki z wieżowca.

Idąc w stronę śródmieścia, do kwatery dowodzenia swojej jednostki, zwraca uwagę na ciemniejące niebo. Spadają pierwsze krople deszczu, wyparowują z jej rozgrzanego czoła. Obmacuje sobie bok – ani śladu świeżej krwi. Widocznie to nic poważnego. Dlaczego ta myśl nie przynosi jej ulgi?

KENAN

Zaczyna się kolejny dzień. Światło wdziera się do mieszkania i zastaje Kenana w kuchni, sięgającego po plastikowy pojemnik z ostatnią ćwiercią litra wody, jaka została jego rodzinie. Jego ruchy są powolne, sztywne. Choć zbliżają się dopiero jego czterdzieste urodziny, myśli o sobie jak o starcu. To samo dotyczy jego żony Amili, śpiącej w salonie. Tam jest bezpieczniej niż w sypialni, której okna wychodzą na ulicę. Ją również wiek średni ominął niepostrzeżenie. Ma dopiero trzydzieści siedem lat, a wygląda na grubo ponad pięćdziesiąt. Włosy jej zrzedły, obwisła skóra podsuwa wyobraźni obraz młodszej kobiety, która – Kenan wie o tym – nigdy nie istniała.

Przynajmniej ich dzieci na razie wciąż są dziećmi. Jak wszystkie dzieci buntują się przeciwko zakazom i ograniczeniom, chcą być dorosłe, chcą, żeby wszystko było inaczej, niż jest. Wiedzą, co się dzieje, ale nie do końca to rozumieją. Nauczyły się z tym żyć. Może dlatego się nie starzeją, myśli Kenan.

Dłużej niż parę godzin ostatni raz mieli prąd ponad miesiąc temu. Bieżącej wody już wtedy nie było. Bez prądu żyje się trudno, bez wody żyć się nie da. Dlatego raz na cztery dni Kenan zbiera wszystkie swoje plastikowe pojemniki i wędruje z nimi najpierw na dół, przez starówkę i rzekę Miljackę, a potem pod górę, do browaru w Starim Gradzie, jednego z niewielu miejsc, gdzie mieszkańcy Sarajewa mogą zaopatrzyć się w czystą wodę pitną. Od czasu do czasu pojawia się możliwość zdobycia wody bliżej domu – Kenan zawsze ma oczy i uszy otwarte – lecz taka woda nie zawsze pochodzi z pewnego źródła. Nie po to unika kul snajperów, by umrzeć od zakażenia pasożytem, a w mieście, w którym przestała funkcjonować sieć kanalizacyjna, taka możliwość jest zupełnie realna. W browarze czerpie się wodę ze źródeł głębinowych i dlatego – mimo związanego z tym ryzyka – warto się po nią wyprawić nieco dalej.

Starając się robić jak najmniej hałasu, Kenan podnosi pojemnik z resztką wody i zabiera go do łazienki. W bezwiednym odruchu z dawnych czasów naciska włącznik światła. Żarówka pod sufitem rozbłyska. Kenan zapala zapałkę i odpala od niej knot świecy stojącej na umywalce pod lustrem. Zatyka odpływ korkiem i wlewa ostatnią ćwiartkę wody. Moczy sobie twarz i mruga powiekami, zimna woda przyprawia go o szok. Spienia kostkę mydła w dłoniach i namydla policzki, szyję, brodę i skórę nad górną wargą. Brzytwa pracuje rytmicznie: szur, szur, plusk; Kenan śledzi jej ruchy źrenicami zwężonymi od światła. Potem znów chlapie sobie w twarz i wyciera się szorstkim ręcznikiem wiszącym nad ubikacją. Zdmuchuje świeczkę i ze zdumieniem stwierdza, że mimo to w łazience nie zrobiło się ciemno. Mija chwila, zanim dociera

do niego, że włączono prąd, a nad jego głową świeci żarówka. W pierwszej chwili aż się uśmiecha, zaraz jednak uświadamia sobie przyczynę swojej pomyłki. Przywykł do rzeczywistości, w której człowiek goli się przy blasku świecy, używając mydła i zimnej wody. Stało się to normą.

To, że mają w domu prąd, nie jest normą, dlatego wybiega z łazienki obudzić żonę, niech ona i dzieci korzystają, póki mogą. Wyobraża sobie, że jedzą śniadanie przyrządzone na kuchence i oglądają telewizję przy włączonym grzejniku. Dzieci będą śmiać się zaraźliwie z ulubionej kreskówki. Światło wypełni wszystkie pokoje, przegoni wieczny mrok wyzierający z kątów. Szczęście zapewne nie potrwa długo, ale przynajmniej przez resztę dnia będą czuli w policzkach zmęczenie od uśmiechania się. W przedpokoju dobiega go jednak charakterystyczny trzask. Zerka przez ramię: światło zgasło. Sprawdza jeszcze światło w przedpokoju, choć wie, że nie ma po co. Wraca do kuchni. Nie ma sensu ich teraz budzić.

Siada przy stole i ogląda po kolei wszystkie sześć pojemników na wodę. Szuka pęknięć, które mogły się pojawić od ostatniego razu, upewnia się, że każdy ma właściwą zakrętkę. W razie czego są jeszcze dwa zapasowe. Wybór optymalnej ilości wody do przeniesienia za jednym razem to nie lada sztuka. Kto nosi za mało, ten musi chodzić częściej. A wychodząc na ulicę, człowiek naraża się na utratę zdrowia lub życia. Ale kto nosi za dużo, ten jest mało zwrotny, nie może biec ani uskoczyć przed niebezpieczeństwem. Kenan zdecydował się na osiem butli. Sześć własnych, mieszczących około dwudziestu czterech litrów wody. Dwie od pani Ristovskiej, starszej sąsiadki z dołu.

Oglądając uważnie pojemniki, słyszy, że jego żona wstała z łóżka. Zagląda do niego przez próg, przecierając zaspane oczy.

– Noc była spokojna – zauważa Kenan. – Dzisiaj nie powinno być źle.

Amila potakująco kiwa głową. Oboje wiedzą, że spokój w nocy wcale nie oznacza spokoju w ciągu dnia, lecz żadne z nich nie powie tego na głos.

Żona wchodzi do kuchni i staje przed nim. Kładzie mu dłoń na głowie, trzyma ją tam przez chwilę, po czym zsuwa na bark, po drodze pociągając go leciutko za ucho.

– Bądź ostrożny.

Kenan uśmiecha się. Nie chodzi o same te słowa, lecz o to, że wciąż mu je powtarza. Przecież dobrze wie, że nie ma czegoś takiego jak ostrożność, tamci na wzgórzach mogą zabić każdego w dowolnym miejscu o dowolnej porze, a szczęście, los, jakkolwiek nazwać to coś, co rozstrzyga o życiu i śmierci, ostatnimi czasy wcale nie jest łaskawe dla tych, których postępowanie można by nazwać ostrożnym. Brawura, owszem, nie popłaca, poza tym jednak wszyscy mają z grubsza równe

szanse. Dawniej bezpieczeństwo człowieka rzeczywiście zależało w pewnym stopniu od niego samego. Kenan jest wdzięczny Amili, że niekiedy przy okazji, dla jego własnego zdrowia psychicznego, przypomina mu o tamtych czasach.

Teraz liczy wzrokiem jego butle na wodę.

– Dla sąsiadki?

– Tak.

Marszczy brew i odgarnia kosmyk z oczu. Po chwili twarz jej łagodnieje, robi krok do tyłu i ogarnia go spojrzeniem.

– Będiesz niedługo potrzebował nowego płaszcza.

– Skoczę na szybkie zakupy, skoro już będę na mieście. Może chcesz nowe buty?

Uśmiechają się do siebie. Przynajmniej wciąż potrafi ją rozbawić.

– Nie, ale jeśli to nie kłopot, przydałby mi się nowy kapelusz.

– Żaden kłopot. Domyślam się, że z norek?

Dzieci też już wstały. Amila idzie zajrzeć do nich, wcześniej całuje go prędko w policzek.

– Lepiej już idź, bo jak zaczniesz z nimi żartować, stracisz godzinę.

Zamknawszy za sobą drzwi do mieszkania, Kenan opiera się o nie plecami i osuwa na podłogę. Nogi ma ciężkie, dłonie zimne. Nie chce wychodzić na zewnątrz. Chce wrócić do środka, zagrzebać się w pościeli i przespać resztę wojny. Chce zabrać młodszą córkę do wesołego miasteczka. Chce siedzieć jak na szpilkach, czekając, aż starsza córka wróci z kina z chłopakiem, który nie przypadł mu do gustu. Chce, żeby jego syn, ich drugie dziecko, nie rozmyślał o tym, za ile lat będzie mógł wstąpić do wojska.

Z wnętrza mieszkania dobiegają stłumione odgłosy. Kenan boi się, że któreś z dzieci podejdzie do drzwi. Nie mogą go zobaczyć w takim stanie. Przerażonego i bezsilnego. A jeśli nie wróci już do domu? Nie chciałby, żeby tak go zapamiętali: siedzącego na podłodze, trzęsącego się jak mokry, wystraszony pies.

Dźwiga się na nogi, podnosi pojemniki na wodę. Związał wszystkie sznurkiem za uchwyty; nie są zbyt poręczne, ale puste ważą niewiele. Kiedy je napełni, zrobi się znacznie ciężej, lecz tym będzie się martwił później. Zdaje sobie sprawę, że jest coraz słabszy, jak prawie wszyscy ludzie w Sarajewie. Czy przyjdzie taki dzień, że nie zdoła donieść wystarczającej ilości wody? Co wtedy? Czy będzie musiał zabierać ze sobą syna do pomocy, tak jak to robią niektórzy? Wolałby tego uniknąć. Jeśli przyjdzie mu zginąć, nie chciałby, żeby stało się to na oczach jego bliskich ani żeby ich twarze były ostatnim widokiem, który zobaczy przed śmiercią. Przecież gdyby zginęli obaj, on i syn, jego żona nigdy by się z tego nie otrząsnęła. O tym, co by się stało, gdyby

zginął tylko jego syn, woli nie myśleć, bo znów ugną się pod nim kolana.

Schodzi po schodach na parter i puka do drzwi pani Ristovskiej. Nie słysząc wewnątrz żadnego poruszenia, puka drugi raz, mocniej. Za drzwiami rozlega się szuranie.

Pani Ristovska mieszka w tym domu całe swoje życie, a przynajmniej tak twierdzi. Zważywszy, że ma ponad siedemdziesiąt lat, a budynek powstał po drugiej wojnie światowej, nie może to być prawdą, lecz Kenan nie zamierza z nią dyskutować. Pani Ristovska ma w tej sprawie wyrobiony pogląd i nie zmieni go pod wpływem żadnych faktów.

Gdy Kenan i Amila się tu wprowadzali, ich najstarsza córka była jeszcze niemowlęciem. Pani Ristovska nieustannie uskarżała się na jej głośny płacz, a oni, jako młodzi rodzice, słuchali jej uwag i porad, uznając mądrość osoby starszej i górującej nad nimi doświadczeniem. Po jakimś czasie doszli jednak do wniosku, że tak naprawdę wcale nie chodzi o płacz. Kenan zaczął podejrzewać, że dziecko stało się dla niej pretekstem do wylewania złości. Zirykowany ciągłym wtrącaniem się w ich życie, mimo wszystko tolerował panią Ristovską, często wbrew żonie. Na swój sposób podziwiał jej zaciętość, nawet jeśli nie do końca mu się podobała.

Kiedy wybuchła wojna, pani Ristovska zapukała do ich drzwi, a gdy Kenan otworzył, wtargnęła do środka, nie czekając na zaproszenie. Jego żony akurat nie było w domu, ale pani Ristovska nie zwróciła na to uwagi. Rozsiadła się na kanapie w salonie, a on poszedł zrobić jej kawę. Podał ją w filiżance na srebrnej tacy, którą postawił na ławie przed sąsiadką, lecz ta w ogóle jej nie tknęła.

– Masz brandy? – zapytała.

– Oczywiście. – Nalał jej i sobie, nie żałując.

Pani Ristovska wypiała wszystko jednym haustem. Patrzył, jak jej pomarszczona szyja oblewa się rumieńcem, po czym z powrotem blednie.

– No – odezwała się w końcu – teraz to już na pewno umrę.

– Dlaczego? – zapytał, myśląc, że chodzi jej o wypitą brandy.

– Mamy wojnę. – Spojrzała mu w oczy. Starał się, jak mógł, nie wpatrywać w ogromny pieprzyk na jej policzku i nie zastanawiać się, czy urósł. Pokręciła głową.

– Ty nie wiesz, co to wojna. Nie masz pojęcia, co tu się będzie działo.

– To nie potrwa długo – odparł. – Reszta Europy na to nie pozwoli.

Prychnęła.

– Dla mnie to bez znaczenia. Jestem za stara na te wszystkie rzeczy, które trzeba robić w czasie wojny.

Kenan nie był pewien, co przez to rozumiała. Wiedział, że wyszła za mąż przed

ostatnią wojną i że jej mąż zginął w pierwszych dniach niemieckiej inwazji.

– Może nie będzie tak źle – palnął i od razu tego pożałował, bo wiedział, że to nieprawda.

– Nie masz pojęcia – powtórzyła.

– Będę pani pomagał. Wszyscy lokatorzy będą sobie pomagać. Zobaczysz pani.

Pani Ristovska sięgnęła po filiżankę i upiła łyk kawy. Nie spojrzała na Kenana, nie odwzajemniła jego uśmiechu.

– Zobaczymy.

Kiedy parę tygodni później żołnierze na wzgórzach odcięli miastu wodę i Kenan szykował się do pierwszej wyprawy do browaru, pani Ristovska znów zjawiała się u jego drzwi. Przyniosła dwie plastikowe butelki.

– Słowo się rzekło – powiedziała, wpychając mu je do rąk, po czym odwróciła się i zeszła z powrotem na dół, zostawiając skonsternowanego Kenana w progu.

Nie mógł jej odmówić. Nie chciał być kimś, kto odmawia w takiej sytuacji.

Drzwi do mieszkania pani Ristovskiej uchylają się nieznacznie.

– O co chodzi? Jest wcześnie.

– Idę po wodę. – Kenan nie zamierza grać z nią w jej gierki. Wszyscy wiedzą, że pani Ristovska wstaje razem ze słońcem. Na pewno jest na nogach od godziny lub dwóch, zresztą w ostatnich miesiącach co najmniej pięć razy zdarzało się jej pukać do niego jeszcze wcześniej.

Drzwi się zamykają.

– Pani Ristovska? Następnym razem będę szedł dopiero za kilka dni.

Słychać głośną krzątaninę, niewyraźne przekleństwa, wreszcie drzwi ponownie się otwierają, tym razem szerzej. Pani Ristovska wyciąga przed siebie dwie plastikowe butelki i potrząsa nimi nagłaco.

– Te nie mają uchwytów – zauważa Kenan. Są to zwykłe, dwulitrowe butelki, w jakich sprzedaje się napoje gazowane. Od tygodni namawia ją, żeby przerzuciła się na butle z uchwytami, bo wtedy będzie mógł je przywiązać do swoich. Proponował jej nawet własne zapasowe.

– Potrzebuję dokładnie tyle wody. Jeżeli wymienię je na inne, może mi nie wystarczyć.

– Inne są większe. – Podsuwa jej swoje, ale na próżno.

– A ty co, miarka? – odpowiada i zamyka drzwi.

Echo roznosi się po klatce schodowej. Kenan stoi w miejscu, zastanawia się, czy nie zostawić jej tych butelek pod drzwiami, po prostu machnąć na nią ręką. Parę dni bez wody na pewno jej nie zabije, a może czegoś ją nauczy. To przyjemna myśl, ale

nie, nic z tego. Pani Ristovska, niestety, ma rację: dał jej słowo. Spogląda na trzymane w rękach plastikowe butelki, kręci głową, po czym otwiera barkiem frontowe drzwi i wychodzi na ulicę.

DRAGAN

Nie sposób stwierdzić, która wersja kłamstwa jest prawdą. Teraz, po tym wszystkim, co się wydarzyło, Dragan wie, że Sarajewo, jakie pamięta, miasto, w którym się wychował, z którego był dumny i w którym czuł się szczęśliwy, prawdopodobnie nigdy nie istniało. Rozglądając się dookoła, niełatwo sobie wyobrazić, co było dawniej – co mogło być dawniej. Coraz trudniej oprzeć się wrażeniu, że tutaj nigdy nie było nic poza wojskiem na wzgórzach. Co także nie jest prawdą, lecz nie ma żadnej trzeciej, pośredniej opcji.

Oto jak Dragan pamięta Sarajewo. Strome zbocza opadały w dolinę. Jej środkiem biegła rzeka Miljacka, dzieląca miasto na podłużne połówki. Na lewym brzegu, za południowymi wzgórzami, wznosiła się góra Trebević, na której stokach w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym czwartym roku rozgrywano niektóre narciarskie konkurencje olimpiady zimowej. Idąc na zachód, oglądało się takie dzielnice jak Stari Grad, Grbavica, Novi Grad, Mojnilo, Dobrinja, wreszcie Ilidža z parkiem pełnym drzew i strumyków i ze stawem, na którym, w domku przypominającym psią budę, mieszkały łabędzie. Przechodziło się obok Akademii Sztuk Pięknych, sportowo-handlowego kompleksu Skenderija, stadionu piłkarskiego Grbavica, cukierni Palma, biura gazety „Oslobođenje”, lotniska i neolitycznej osady Butmir sprzed pięciu tysięcy lat.

Przekroczywszy rzekę i wracając jej prawym brzegiem na wschód, mijało się Halilovići, Novo Sarajevo, Marijin Dvor, Koševo, Bjelave i Bašaršija. Można się było przejechać tramwajem; trasa wiodła środkiem głównej ulicy do starej części miasta, gdzie zawijała pętlę: biegła na zachód wzdłuż rzeki, mijając parlament, siedzibę władz kantonu sarajewskiego, teatr, uniwersytet, a przy budynku ratuszu, gdzie mieściła się biblioteka, zakręcała łukiem w stronę placu targowego Markale i Parku Velikiego, by nieco dalej złączyć się ponownie z główną linią. Stamtąd można było udać się na północ, do stadionu w Koševie, gdzie odbyły się ceremonie otwarcia i zakończenia igrzysk olimpijskich, i do położonego po drugiej stronie ulicy szpitala.

Sarajewo wspaniale nadawało się do spacerowania. Nie sposób było się w nim zgubić. Jeżeli straciło się orientację, schodziło się w dół, aż do samej rzeki, i wszystko stawało się jasne. Zmęczeni odpoczywali w kawiarniach przy kawie, głodni wstępowali do barów na placek nadziewany mięsem. Wszyscy byli szczęśliwi. Żyło im się dobrze. Tak przynajmniej pamięta to Dragan. Może to tylko jego fantazja? Teraz nie da się przejść z jednego końca miasta na drugi. Cała Grbavica znajduje się pod kontrolą żołnierzy na wzgórzach, zapuszczanie się tam byłoby samobójstwem. To

samo dotyczy Ilidży. Dobrinja, choć wciąż się broni, bywa odcinana od reszty miasta i również tam, jak prawie wszędzie, jest niezmiernie niebezpiecznie. Skenderija to teraz dymiące zgliszczka. Podobnie poczta, parlament i siedziba kantonu, biura gazety „Oslobođenje” i biblioteka. Stadion w Koševie spłonął doszczętnie, a jego murawa służy obecnie do grzebania zmarłych. Pociągi nie kursują. Na ulicach pełno jest gruzu i wagonów towarowych, betonowe usypiska na skrzyżowaniach mają utrudniać zadanie snajperom na wzgórzach. Kto wychodzi z domu, musi liczyć się ze śmiercią. Choć z drugiej strony to samo można powiedzieć o tych, którzy pozostają w ukryciu.

Dawne Sarajewo, takie, jakie zdaje mu się, że pamięta, z każdym dniem coraz bardziej mu się wymyka, niczym woda trzymana w garściach. Kiedy już całkiem zniknie, co mu pozostanie? Czy będzie umiał żyć, nie pamiętając, jak wyglądało dawne życie, jak mieszkało się w pięknym mieście? Kiedy wybuchła wojna, usiłował zatrzymać to umieranie miasta, ocalić jak najwięcej. Patrząc na budynki, starał się widzieć je takimi, jakie były dawniej; patrząc na ludzi, próbował nie dostrzegać zmian w ich wyglądzie i zachowaniu. Z czasem jednak zaczął widzieć wszystko takim, jakie było naprawdę, aż pewnego dnia dotarło do niego, że przestał ratować miasto przed zniknięciem, nawet we własnej głowie. Nie było innej rzeczywistości niż ta, która go otaczała.

Wyszedł godzinę temu. Z domu w śródmieściu, nieco powyżej placu targowego, kieruje się na zachód. Jego celem jest miejska piekarnia. Pracuje tam od prawie czterdziestu lat i gdyby nie wojna, pewnie rozważałby przejście na emeryturę. Zdaje sobie sprawę, jakie to szczęście – mieć pracę, a co za tym idzie, być zwolnionym z obowiązku służby wojskowej, mimo że dzikie bandy szukające rekrutów niewiele sobie robią z tego przywileju. Niemal wszyscy mieszkańcy miasta są teraz bezrobotni. Dragan rzadko dostaje wypłatę w gotówce – zresztą w dużej mierze bezużytecznej – ale może liczyć na przydział chleba oraz najadać się do syta w zakładowej stołówce, i to nawet w dni wolne od pracy. Dlatego choć dziś nie pracuje, idzie do piekarni, bo jeśli zje tam obiad, nie będzie musiał jeść w domu.

Jego dom to trzy pokoje w Mejtaš, na północ od starówki, dzielone z młodszą siostrą i jej rodziną. Dawniej Dragan miał bardzo ładne mieszkanie w dzielnicy Hrasno na zachód od Grbavicy. Teraz tamtędy przebiega front. Kiedy był tam ostatnio, zobaczył, że wnętrze mieszkania zostało całkowicie zniszczone przez wybuch granatu. Od tamtego czasu pewnie zawalił się cały budynek. Tak czy inaczej, miejsce nie nadawało się do zamieszkania i na pewno już tam nie wróci.

Tuż przed wybuchem wojny Dragan zadbał o to, by jego żona Raza i ich osiemnastoletni syn opuścili miasto. Teraz są pewnie we Włoszech. Nie ma od nich

wieści od trzech miesięcy i nie wie, kiedy znów się odezwą. Jakaś cząstka jego duszy wolałaby, żeby to się stało dopiero po zakończeniu wojny. Słyszał nieraz o kobietach przysyłających mężom papiery rozwodowe z zagranicy. Nie wie, jak by zniósł coś takiego. Ma sześćdziesiąt cztery lata i wygląda jak dziadek, nie jak ojciec. Ich małżeństwo nigdy nie było idealne, ale żyło się im dobrze, mimo że żona była od niego sześć lat młodsza, a syna urodziła późno, mając czterdziestkę. Wcześniej myśleli, że nie mogą mieć dzieci.

Oby byli szczęśliwi, gdziekolwiek teraz są. Dobrze, że nie muszą tłoczyć się wraz z nim w mieszkaniu jego siostry. Dragan i szwagier nigdy za sobą nie przepadali i choć żaden z nich nie powie tego wprost, woleliby spędzać ze sobą jak najmniej czasu. Jednak Dragan przynosi do domu chleb, a sam też się nie wyprowadzi, bo potrzebuje dachu nad głową.

Z domu jego siostry do piekarni jest niedaleko, mniej więcej trzy kilometry. W normalnych warunkach taki dystans pokonywałoby się spacerem w trzy kwadransy. Obecnie, idąc szybkim krokiem, Dragan potrzebuje na to półtorej godziny. Dziś jednak się nie spieszy, chodzi mu przede wszystkim o to, by pobyć na zewnątrz. Szedł wolno niemal całą drogę, z wyjątkiem szczególnie niebezpiecznego odcinka głównej ulicy na przecięciu z mostem Vrbanja. Przebiegł wtedy czym prędzej na drugą stronę jezdni, starając się nie zastanawiać, czy jakiś snajper obserwuje go przez celownik.

Idzie dalej główną ulicą, wzdłuż nieczynnych torów tramwajowych. Miejscami po jej południowej stronie piętrzą się wysokie barykady, chroniące samochody i przechodniów przed snajperami ze wzgórz. Nie brakuje tu jednak groźnych prześwitów. Podobno cudzoziemcy nazywają tę ulicę Aleją Snajperów. Dragana to śmieszy, bo każda ulica w Sarajewie mogłaby się tak nazywać. Czy ulice biegnące wzdłuż brzegów Miljacki nie zasługują na takie miano? A całe kwartały Dobrinji albo Mojmila? Najprościej byłoby nazwać tak wszystkie drogi w mieście. Dopiero gdyby okazało się, że jakimś cudem któraś z ulic jest niedosięglą dla snajperów, należałoby ją wyróżnić osobną nazwą. Oczywiście ta konkretna droga wiedzie z lotniska do Holiday Inn, nic więc dziwnego, że obcokrajowcom wydaje się szczególnie niebezpieczna. Nawiasem mówiąc, jest to sześć pasów asfaltu przedzielonych torowiskiem i można się zastanawiać nad słusznością nazywania jej aleją.

Dragan odbija na północ od głównej ulicy, bo dalszy jej odcinek przebiega zbyt blisko terytorium wroga. Co prawda jest mocno obsadzona przez obrońców, ale to jeszcze nigdy nie powstrzymało snajperów i Dragan nie ma złudzeń, że tym razem będzie inaczej.

Dochodzi do innej ruchliwej ulicy, uczęszczanej przez większość osób wędrujących przez miasto. Przy kolejnym dużym skrzyżowaniu, pomiędzy koszarami marszałka Tity a wieżowcem Energoinvestu – obie budowle zostały niemal całkiem zburzone – szykuje się do biegu. To jedna z najniebezpieczniejszych krzyżówek w mieście. Zaledwie czterysta metrów na południe znajduje się most Braterstwa i Jedności, oddzielający prawy brzeg rzeki od okupowanej Grbavicy.

Po lewej widzi osiem wagonów towarowych, stoją wzdłuż ulicy, ustawione jeden na drugim, w dwóch rzędach. Po prawej ma tory kolejowe. W głębi ulicy stoi wieżowiec Energoinvestu. Kilka lat temu był jednym z największych tego typu biurowców w Sarajewie. Teraz to zniszczona przez moździerz ruina. Wszystko dookoła ma szczególny odcień szarości. Dragan nie wie, skąd wziął się ten kolor, czy był tu zawsze, a wojna jedynie go odsłoniła, czy może jest to w rzeczy samej kolor wojny. Tak czy owak, nadaje całej ulicy posępny nastrój.

Około dwudziestu osób czai się do przejścia na drugą stronę skrzyżowania. Jedni wychodzą z ukrycia i puszczają się biegiem, jakby nad tą częścią ulicy wisiała deszczowa chmura i nie chcieli zmoknąć. Wydaje się, że to dla nich najzwyczajniejsza rzecz. Przynajmniej takie wrażenie odnosi Dragan. Inni wahają się chwilę, po czym biegną ile sił w nogach, dopóki nie znajdą się po drugiej stronie. Po tym krótkim, szalonym zrywie ruszają dalej zwyczajnym krokiem, jak gdyby nigdy nic.

Dragan należy do tych ludzi, którzy pod osłoną betonowego muru czekają na znak albo przeczucie, że nadszedł właściwy moment. Sam do końca nie wie, od czego miałyby to zależeć, lecz prędzej czy później wewnętrzny głos zawsze podpowiada mu, że już czas. Skoro do tej pory nie zginął, to chyba znaczy, że obiera słuszną taktykę.

Od początku wojny widział trzy osoby zabite przez snajperów. Najdziwniejsze było to, jak szybko to się dzieje. Ludzie idą, biegną przez ulicę, nagle upadają niby marionetki w rękach omdlałego lalkarza. Rozlega się ostry trzask wystrzału i wszyscy w pobliżu szukają schronienia. Już po kilku minutach wszystko wraca do tak zwanej normy. Ciała, o ile to możliwe, zostają uprzątnięte, ranni zabrani w bezpieczne miejsca. Nikt nie wie, bo i skąd miałby wiedzieć, czy snajper pozostał na stanowisku, lecz wszyscy zachowują się tak, jakby już go tam nie było – do czasu, aż wystrzeli ponownie, wówczas cykl się powtarza. Dragan ma wrażenie, że to, czy kula dosięgnie celu, nie robi już ludziom większej różnicy. Na początku, dawno temu, może robiło, ale nie teraz. Przywykli, że inni ludzie giną na ich oczach.

Z trójki zabitych, których widział, dwie ofiary zostały trafione w głowę i zginęły natychmiast. Trzecią trafiono najpierw w klatkę piersiową, a minutę później w szyję.

Umarła znacznie gorszą śmiercią. Dragan boi się, że zginie, ale jeszcze bardziej boi się chwil między trafieniem a śmiercią. Nie wie, jak długo umiera człowiek postrzelony w głowę: czy dzieje się to błyskawicznie, czy może traci przytomność dopiero po kilku sekundach? Nie wierzy ludziom, którzy twierdzą, że wiedzą to na pewno. Tak czy inaczej, lepsze to niż chwytanie powietrza jak ryba na dnie łodzi i patrzenie w kałużę własnej krwi; niż myślenie o rzeczach, o których myśli człowiek, widząc swój kres.

Stoi na skrzyżowaniu. Jeżeli zrobi jeszcze dwa kroki do przodu, odsłoni się. Na skraju chodnika kłębi się gromadka ludzi; nie przechodzą ani nie zwracają. Wszyscy przyglądają się mężczyźnie przekraczającemu jezdnię z przeciwległej strony. Biegnie lekko zgarbiony, z ust zwisa mu papieros. Dragan go rozpoznaje. To Amil, pracuje, albo raczej pracował, w kiosku obok jego dawnego domu. Od wybuchu wojny nie widział go ani razu i ani razu o nim nie pomyślał.

Znalazłszy się po drugiej stronie, Amil zwalnia i wkłada dłonie do kieszeni dzinsów. Ma skórzaną kurtkę z częściowo postawionym kołnierzem, włosy krótsze niż kiedyś. Stoi kilka metrów od Dragana, zobaczy go, jeżeli podniesie wzrok. Dragan odwraca się twarzą do ściany, jakby się jej przyglądał, i czeka, aż Amil sobie pójdzie. Chyba go nie zauważył.

Potem jednak myśli o tym, jak się zachował, i robi mu się głupio. Zawsze lubił Amila, często z nim rozmawiał. Ale to było przed wojną. Teraz rozmowa przypominałaby im tylko, jak wiele utracili, jak bardzo wszystko się pozmieniało. Choć każdy budynek i każda ulica mówią mu to samo, to jednak czym innym jest zobaczyć to w twarzy drugiego człowieka – kogoś, kogo się znało.

Dragan zerwał kontakty ze znajomymi. Nikogo nie odwiedza i unika gości. W pracy stara się odzywać jak najmniej. Być może kiedyś oswoi się z widokiem zniszczonych budynków, ale zniszczeni ludzie to dla niego zbyt wiele. Jeżeli ma ich kiedyś utracić – wskutek śmierci albo przemiany osobowości, która sprawia, że stają się mu obcy – woli od razu postawić na nich krzyżyk.

Stojąca przed nim para postanawia przekroczyć ulicę. Mężczyzna i kobieta, oboje na oko po trzydziestce. Ona w kwiecistej sukience przypominającej mu zasłony w domu jego dzieciństwa. Jeszcze przed chwilą trzymali się za ręce, ale po wyjściu na ulicę rozpletli je i przyspieszają kroku, choć nie można powiedzieć, że biegną. Przebyli już jedną trzecią drogi, gdy od asfaltu odbija się kula, a w powietrzu rozbrzmiewa dźwięczny odgłos karabinowego wystrzału. Para się waha, nie wiedzą, zawrócić czy iść dalej. Mężczyzna podejmuje decyzję, chwyta kobietę za ramię i przyciąga ją do siebie. Teraz już biegną, chcą się przedostać na drugą stronę. Gdy są

już prawie u celu, rozlega się drugi strzał, lecz widocznie mają szczęście albo snajper popełnił błąd, bo lalkarz tych dwojga przeprowadza ich na drugą stronę ulicy.

Wszyscy wokół oddychają z ulgą, po trosze dlatego, że tamtym się udało, a po trosze, bo sami nie muszą się dłużej zastanawiać, czy snajperzy obserwują dzisiaj skrzyżowanie. To dziwne, ale świadomość tego, gdzie czai się niebezpieczeństwo, działa odprężająco. O wiele gorsze jest mgliste przeczucie śmierci, gdy człowiek nie wie, skąd nadlecą kule. Teraz przynajmniej wiadomo. Przez kilka minut nikt się nie wychyla, lecz Dragan wie, że prędzej czy później ktoś zaryzykuje, ktoś inny weźmie z niego przykład, aż jeden po drugim wszyscy świadkowie tamtych strzałów przedostaną się na drugą stronę, a ci, którzy przyjdą na ich miejsce, w ogóle nie będą wiedzieli, że pewna para o mało tu nie zginęła. A snajper znowu strzeli, jeżeli nie tutaj, to gdzie indziej, jeśli nie on, to kto inny; wszystko rozegra się od nowa; tak samo stado gazeli wraca do wodopoju, przy którym pożarto jedną z nich.

II

KENAN

Również przed wojną Kenan zaczynał dzień od spaceru w dół zbocza, ku starówce. Teraz budynek firmy księgowej, w której pracował, jest zniszczony, nie mówiąc o tym, że i tak nie miałby tam nic do roboty. Ale jeśli bardzo się postara, jeśli będzie widział i myślał tylko to, co chce, jeśli zapomni o butlach na wodę, to przynajmniej przez kilka przecznic potrafi udawać przed sobą, że idzie do pracy. Może zje obiad z którymś z kolegów? Może usiądą z kawą w Parku Velikim? Może podroczy się z Goranem, który uparcie kibicuje Chelsea FC, zapyta go o przegrany niedawno mecz?

Wkrótce jednak dochodzi do zakrętu, przy którym zgromadzone są kontenery na śmieci. Zniknęły już dawno pod rosnącymi hałdami odpadków, przeczesywanymi dzień w dzień w poszukiwaniu rzeczy o jakiegokolwiek wartości. Zobaczywszy to, nie potrafi dłużej ignorować powywracanych samochodów ani wypatroszonych budynków. Nie może udawać, że nie słyszy dalekiej kanonady. Przypomina sobie, że Park Veliki należy teraz do najniebezpieczniejszych miejsc w Sarajewie. Gorana nie widział od wielu miesięcy i nie zdziwiłby się, gdyby już nie żył.

Idzie dalej w stronę rzeki. Gdy podnosi wzrok, widzi południowe wzgórza. Zastanawia się, czy tamci go widzą. Wcale by się nie zdziwił. Wystarczy, że spojrzą przez porządną lornetkę, a ujrzą chudego, dość młodego mężczyznę w znoszonym brązowym płaszczu. Pewnie mogliby go zabić. Ale mogli to zrobić już wiele razy. Jeśli nie zabiją go teraz, będą mieli jeszcze mnóstwo innych okazji. Nie wie, dlaczego jedni giną, a inni żyją. Nie ma pojęcia, jak tamci wybierają swoje ofiary, i chyba nie chce tego wiedzieć. Co by sobie pomyślał? Schlebiałoby mu, że go nie wybrali, czy poczułby się urażony, że nie znalazł uznania w ich oczach?

Z obu stron otaczają go cztero- i pięciopiętrowe budynki mieszkalne. Wszystkie ucierpiały od ostrzału, choć ogólnie rzecz biorąc, ta okolica miała więcej szczęścia niż inne. Mija trafionego pociskiem zielonego volkswagena sedana. Wygląda jak wgnieciony ogromnym kciukiem, jakby nie był z blachy, ale z ciasta. Eksplozja wypchnęła przednią szybę i rozerwała drzwi od strony kierowcy. Kenanowi zdaje się, że właścicielem auta jest mężczyzna z pierwszego piętra w budynku po drugiej stronie ulicy. Co prawda kiedy ostatnio rozmawiali, nie wspominał, że zniszczono mu samochód, ale o takich rzeczach po prostu się już nie mówi.

Po lewej mija centrum pomocy humanitarnej, ulokowane na parterze powojennego budynku bez windy, pośrodku dawnego targu. Niezrażony zamkniętymi drzwiami podchodzi bliżej, szukając wzrokiem informacji o następnym konwoju.

Centrum wywiesza nieraz powiadomienia o towarach, których można się spodziewać, by ludzie wiedzieli, jakie przynieść torby i pojemniki. Tym razem jednak nic nie wisi. Ostatnia dostawa była kilka tygodni temu, może nawet ponad miesiąc.

Zawraca w stronę ulicy i spostrzega znajomą postać. Ismet, żołnierz, skręca ku niemu. Są w podobnym wieku, znają się przeszło dziesięć lat. Kiedy wybuchła wojna, Ismet od razu wstąpił do wojska. Przed wojną pracował jako taksówkarz, ale zniszczono mu samochód i teraz chodzi piechotą prawie osiem kilometrów do linii frontu na północy, w pobliżu stacji przekaźnikowej telewizji. Zwykle spędza tam cztery dni, po czym na kolejne cztery wraca do domu, by pobyć z żoną i małą córeczką. Czasem zagląda do Kenana późnym wieczorem i opowiada mu o przebiegu walk. Na przykład o tym, jak on i jego towarzysz mieli na spółkę jeden karabin z dwudziestoma nabojami, a ich zadaniem było powstrzymanie natarcia trzech czołgów wzdłuż górskiego grzbietu. Wiedzieli, że jeśli czołgi ruszą, nie zdołają nic zrobić. Naboje błyskawicznie by się skończyły, zresztą i tak na nic by się nie zdały. Czekali w strachu całą noc, wzdrygając się na każdy dźwięk. Gdy nastał ranek, nie posiadali się ze szczęścia. Kiedy kilka godzin później spali w zaimprovizowanym schronie za linią frontu, kilka metrów od nich wylądował pocisk i towarzysz Ismeta zginął. Ismet opowiadał o tym wszystkim z kamienną twarzą, na końcu jednak uśmiechnął się i zaśmiał. Zapytany o przyczynę tego rozbawienia spojrzał na Kenana, jakby ten go nie słuchał.

– Przeżyliśmy noc – powiedział. – To był szczyt naszych marzeń. Udało nam się i byliśmy szczęśliwi. To, czy przeżyjemy jeszcze kilka godzin, czy pięćdziesiąt lat, nie miało znaczenia.

W takich chwilach Kenan zastanawia się, dlaczego nie potrafi się zmusić do wstąpienia do wojska. Jak dotąd udało mu się uniknąć poboru, trzyma się z dala od tych, którzy krążą po mieście i siłą wcielają ludzi do swoich oddziałów. Chodząc z butlami po wodę, czuje się bezpieczny, bo jeszcze nikt nie odważył się odrywać cywilów od tej ważnej misji. Nie wiadomo jednak, jak długo to potrwa, ile czasu minie, zanim ktoś zapuka do jego drzwi i wręczy mu karabin.

Owszem, nie jest już najmłodszy, ale wciąż jest wystarczająco młody. Owszem, nie wygląda najlepiej, ma trójkę dzieci na utrzymaniu i nie posiada żadnych umiejętności przydatnych w wojsku. Ale i tak by go wzięli. Zaciągają się ludzie dużo starsi od niego, mający więcej dzieci i jeszcze mniej zdadni do walki. Kenan nie chce. Zna prawdziwy powód.

Boi się śmierci. Oczywiście może zginąć w każdej chwili, niezależnie od tego, czy jest w wojsku, ale jako cywil ma większe szanse na przeżycie, a jego śmierć

byłaby niesprawiedliwością, co nie do końca da się powiedzieć o śmierci żołnierza. Jeżeli trafi do wojska, prędzej czy później przyjdzie mu kogoś zabić. Zabijania boi się jeszcze bardziej niż umierania. Nie wie, czy by się na to zdobył. Czasem nawet ma ochotę – po tamtej stronie na pewno nie brakuje ludzi, którzy zasługują na śmierć – ale raczej nie dałby rady. Zabicie drugiego człowieka wymaga odwagi, jakiej on nie ma. Człowiek, pod którym uginają się nogi, gdy musi wyjść z domu po wodę dla swojej rodziny, nie nadaje się do tego, co robi Ismet.

Kenan nie wie, czy Ismet wyczuwa w nim to wewnętrzne napięcie. Nigdy nie poruszał przy nim tego tematu, nie wiedział nawet, jak to zrobić, a tymczasem fakt, że Ismet walczy w obronie ich wszystkich, a on nie, urasta w jego głowie do coraz większych rozmiarów.

Dziś Ismet wygląda na wyjątkowo zmęczonego. Zieloną kurtkę z emblematem, który wyszyła mu żona, pokrywa błoto, twarz ma zarośniętą. Z powodu niedawno odniesionej rany kuleje na jedną nogę, co tym bardziej rzuca się w oczy u osoby tak wysokiego wzrostu. Włosy ma dłuższe niż zwykle, ale nadal czarne jak smoła. Worki pod oczami nadają mu wygląd ogara w rodzaju tych, jakie w filmach tropią zbiegłych więźniów.

Ściskają się na powitanie. Kenan cieszy się ze spotkania z przyjacielem. Nie przyznaje się do tego przed sobą, ale dręczy go straszne przeczucie, że któregoś dnia Ismet nie wróci.

– Co słyhać?

Ismet uśmiecha się szeroko.

– Kule i granaty. – Wskazuje gestem centrum pomocy. – Jakież wieści?

Kenan kręci głową.

– Liczyłem po cichu na jakieś mięso. Krwisty stek albo jagnięcinę. – To ich stały żart.

– Daj spokój. Jak masz chrapkę na mięso, upoluj stonogę. Ma tyle nóg, że nie zjesz wszystkich. – Wyciąga z kieszeni paczkę papierosów i go częstuje.

Kenan odmawia. Nie żeby go nie korciło, ale domyśla się, że Ismet ma tylko jedną paczkę, może dwie, pewnie dostał je zamiast żołdu, a kiedy mu się skończą, odczuje to mocniej niż Kenan, który rzucił palenie, uznawszy, że nie stać go na taki luksus, i jakoś żyje bez papierosów.

– Bierz śmiało, nie zgrywaj męczennika. Mam więcej. – Ismet wyciąga jednego i wpycha przyjacielowi w dłoń. – Zrób to dla mnie.

Tytoń przyprawia go o lekki zawrót głowy, ale to przyjemne. Brakowało mu tego.

– Dzięki.

Przez dłuższą chwilę stoją w milczeniu i dobrze im z tą ciszą. Jest wiele rzeczy, o których mogliby porozmawiać, ale nie mogą, nie chcą o nich mówić.

Ismet kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Powodzenia z wodą. Zjrzę do ciebie wieczorem albo jutro.

Chowa ręce do kieszeni i rusza w dalszą drogę.

Kenan patrzy, jak przyjaciel znika za rogiem. Potem podnosi swoje pojemniki i zaczyna schodzić w dół zbocza. Dociera do skrzyżowania z lustrem pozwalającym kierowcom dostrzec nadjeżdżające z boku pojazdy. To jedna z niewielu ocalałych tafli szkła w okolicy, Kenan za każdym razem dziwi się na jej widok. Jest w tym niemal coś zabawnego. Na ulicach prawie nie ma samochodów – te, które uniknęły zniszczenia, i tak są bezużyteczne ze względu na niedostatek paliwa i jego wysoką cenę. Nieliczne czynne samochody stanowią ulubiony cel żołnierzy na wzgórzach, a prędkość, z jaką się poruszają, sprawia, że są równie groźne jak oni. Sygnalizacja świetlna nie działa, drogi są dziurawe i zawałone gruzem, a to jedno niezadrażnione lustro jak stało, tak stoi.

Skreca na wschód, a potem znów na południe. Mija budynek, w którego piwnicy mieści się jadłodajnia; być może zajrzy tam w drodze powrotnej, może jest otwarta i go nakarmią. Jego kuchenne zapasy są na wyczerpaniu i dobrze by było, gdyby nie musiał wieczorem jeść kolacji, bo wtedy zostanie więcej dla jego rodziny.

Nieco dalej na południe stoi Akademia Muzyczna. Gmach liczy sobie ponad wiek, a muzyków kształci się tam od czterdziestu lat. Kopułę na rogu ulicy zdobi harfa. Między oknami drugiego i trzeciego piętra granat przeciwpancerny wybił dziurę w murze. W środku inny pocisk rozerwał ścianę głównej sali koncertowej. Mimo to z wnętrza budynku wydobywają się dźwięki fortepianów. Z kilku różnych miejsc dolatuje kilka różnych utworów, uderzenia młoteczków w struny zlewają się ze sobą, tak że nie można ich rozdzielić, ale czasem któraś z melodii na moment ustaje, robiąc miejsce dla innej, i wtedy na ulicy da się słyszeć kilka harmonijnych nut.

Wkrótce Kenan dochodzi do większej ulicy. Przed wojną wsiadał tutaj do tramwaju i jechał trzy przystanki do pracy. Lubił tramwaj. Dla niego i dla wielu innych sarajewian był to jeden z najbardziej namacalnych symboli cywilizacji.

Kiedy wybuchły walki, był w pracy. Ktoś przybiegł do biura i oznajmił, że zaczęła się wojna. Parę osób wpadło w panikę i rzuciło się do telefonów, inni siedzieli w osłupieniu, nie mogąc uwierzyć. Goran podszedł do okna i wyjrzał na ulicę. Wrócił uśmiechnięty.

– Nie ma wojny. Tramwaje jeżdżą – powiedział i usiadł za biurkiem.

Kenan i paru jego kolegów także wróciło do pracy. Nie dopuszczali możliwości,

że żołnierze na wzgórzach będą strzelać do tramwajów, że ich kule będą zabijać pasażerów. W kolejnych tygodniach widział niejedno, ale najbardziej wrył mu się w pamięć widok płonącego tramwaju: trafiony z moździerza i ostrzelany przez snajperów wypluwał w niebo kłęby smolistego dymu. Od tamtego dnia tramwaje nie kursują. Opustoszałe, rozrzucone po mieście służą czasem za osłonę przed snajperami albo zwyczajnie stoją i rdzewieją. Cokolwiek się wydarzy, dla Kenana wojna nie będzie skończona, dopóki tramwaje nie wrócą na tory.

Gdyby odbił teraz na zachód, dwie przecznice w prawo, dotarłby na bazar. Pozbawiony paczek żywnościowych zmuszony jest często robić tam zakupy po astronomicznie zawyżonych cenach. Na początku wojny jedna niemiecka marka, czyli około pół amerykańskiego dolara, była warta dziesięć jugosłowiańskich dinarów. Teraz marka kosztuje milion dinarów. Kto nie wymienił od razu dinarów na inną walutę, szybko tracił wszystkie oszczędności. Choć teraz to i tak bez znaczenia. Każdego miesiąca ceny rosną prawie dwukrotnie i mało kto ma jeszcze jakieś zaskórniaki. W zeszłym miesiącu Kenan za sto dziesięć marek sprzedał na czarnym rynku pralkę. Odkąd wyłączono prąd, stała się kompletnie bezużyteczna. Ostatnio na targowisku kilogram jabłek kosztował pięćdziesiąt marek, kilogram ziemniaków – dwadzieścia. Cebulę sprzedawano po dwanaście, fasolę po osiemnaście, a za trzydzieści marek można było dostać trzy paczki papierosów. Cukier był po sześćdziesiąt, kawa po sto. Wszystko co najmniej dwadzieścia razy droższe niż przed wojną. Przy zarobkach takich jak dawniej. Kenan od początku wojny zarobił nie więcej niż tysiąc marek. Zostało mu w domu jeszcze kilka rzeczy do sprzedania, lecz niewiele.

Mimo to niektórych ludzi kłopoty finansowe jak gdyby w ogóle nie dotykały. Wożą się nowiutkimi mercedesami, ani trochę nie chudną, opływają w dobra, o jakich większość mieszkańców zdążyła już dawno zapomnieć. Kenan nie wie, jak ci ludzie to robią, wie jednak, że mnóstwo żywności przemyca się do Sarajewa przez tunel pod lotniskiem. Żeby skorzystać z tej drogi, trzeba mieć odpowiednie koneksje. Tunel jest czynny całą dobę, ale dostęp do niego mają nieliczni. Kenan domyśla się, że to właśnie na przemycanych tamtędy towarach bogacą się ci w sportowych autach. Nie rozumie, jak im nie wstyd żerować na ludziach takich jak on, głodnych i zdesperowanych.

Niewiele może jednak na to poradzić. Zapomina więc o bazarze, zapomina o pustym żołądku i przechodzi na drugą stronę jednokierunkowej ulicy okalającej główną część starówki. Tutaj robi się płasko, kończą się wzgórza, a zaczyna dno doliny. Kenan przychodzi tu od dziecka. Każdy zakamarek podsuwa mu jakieś

wspomnienie, przypomina o czymś bezpowrotnie utraconym. Zastanawia go, co będzie, gdy wojna się skończy. Nawet jeśli każdy budynek zostanie pieczołowicie odbudowany, czy zdoła usiąść w fotelu i napić się kawy z przyjaciółmi, nie myśląc o wojnie i wszystkich jej następstwach? Mimo wszystko chciałby przynajmniej spróbować. Na pewno nie chce pozbawiać się tej szansy.

Ulica Strossmayera była dziełem dwóch architektów, jeden zaprojektował pierzeję wschodnią, drugi – zachodnią. Kenan pamięta, jak przyszedł tutaj z rodzicami między Bożym Narodzeniem a Nowym Rokiem, by podziwiać świąteczne dekoracje. Miał na sobie nowy płaszcz i był z niego niezmiernie dumny. Mama powiedziała, że wygląda bardzo elegancko, chwaliła go nawet starsza siostra, która uwielbiała mu dokuczać. Szedł wzdłuż ulicy za rękę z tatą, co jakiś czas zatrzymując się, by popatrzeć na ozdobne lampki, a tata rozmawiał z nim jak z dorosłym. Trudno rozpoznać tamtą ulicę w tej, na której znajduje się teraz.

Jeżeli pójdzie dalej na południe, dojdzie do wschodniego odcinka jednokierunkowej ulicy, którą wcześniej przeciął. Ta główna arteria tramwajowa wiedzie na wschód aż do Biblioteki Narodowej, odgina się na północ, a potem zakręca na zachód, by wreszcie połączyć się sama ze sobą w pobliżu mostu Vrbanja, po drugiej stronie Grbavicy. Gdyby podszedł jeszcze dalej na południe, przekroczyłby Miljackę mostem Ćumurija. Aby dostać się do browaru, prędzej czy później będzie musiał przepłynąć przez rzekę, lecz most Ćumurija jest najmniej kuszący ze wszystkich, mimo że właśnie tamtędy prowadzi najkrótsza droga z jego domu na drugi brzeg. Był wielokrotnie ostrzeliwany i został z niego jedynie stalowy szkielet. Mógłby po nim przejść, balansując na stalowej ramie, ale z butlami, nawet pustymi, byłoby mu trudno, nie mówiąc o tym, że stanowiłby łatwy cel dla snajperów na wzgórzach.

Trzymając się blisko budynków, skręca na wschód, w stronę mostu Principa. Most Principa również widać ze wzgórz, ale jest w znacznie lepszym stanie i można po nim przejść o wiele szybciej. Mija resztki wspaniałego niegdyś hotelu Europa. Tradycja domu zajezdnego w tym miejscu sięga piętnastego wieku. Ostatnim razem uległ zniszczeniu przed stu laty: nazywał się wtedy Karczma Kamienna. W pobliskim składzie kupieckim wybuchł pożar i szybko dotarł do karczmy, przy której wojsko przechowywało wówczas duży zapas alkoholu metylowego. Część beczek eksplodowała i ogień rozprzestrzenił się na zachód, ogarniając znaczną część starówki. Zawartość pozostałych beczek strażacy wylali do rzeki, zapominając, że alkohol jest lżejszy od wody. Kiedy niedługo potem podłączyli do Miljacki beczkowsy, węzami zamiast wody popłynął ogień. Gdy zrozumieli swój błąd, było

za późno. Żywioł strawił sporą część miasta. Nawet teraz, idąc ulicą, Kenan widzi granicę wielkiego pożaru: stara zabudowa turecka spotyka się tutaj z nowszą austro-węgierską.

Bardziej niż tamta noc interesuje go poranek po kataklizmie. Jak wtedy wyglądało miasto? Czy podobnie jak dzisiaj? Wielki pożar przynajmniej szybko się skończył. Kenan nie wie, czy to, co teraz widzi, to koniec wojny, czy zaledwie jej początek. Nie wie, jak będzie wyglądało Sarajewo, kiedy to wszystko się skończy, o ile się skończy. Czy można dźwignąć całe miasto z gruzów? Czy wezmą w tym udział ludzie, którzy je niszczyli? Czy zostanie odbudowane wyłącznie po to, by znów można było je zburzyć, czy raczej w przekonaniu, że to już ostatni raz i że odtąd będzie trwało wiecznie? Intuicja mu podpowiada, że charakter ludzi odbudowujących miasto ma większe znaczenie niż to, kim byli ci, którzy je zniszczyli. Oczywiście, że tamci na wzgórzach są źli. To nie podlega dyskusji. Ale jakie będzie Sarajewo, jeżeli za odbudowę miasta wezmą się ludzie wątpliwego charakteru? Przypomina sobie mężczyzn w eleganckich autach, którzy odkupili od niego pralkę za parę kilogramów ziemniaków i cebuli. To nie oni powinni tworzyć nowe Sarajewo, kiedy przyjdzie na to pora, o ile w ogóle przyjdzie.

Jest już prawie na moście Principa. Dawniej był to most Łaciński, ale w tysiąc dziewięćset czternastym roku właśnie tutaj zaczęła się pierwsza wojna światowa. W miejscu, z którego Gawriło Princip zastrzelił habsburskiego następcę tronu i jego ciężarną żonę, do niedawna widniały odcisnięte na pamiątkę ślady jego butów, lecz teraz już ich tam nie ma, ktoś je zniszczył albo ukradł. Ostatnie słowa arcyksięcia Franciszka Ferdynanda do małżonki brzmiały: „Nie umieraj, musisz żyć dla naszych dzieci”. Nie powinno go tam w ogóle być, lecz uparł się, że pojedzie do szpitala i odwiedzi ofiary poprzedniego zamachu na jego życie. Princip dał już tego dnia za wygraną i właśnie się posilał, gdy nadszedł samochód arcyksięcia; wyszedł na ulicę i oddał dwa strzały. Jako nastolatek Kenan był na wycieczce klasowej w niewielkim muzeum, teraz już zniszczonym, upamiętniającym tamto zabójstwo. Zawsze było mu trochę wstyd, że przez długi czas Sarajewo kojarzyło się całemu światu z mordem. Z czym będzie się kojarzyło teraz, kiedy zginęły w nim tysiące ludzi? Choć obecnie świat pewnie woli w ogóle nie myśleć o Sarajewie.

Już ma skręcić na południe ku mostowi, gdy nagle zza rogu wybiega człowiek. Schroniwszy się za budynkiem, osuwa się bez tchu na ziemię.

- Snajper. – Wskazuje w stronę mostu. – Cały lewy brzeg jest pod ostrzałem.
- Chcę się dostać do browaru – wyjaśnia Kenan, pomagając mu wstać.
- Najlepiej mostem Šeher-Ćehajina – sugeruje tamten.

Kenan zamyśla się głęboko. Ze wszystkich przepraw na Miliacce most Šehar-Ćehajina leży najdalej na wschód – trzeba by nadłożyć mnóstwo drogi. W tej chwili od browaru dzieli go jeszcze około półtora kilometra; idąc naokoło, musiałby pokonać trzy i pół.

– Jesteś pewien?

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Twoja decyzja. Może to nie jest dobry snajper. Mnie nie trafił.

Wahanie Kenana przerywa huk moździerzowego pocisku lądującego gdzieś nieopodal, pewnie na drugim brzegu. Rozlega się krótka seria z karabinu, po niej wybucha kolejny pocisk. Kenan czuje, że ogarnia go panika, stara się oddychać głęboko. Sucho mu w ustach.

– Spokojnie – odzywa się tamten. – Tutaj nas nie dosięgną.

Kenan wie, że to nieprawda, ale te słowa podnoszą go na duchu, podobnie jak świadomość, że to nie oni są celem ostrzału. Eksplozje wydają się oddalać – w każdym razie nie przybliżają się.

Rozumiejąc, że musi pójść okrężną drogą, życzy mężczyźnie powodzenia, po czym cofa się pięćdziesiąt metrów na północ, by nie zahaczyć przypadkiem o obszar ostrzeliwany przez żołnierzy znajdujących się na wzgórzach. Skręca na wschód przy Słodkim Rogu, zawdzięczającemu nazwę nagromadzeniu cukiererek powstałych tutaj na przełomie wieków, dokładnie na granicy wschodniej i zachodniej architektury w obrębie starówki.

Wkraczając do Bašcaršiji, starej dzielnicy tureckiej, czuje się, jakby wracał do miejsca kaźni. Odkąd spłonęła biblioteka, nie był tu ani razu; teraz nawet z oddali wyczuwa jej bliskość. Z jakiegoś powodu sterty roztrzaskanych dachówek i pokruszonych cegieł w tej części miasta smucą go bardziej niż gdzie indziej. Na ulicach jest trochę ludzi, w jednym z wąskich zaułków dostrzega grupkę „blacharzy” z niewielkim asortymentem rzeczy na sprzedaż. Od miesięcy przetapiają kule i łuski na długopisy, talerze – wszystko, czym można handlować. Jeden z nich zmajstrował mały piecyk na drewno. Kenan jest ciekaw, ile za niego chce, choć nie ma złudzeń, że go stać.

W Bašcaršiji prawie nikt nie mieszka. Przez pięć stuleci jej ulice, każda wyspecjalizowana w innych towarach, pełniły funkcję miejskiego targowiska. W ostatnich latach ten rygorystyczny podział uległ zatarciu, coraz więcej sklepów handlowało rzeczami produkowanymi z myślą o turystach. Teraz nie ma turystów, a sklepy są pozamykane, tak jak wszystko inne. Na północy widać Sebilj, studnię miejską w kształcie altany, do niedawna miejsce spotkań. Dziś tylko gołębie są na tyle

odważne albo głupie, by gromadzić się wokół niej pośrodku rozległego placu.

Gdy Kenan, trzymając się blisko ścian budynków, mija Sebilj, jeden z gołębi podnosi alarm i cała reszta zrywa się do lotu. Gołąb sunie prędko w jego stronę, jakby przyciągany potężnym magnesem. Kenan zamiera w zdumieniu i patrzy, jak ptak znika w drzwiach parę metrów przed nim. Piski cichną, jak nożem uciął, a po kilku sekundach zza progu wylatuje okruch chleba. Przyglądając się, Kenan spostrzega, że okruch jest do czegoś przyczepiony. Ptaki nieśmiało wracają na plac, jeden zbliża się do chleba i nagle wszystko staje się jasne. Ktoś tu łowi gołębie.

Kenan robi parę kroków naprzód i zagląda do środka. Jego oczom ukazuje się starszy mężczyzna z krótką wędką, wpatrzony bacznie w okruch na bruku. Widząc Kenana, daje mu znak dłonią, by nie nadepnął na żyłkę.

– Biorą? – pyta Kenan ściszym głosem, by nie spłoszyć ptaków.

– Biorą – odpowiada mężczyzna, nie zdejmując wzroku z szarego gołębia, który popatruje łakomie na okruch.

– O tej porze roku trzeba mieć zezwolenie? – Kenan uśmiecha się, by nie było wątpliwości, że to żart.

Nieznajomy przygląda mu się badawczo, jakby próbując ocenić, czy ma do czynienia z jakimś funkcjonariuszem. W końcu odwzajemnia uśmiech.

– Oczywiście, że trzeba. Oddzielne na ryby i na wędkę.

– A gdzie można je dostać?

Mężczyzna wskazuje wzgórze.

– O tam. Cały czas pod górę, aż dojdzie pan do biura.

Gołąb podszedł blisko. Wciąż się waha, lecz nie może sobie pozwolić na niezdecydowanie, bo za nim nadchodzi już kolejny. Zbliża się do chleba.

– Dużo trzeba zapłacić? – pyta Kenan.

Mężczyzna potrząsa głową.

– Nie, ale jest bardzo długa kolejka oczekujących. To może trochę potrwać.

Szary gołąb wyprzedza rywala i rzuca się na okruch. Połyka go w całości i przez moment nic się nie dzieje. Gołąb wygląda na zadowolonego z siebie. Udało mu się skubnąć trochę jedzenia. Życie jest znośne. Nagle coś go szarpie w środku, gołąb wydaje przenikliwy krzyk, próbuje wzbić się w powietrze, lecz mężczyzna chwytą żyłkę i ściąga ptaka z powrotem na ziemię.

– Czasem próbują odlecieć, a czasem nie – mówi. – Nie wiem, od czego to zależy.

Zwija linkę, przyciągając ptaka coraz bliżej, aż wreszcie, gdy ten jest w zasięgu jego ramienia, chwytą go mocno. Z jakiegoś powodu, być może wskutek szoku, gołąb zaprzestaje oporu. Wędkarz jedną ręką ściska mu tułów, a drugą ukręca łąpek. Potem

uwalnia martwego ptaka z linki i wrzuca do worka. Wstaje.

– Koniec na dziś? – pyta Kenan.

Mężczyzna kiwa głową.

– Złapałem sześć, po jednym dla każdej osoby w moim domu. Biorę tylko tyle, ile potrzebuję. Jeżeli nie będę zbyt pazerny, może jutro znów tu przylecą.

– Powodzenia.

– I panu również.

Mężczyzna podnosi worek oraz wędkę i rusza na północ, w kierunku Vratnika.

Kenan stoi na placu jeszcze długo po jego odejściu. Sam nigdy nie zabił żadnego zwierzęcia, z wyjątkiem ryby, ale też nie uważał, że to coś złego. Trudno mu jednak nie odczuwać swoistej więzi z uśmierconym przed chwilą gołębem. Niewykluczone, że tamci na wzgórzach rozmyślnie zabijają ich powoli, po kilku naraz, tak by mieć kogo zabijać nazajutrz.

STRZAŁA

Gabinet dowódcy oddziału, do którego należy Strzała, prezentuje się nader skromnie. Mały pokój z biurkiem i trzema krzesłami, pozabijane okna, wytarta drewniana podłoga przykryta brudnym dywanem. Wszystko rozjaśnione jedną gołą żarówką zasilaną przez generator szumiący w sąsiednim pomieszczeniu. Żarówka wisi nisko nad biurkiem pośrodku gabinetu; jeśli Strzała na nią spojrzy, przez dziesięć minut będzie miała przed oczami świecąca kulę. Za każdym razem zastanawia się, czy to niefortunne umiejscowienie żarówki to celowy zabieg mający zastraszyć gości, czy jedynie przejaw niechłujstwa. Z jej doświadczenia wynika, że wojsko przoduje zarówno w zastraszaniu, jak i w złym smaku.

– Od pewnego czasu jesteś obserwowana. – Dowódca staje za nią i kładzie jej dłoń na ramieniu, jakby chciał jej dodać otuchy. Strzała zastanawia się, czy chodzi mu o to, co działo się rano, o snajpera, który na nią polował. Im dłużej o tym myśli, tym bardziej ciąży jej ta dłoń. Musi się powstrzymać, żeby jej nie zrzucić, nie wstać z krzesła i nie złapać dowódcy za gardło.

– Wiele osób podziwia twoje umiejętności – dodaje.

Strzała domyśla się, że nie chodzi mu o tamtego snajpera, i odzyskuje spokój. Dowódca zabiera dłoń i siada po drugiej stronie biurka.

Nermin Filipović jest przystojnym mężczyzną, ubranym w zmięty, lecz czysty mundur polowy. Brodę ma starannie przystrzyżoną, włosy ciemne i odrobinę za długie. Strzała wyobraża sobie, że są miękkie w dotyku. Filipović zbliża się do czterdziestki i z tego, co jej wiadomo, nie jest żonaty. Ma niewielką bliznę na czole, nad prawym okiem, i pociemniały, fioletowy paznokieć na prawym kciuku, jakby oberwał w niego czymś twardym.

Jest zawodowym żołnierzem. Kiedy wybuchła wojna i czwarta co do wielkości armia w Europie zwróciła się przeciwko swoim, otaczając Sarajewo, był jednym z nielicznych oficerów, którzy się wyłamali i postanowili bronić miasta przed dawnymi kolegami. Jeżeli przegrają i Sarajewo upadnie, jeżeli tamci na wzgórzach zajmą miasto, Filipović zostanie rozstrzelany jako jeden z pierwszych. Strzała nie wie, jak wysoko na tej liście znajduje się ona sama. Nie sposób stwierdzić, ile o niej wiedzą.

– Mamy dla ciebie specjalne zadanie. Bardzo ważne zadanie.

Strzała kiwa głową. Spodziewała się takiego obrotu rzeczy. Do tej pory sama wybierała swoje ofiary, zostawiano jej w dużej mierze wolną rękę, oczekując jedynie, że będzie robiła dobry użytek ze swojego karabinu. Ostatnio jednak miała wrażenie,

że poświęca się jej coraz więcej uwagi. Jest tylko kwestią czasu, zanim każą jej zrobić coś, na co wcale nie ma ochoty.

– Chciałabym ci przypomnieć o naszej pierwszej rozmowie – mówi, patrząc mu prosto w oczy, co nie zdarza się jej często.

W czwartym miesiącu wojny Nermin przysłał po nią swojego człowieka. W zasadzie Strzała była zdziwiona, że tyle to trwało. Do większości członków uniwersyteckiej drużyny strzelców zgłoszono się już wcześniej. Później dowiedziała się, że jej ojciec, który pracował w policji, poprosił Nermina, by ją pominął. Stracił życie w jednej z pierwszych bitew, przed siedzibą władz kantonu sarajewskiego. Nie zapytała Nermina, czy uważa, że jej ojciec zmieniłby zdanie, czy zwyczajnie postanowił zlekceważyć prośbę zmarłego. Woli nie wiedzieć.

– Potrzebujemy dobrych strzelców, takich jak ty – powiedział jej.

– Nigdy nie strzelałam do ludzi – odparła, zdając sobie sprawę, że do niedawna większość obrońców Sarajewa – a może również tamtych na wzgórzach – mogła zapewne powiedzieć to samo.

– To kwestia zmiany perspektywy.

– Nie chcę zabijać.

– Będziesz ratować ludzi. Każdy z tych żołnierzy na wzgórzach zabija naszych. Jeżeli im pozwolimy, zabiją nas wszystkich.

Strzała zaczęła się nad tym zastanawiać. Jak by to było nacisnąć spust i posłać kulę nie do papierowej tarczy, ale prosto w żywą istotę? Z pewnym zaskoczeniem stwierdziła, że ta myśl wcale jej nie przeraża, pewnie mogłaby to zrobić i jakoś z tym żyć.

– Myślę, że to się skończy – odparła.

W dłoniach obracała zgodnie z ruchem wskazówek zegara kubeczek ze stygnącą kawą. Nie upiła z niego jeszcze ani łyka.

Nermin oparł się o poręcz krzesła i przez chwilę wpatrywał się w ścianę, jakby tam było okno, jakby dostrzegł coś, co pozwalało rozważyć jej słowa w nowym świetle.

– Trzeba w to wierzyć. Obyś miała rację. Nie wyobrażam sobie, żeby to mogło trwać wiecznie.

Oderwał wzrok od ściany, jak gdyby wyczuwając, że Strzała zamierza się zadeklarować.

Pokiwała głową.

– Myślę, że to się skończy, a ja chcę wtedy wrócić do dawnego życia. Chcę mieć czyste ręce.

Nermin zerknął przelotnie na własne dłonie, złożone na biurku. Nie była pewna, czy zrobił to świadomie. Raczej nie, ale i tak ją to zaniepokoiło. Po chwili przeniósł ręce na uda.

– Nie sądzę, aby ktokolwiek z nas wrócił do dawnego życia, niezależnie od tego, jak to wszystko się zakończy. Nawet ci, którzy nie ubrudzą sobie rąk.

– Jeżeli mam wam pomóc, będziemy musieli wprowadzić pewne reguły. Nie zamierzam bezmyślnie zabijać ludzi tylko dlatego, że mi każesz.

Uniosła kubek do ust i upiła trochę kawy. Dobrej, mocnej i gorzkiej, ale wystygłej.

Doszli więc do porozumienia. Będzie odpowiadać wyłącznie przed nim, działać w pojedynkę i samodzielnie wybierać większość ofiar. Od czasu do czasu Nermin prosił ją o zabicie konkretnej osoby lub obstawienie określonego obszaru – jak dotąd żadna z tych próśb nie stanowiła dla niej problemu.

Dziś Strzała wie, że tamta kobieta, która przyszła do jego gabinetu i mówiła, że nie chce zabijać, już dawno nie istnieje, i że z każdym upływającym tygodniem traci wiarę, że to się kiedyś skończy. Warunki tamtej niepisanej umowy wydają się coraz mniej istotne.

Ale to w żaden sposób nie zmniejsza jej determinacji. Zależy jej wręcz jeszcze bardziej, by trzymać się tamtych reguł i zachować czyste ręce. Choć ledwie pamięta, kim była dawniej, nadal wie, kim chce być, a jedyna droga ku temu zdaje się wieść przez jej dawne ja.

Nermin długo się jej przygląda. Widać, że się waha, powiedzieć jej czy nie powiedzieć, pewnie coś związanego z jej rolą w obronie miasta. Wstaje, mija ją, otwiera drzwi i daje znak, żeby poszła za nim.

– Chcę ci coś pokazać. Nie martw się. Nie ubrudzisz sobie przy tym rąk.

– Jeszcze chwila – mówi Nermin, zerkając na zegarek. – Zaraz się zacznie.

Strzała dobrze zna tę ulicę. Przebiega ona przez serce miasta, blisko granicy między zabudową turecką i austro-węgierską. W głębi ulicy znajduje się pomnik upamiętniający poległych w drugiej wojnie światowej – wieczny płomień, który zgasł. Za plecami Strzały biegnie inna ulica, przy której umawiała się na kawę ze znajomymi ze studiów; stąd już niedaleko do rzeki. Za rzeką wznoszą się południowe wzgórza i góra Trebević, na którą dawniej można było wjechać kolejką linową.

Stoją w drzwiach nieczynnego sklepu naprzeciwko hali targowej. Strzała wie, że niedawno wybuchł tutaj granat, zabijając mnóstwo ludzi. Słyszała o tym w radiu

i choć tyle ofiar naraz to rzadkość, dość szybko wyleciało jej to z głowy. Tak po prostu wyglądało życie w Sarajewie. Groźba śmierci czaiła się wszędzie i nikogo nie dziwiło, że czasem się spełnia. Ale teraz, stojąc na ulicy, na której to się zdarzyło, Strzała czuje, że stało się tutaj coś ważnego.

Gdzieś na zachodzie rozlega się pomruk wybuchu i Strzała odruchowo spogląda w tamtą stronę.

Nermin, który ani drgnął, uśmiecha się.

– Chyba próbują nam coś powiedzieć.

– Ale co? – pyta Strzała, gdy kolejny pocisk ląduje w tej samej okolicy.

Nermin wzrusza ramionami.

– Nie wiem. Staram się tego nie słyszeć. Oho, idzie.

W pierwszej chwili Strzała nie do końca wierzy własnym oczom. Przychodzi jej nawet do głowy, że może to jakieś halucynacje – albo że umarła i wyruszyła w swoją ostatnią wędrówkę, najdziwniejszą ze wszystkich dotychczasowych. Stopniowo jednak dociera do niej, że nadal żyje, nie postradała zmysłów, a to, co widzi, dzieje się naprawdę.

Z jednego z budynków wyłania się wysoki mężczyzna z burzą ciemnych włosów na głowie, o niemal komicznym wąsie i najsmutniejszej twarzy, jaką kiedykolwiek widziała. Ubrany jest w lekko zakurzony smoking, pod jedną pachą niesie wiolonczelę, a pod drugą taboret. Wychodzi na ulicę spokojnym, zdecydowanym krokiem, jakby nieświadomy niebezpieczeństwa, na jakie się naraża; stawia taboret na środku jezdni, siada na nim i umieszcza instrument między nogami.

– Co on robi? – pyta Strzała, lecz Nermin nic nie odpowiada.

Wiolonczelista zamyka oczy i siedzi nieruchomo ze zwieszonymi rękami. Ma się wrażenie, że wiolonczela sama, bez jego pomocy, utrzymuje się w pionie. Drewno świeci się głębokim, ciepłym blaskiem wśród szarości popękanych chodników; Strzała ma ochotę go dotknąć, przesunąć palcami po lakierowanej powierzchni. Wyciąga rękę, daremnie usiłując pokonać przepaść znacznie większą niż te trzydzieści metrów dzielących ją od instrumentu.

Wiolonczelista otwiera oczy. Z jego twarzy zniknął smutek. Nie wiadomo, gdzie się podział. Unosi ręce, lewą chwyta szyjkę instrumentu, prawą opiera smyczek o struny. Strzała jeszcze nigdy nie widziała czegoś tak pięknego. Mężczyzna zaczyna grać, ale ona nic nie słyszy. Świat całkiem ucichł.

Strzała cofa głowę za mur. Jest gdzie indziej. Roześmiana matka unosi ją do góry, obraca w powietrzu. Ciepły psi język liże ją po ramieniu. Czuje podmuch powietrza od przelatującej nad głową śnieżki. Poślizgnęła się w kałuży cudzej krwi i ląduje na

boku, a tuż przed jej nosem leży czyjaś urwana ręka. W kinie chłopak, który jej się podoba, całuje ją i kładzie jej dłoń na brzuchu. Wydycha powietrze i pociąga za spust.

Potem wracają dźwięki. Nie do końca rozumie, co się stało. Co jej zrobił ten człowiek, o czwartej po południu grający na wiolonczeli na środku ulicy? Nie wolno ci płakać, powtarza sobie w duchu. Zachowa spokój, dopóki muzyk nie skończy, nie wstanie z miejsca i nie zniknie w budynku, z którego wyszedł.

Nermin patrzy na nią.

– Nie możemy pozwolić, żeby zginął – mówi.

– Nie rozumiem. – Ledwie do niej dotarło, co powiedział; wciąż jeszcze dochodzi do siebie.

Nermin zdejmuje czapkę i wyciera czoło rękawem.

– Mówi, że będzie grał codziennie przez dwadzieścia dwa dni. Dziś jest ósmy dzień. Ludzie zwracają na niego uwagę. Świat zwrócił na niego uwagę. Ten człowiek nie może zginąć.

– Nie mogę odpowiadać za jego życie. – Strzała jest zmęczona. Prawie zawsze jest zmęczona, ale nie pamięta, kiedy ostatnio się do tego przyznała, choćby przed sobą. Mija ich staruszka, powłócząc nogami przy samej ścianie budynku. Strzała zastanawia się, która z nich dwóch jest bardziej wyczerpana.

Nermin potrząsa głową.

– Nie oczekuję, że będziesz. Nie do końca o to nam chodzi.

Wyjaśnia, że miejsce, w którym codziennie siada wiolonczelista, choć narażone na atak mózdzierzowy, nie znajduje się na linii strzału snajperów z południowych wzgórz. Dlatego, jeśli wierzyć informacjom, jakie do nich dotarły, wróg zamierza przysłać w ten rejon miasta snajpera w celu dokonania zamachu. Jej zadaniem będzie go powstrzymać. Owszem, to prawie niemożliwe. Ale przecież rzeczy niemożliwe stanowią poniekąd jej specjalność.

– Dlaczego po prostu nie ostrzelają ulicy z mózdzierzy?

– Im nie chodzi jedynie o to, żeby tak po prostu pozbawić go życia. To ma być czytelny znak.

Strzała opiera się o ścianę i wyobraża sobie wiolonczelistę leżącego na ulicy. Nermin ma rację. Kula zostawia widomy ślad morderstwa.

– Posłuchaj – mówi dalej Nermin – zawarliśmy umowę i będę dalej robił wszystko, żeby jej przestrzegać. Ale sytuacja po naszej stronie się zmienia. Jeżeli się zgodzisz, oboje na tym skorzystamy.

– Nie zabijam dla niczyjej korzyści – ani swojej, ani twojej.

– Wiem. Nie wiem tylko, jak długo jeszcze będziemy mogli sobie na to pozwolić.

– Nermin pochyla się, całuje ją w oba policzki, po czym odchodzi. Strzała przez chwilę stoi w miejscu, nie rusza się, o niczym nie myśli. Podobają jej się ta cisza i spokój. Zaraz jednak zaczynają spadać pociski, więc odrywa stopy od ziemi, otula się ciasno płaszczem i rusza w stronę domu.

DRAGAN

Możliwe, że snajpera już nie ma. Od ostatniego strzału minęło co najmniej dziesięć minut. Przez ten czas kilka osób przedostało się bez szwanku na drugą stronę. Dragan zbliża się do krawędzi ulicy. Przejść czy nie przejść? Jest głodny, pustka w żołądku dodaje mu odwagi. Piekarnia jest po drugiej stronie. Od chleba dzieli go jeszcze tylko dwa niebezpieczne skrzyżowania. Lecz inny wewnętrzny głos podpowiada mu, że nie ma co się spieszyć. Przecież nie umrze z głodu, jeśli odczeka jeszcze parę minut – o wiele łatwiej stracić życie przez brak ostrożności.

Cofa się o kilka kroków i opiera plecy o nagrzaną stal wagonu, który zasłania go od strony Grbavicy, południowych wzgórz i Vracy, dawnej fortecy. Latem zabierał tam żonę i syna na pikniki, o ile nie mieli czasu na wyprawę do parku w Ilidży albo na górę Trebević. Stamtąd rozciągał się widok na większą część miasta – ten fakt w ostatnich miesiącach nabrał zupełnie nowej wagi.

Z prawej strony nadchodzi kobieta. Dragan ją rozpoznaje. Ma na imię Emina. Jest znajomą jego żony, mniej więcej piętnaście lat młodszą od niego. Zawsze ją lubił, nie przepadał natomiast za jej mężem, Jovanem. Za każdym razem gdy umawiali się na wspólną kolację na mieście, a przed wojną robili to często, musiał z nim rozmawiać, co było o tyle trudne, że Jovan interesował się głównie polityką, tematem, do którego Dragan nie miał cierpliwości. Z czasem Dragan zaczął się na różne sposoby wymawiać od tych kolacji, aż w końcu, tuż przed wybuchem walk, przestali się nawzajem zapraszać, a jego żona i Emina rozluźniły kontakty.

Emina z całą pewnością go zauważyła i chce z nim porozmawiać; Dragan patrzy, gdzie by się schować, choć wie, że to bez sensu. Nie uniknie tego spotkania, chyba że wybiegną na ulicę, ale choć ostatnio nawet zdawkowe ukłony w stronę nieznanym, a tym bardziej rozmowy z dawnymi przyjaciółmi, kosztują go wiele wysiłku, nie zamierza ryzykować życia tylko po to, by uwolnić się od cudzego towarzystwa. Ta myśl trochę go pociesza – czy jednak nie nadejdzie wkrótce taki dzień, kiedy dokona innego wyboru?

Licząc na cud, wbija wzrok w chodnik i udaje głęboko zamyślonego. Może minie go bez słowa? Zawsze jest cień szansy. Może w ogóle go nie spostrzeże, tylko z marszu wkroczy na jezdnię i przejdzie bezpiecznie na drugą stronę, nie zdając sobie w ogóle sprawy z jego obecności? Zależy mu na tym, by jak najszybciej dostać się do piekarni i odebrać swój bochenek, a nie na przypadkowych spotkaniach.

– Dragan, to ty? – Czyjaś dłoń dotyka jego ramienia.

Dragan uświadamia sobie, że udając zamyślenie, faktycznie się zamyślił.

Uśmiecha się rozbawiony, na co Emina również odpowiada uśmiechem.

– Emina, cześć. – Pochyliła się i całuje ją w oba policzki.

Ona mocno go obejmuje. Wydaje się taka mała pod swoim niebieskim wełnianym płaszczem. Dragan go pamięta. Żona powiedziała mu kiedyś, że chciałaby taki mieć. Zamierzał zapytać Emine, gdzie go kupiła, ale jakoś nigdy tego nie zrobił.

– Jak się masz? Jak się miewa Raza? Gdzie teraz mieszkacie?

Opowiada jej tyle, ile może: jego żona i syn wyjechali z Sarajewa jednym z ostatnich autokarów, ich mieszkanie było jednym z pierwszych, jakie zbombardowano, a on mieszka teraz u siostry. Nie może jej powiedzieć, że kiedy żona i syn wyjeżdżali nocą, miał przeczucie, że nigdy więcej ich nie zobaczy, mimo że będą zaledwie kilkaset kilometrów stąd, mniej niż godzinę lotu samolotem. Nie może jej opowiedzieć o tamtej nocy, kiedy ostrzelano jego mieszkanie; o tym, że wraz z sąsiadami ukrył się w piwnicy i czekali tam, aż cały budynek się na nich zawali; ani o tym, jak następnego dnia zapukał do drzwi siostry, a szwagier patrzył takim wzrokiem, jakby miał do niego pretensje, że zburzono mu dom. Gdyby miał jej opowiedzieć to wszystko, czego nie może nikomu opowiedzieć, staliby tu ładnych kilka dni.

Emina spogląda mu w oczy, chyba domyśla się, że nie powiedział jej wszystkiego, ale nie naciska. Każdy coś w sobie chowa. Dragan nie wie, co teraz powiedzieć. Czy powinien zapytać o Jovana? A jeśli coś mu się stało albo ją zostawił? W najlepszym razie przypomni sobie, że Dragan nigdy za nim nie przepadał, więc tak czy inaczej wyjdzie niezręcznie.

Emina stoi w miejscu, czeka, aż powie coś jeszcze. Włosy ma związane z tyłu głowy, ale kilka brązowych kosmyków opada jej na twarz. Odgarnia je i wciska za ucho, po czym chowa rękę z powrotem do kieszeni płaszcza. Wydaje się mniejsza niż dawniej, nie tylko chudsza, ale również niższa. Jak to możliwe?

Dragan odzywa się, by przerwać kłopotliwe milczenie.

– Jak tam Jovan? – pyta, obawiając się odpowiedzi.

Emina wzrusza ramionami.

– Wstąpił do wojska. Rzadko się widzimy.

Dragan jest zaskoczony. Miał inne wyobrażenie o Jovanie. Zawsze wydawał mu się mocny przede wszystkim w gębie.

Emina waha się, jakby dostrzegła jego zdziwienie.

– Właściwie to jest bardziej kimś w rodzaju łącznika między władzami a różnymi gałęziami wojska. – To brzmi znacznie wiarygodniej. – Nie jestem pewna, czym dokładnie się zajmuje. Wiem tylko, że prawie nigdy nie ma go w domu.

Dragan kiwa głową, nie wiedząc, co powiedzieć.

– To skrzyżowanie upatrzył sobie snajper. A przynajmniej był tu jeszcze kilka minut temu. Czekam, aż będę miał pewność, że sobie poszedł.

– Trafił kogoś? – Emina wygląda na szczerze zatroskaną. Dziwi go to. Nie jest obojętny na los ginących wokół niego ludzi, ale nie przeżywa ich śmierci na tyle mocno, by odbijało się to na jego twarzy. Zresztą mało kto jeszcze tak reaguje.

– Nie – odpowiada. – Chyba nie jest w tym zbyt dobry.

Emina jakby się namyślała. Oby nie wzięła sobie tego zbyt do serca. Tak naprawdę Dragan nie ma pojęcia, czy to dobry snajper. Wie tylko, że ostatnio spudłował. Nie wiadomo, ile razy wcześniej trafił.

– Chyba odczekam chwilę. Nie spiesz mi się jakoś bardzo.

Wyjaśnia mu, że niesie lekarstwa dla kobiety mieszkającej kilka przecznic na południowy zachód od piekarni. Radio Sarajewo organizuje akcję wymiany leków: ci, którzy mają zbędne zapasy, oddają je tym, którzy potrzebują lekarstw, a nie mogą nigdzie ich dostać. Codziennie na antenie podawane są informacje, kto czego potrzebuje. Kobieta, którą idzie odwiedzić, choruje na serce i używa tych samych leków, co zmarła przed pięcioma laty matka Eminy. Są wprawdzie przeterminowane, ale lepsze to niż nic.

– W końcu to tylko lekarstwa przeciwwzakrzepowe. One chyba nie tracą ważności.

– Też mi się tak wydaje – stwierdza Dragan.

– W trutce na szczury jest podobny składnik i nie traci ważności.

– Naprawdę?

– Zawierają odrobinę arszeniku. Tak mi się przynajmniej wydaje. Mama zawsze z tego żartowała.

Dragan widział matkę Eminy raz w życiu, na rok przed jej śmiercią. Była do niej niezwykle podobna z wyglądu, ale miała bardziej wisielcze poczucie humoru. Widać było, że ona też nie przepada za Jovanem. Kiedy zięć usiłował skierować rozmowę na temat polityki, a robił to nieustannie, wyrzucała ręce do góry.

– Ty ciągle o jednym. Świat nie zmieni się na lepsze od polityki.

– Świat nie zmieni się na lepsze bez polityki – ripostował Jovan, kręcąc głową.

– Jak uważacie – odezwała się Emina – które z nich jest większym optymistą?

Dragan i jego żona roześmiali się, ale pytanie wydało mu się zasadne i wcale nie miał pewności, czy Emina żartowała.

– A wiecie, czym się różni optymista od pesymisty? – rzekła matka Eminy, spoglądając na Jovana, który najwyraźniej kiedyś już to słyszał. W kącikach jego ust pojawił się cień uśmiechu. – Pesymista mówi: „Chryste, gorzej to już chyba być nie

może”. A optymista: „Nie martw się. Zawsze może być jeszcze gorzej”.

Dragan nie poszedł na jej pogrzeb. Teraz już nie pamięta dlaczego. Możliwe, że nie był zaproszony, ale najprawdopodobniej był, lecz znalazł sobie jakąś wymówkę.

– Pamiętasz Ismirę Sidran? – pyta Emina.

Pamięta. Była szefową grupy teatralnej. Kilka lat temu zrobili bardzo udaną inscenizację musicalu *Hair*. Później widział jeszcze kilka innych jej przedstawień. Przyjaźniła się z Eminą, spotkał je kiedyś razem w mieście. Była osobą trudną i hałaśliwą, działała mu na nerwy.

– W tym roku mija dwudziesta piąta rocznica premiery *Hair* na Broadwayu i zaproszono ją razem z całym zespołem do Nowego Jorku na przedstawienie, uroczystość czy coś w tym rodzaju.

Słońce wyjrzało zza chmury i szybko robi się ciepło. Emina odpina górny guzik u płaszcza.

– Władze się zgodziły? – Dragan nie kryje zaskoczenia.

Możliwość wyjazdu z Sarajewa była do tej pory przywilejem nielicznych.

– Mało tego. Widziałam się z nią i powiedziała, że na liście są trzydzieści dwie osoby. „Trzydzieści dwie! – mówię. – To mnóstwo ludzi”. A ona na to, że tylu potrzeba do obsługi światła, scenografii i tak dalej, to są ludzie, których publiczność nie widzi. Pomyślałam: okej. Ale tydzień później spotkałam ją znowu i okazało się, że przybyło kolejnych trzydzieści nazwisk i że to nadal nie są wszyscy.

Dragan kręci głową.

– Niemożliwe, żeby potrzebowali aż tylu osób.

– Poczekaj, to jeszcze nie koniec. – Emina odpina kolejny guzik od płaszcza. – Kiedy wreszcie złożono listę, było na niej prawie dwieście osób.

– Puścili ich?

– Nie. Wiedzieli, że nie wrócą.

Dawniej tak nie było. Przed wojną, nawet za czasów komunistycznych rządów, człowiek mógł podróżować, dokąd chciał. Wiza była potrzebna tylko do czterech krajów. Teraz nikomu nie wolno wyjechać bez pozwolenia.

– Mogli poprzestać na tych trzydziestu dwóch osobach – zauważa Dragan. – Wtedy może by im się udało.

– Jovan twierdzi, że to by nie zrobiło żadnej różnicy. Jego zdaniem nie puściliby nikogo.

– Być może. A może przynajmniej kilku osobom udałoby się wyjechać. Uciec od tego wszystkiego.

Emina spogląda w niebo.

– Nie dowiemy się.

– Ja bym chyba wyjechał, gdybym mógł. – Dragan wie, że to ryzykowne wyznanie. Ludzie czują niechęć do tych, którym udało się wydostać z miasta, uważają ich za tchórzy. Choć pewnie każdy człowiek o zdrowych zmysłach chciałby stąd uciec, niewielu się do tego przyznaje, nawet przed sobą, a jeszcze mniej osób mówi o tym głośno.

Można się wydostać wyłącznie na dwa sposoby. Albo dzięki koneksjom, przez tunel, albo dzięki pieniądzom. Kto ich nie ma, ten stoi na przegranej pozycji. Ci, którzy mieli władzę lub pieniądze w chwili wybuchu wojny, już dawno wyjechali, a ci, którzy mają władzę lub pieniądze teraz, zawdzięczają je wojnie, a więc nie mają powodu, żeby opuszczać miasto.

Emina nie wydaje się jednak wstrząśnięta jego słowami.

– Dlaczego nie wyjechałeś z Raza? – pyta.

Dragan wzrusza ramionami.

– Nie sądziłem, że to potrwa tak długo. Chciałem pilnować mieszkania, nie chciałem stracić pracy. Może źle zrobiłem.

– Nie. Musimy tu zostać. Gdyby wszyscy uciekli, tamci zeszliby z gór i zajęli miasto.

– Jeżeli zostaniemy, wystrzelają nas wszystkich i zrobią to samo.

– Reszta świata na to nie pozwoli. Prędzej czy później będą musieli nam pomóc.

Z jej tonu trudno odgadnąć, czy wierzy w to, co mówi. Ale czy można w ogóle w to wierzyć? Przecież miasto ginie na ich oczach, ona też to widzi.

– Nikt nam nie pomoże – mówi surowszym tonem, niż zamierzał. – Jesteśmy zdani na siebie, nikt nas nie uratuje. Nie rozumiesz tego?

Emina opuszcza wzrok i zapina dwa górne guziki u płaszcza. Chowa dłonie do kieszeni. Po chwili odzywa się bardzo cicho:

– Wiem, że nikt nas nie uratuje. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

Dragan doskonale ją rozumie. Jemu też trudno się z tym pogodzić. Długo miał nadzieję, słuchał wiadomości, czekał, aż ktoś położy kres temu szaleństwu. Całe życie żył pod rządami prawa. Gdy ktoś je łamał, był aresztowany. Panował ład i nikt go nie podważał. A potem nagle, w mgnieniu oka, wszystko się rozsypało. Dragan jak wielu innych mieszkańców Sarajewa długo i wbrew logice liczył na to, że ład zostanie przywrócony. Starał się żyć normalnie, jak gdyby ktoś nad tym wszystkim panował. Żołnierzy na wzgórzach traktował jak chwilowy kłopot, który niebawem zostanie rozwiązany. Rozsądek zwycięży. Aż któregoś dnia nie mógł się już dłużej okłamywać. To nie była żadna sytuacja tymczasowa, krótkotrwała usterka systemu,

którą zaraz ktoś naprawi.

– Pracowałem w piekarni z człowiekiem, który przeżył Jasenovac, a potem Auschwitz – rzekł Dragan. Mężczyzna ten przeszedł na emeryturę pięć, sześć lat przed początkiem oblężenia, lecz Dragan od czasu do czasu się z nim widywał. Umawiali się na kawę, rzadziej na kieliszek śliwowicy. Bardzo długo milczał o swoich wojennych losach, dopiero któregoś dnia tuż przed wybuchem walk opowiedział mu o pobycie w obozach. O tym, jak w Jasenovacu strażnicy ścigali się, kto zabije więcej ludzi w jeden dzień. Zwycięzca, niejaki Petar Brzica, poderżnął gardło tysiącu trzystu sześćdziesięciu osobom. W nagrodę otrzymał trochę wina, prosiaka i złoty zegarek. Po wojnie uciekł do Stanów Zjednoczonych, gdzie mieszka do dziś. Wśród jego ofiar byli ojcowie i dziadkowie zarówno żołnierzy na wzgórzach, jak i ludzi, do których ci żołnierze strzelają. – Kiedy widziałem go ostatni raz, powiedział: „Nie wyobrazasz sobie, jak straszne czasy nadchodzą”. Pierwszego dnia wojny popełnił samobójstwo.

Emina kręci głową.

– Nie wierzę, że ta wojna jest straszniejsza od tego, co się działo w tamtych obozach.

Dragan przez chwilę zastanawia się nad względnością cierpienia.

– Bo nie jest – odpowiada. – Nie sędzę, żeby właśnie to miał na myśli. Ale pewnie wierzył, że to, co wtedy wycierpiał razem z innymi, miało jakieś znaczenie i czegoś nas nauczyło. A to nieprawda.

– Niczego nas to nie nauczyło?

– Rozejrzyj się.

Choć powiedział to retorycznie, Emina się rozgląda. Dragan robi to samo, zastanawiając się, czy widzą podobnie. Czy ona także widzi wszechobecną szarość? Okaleczone budynki, zagruzowane ulice, wychudłych i zmęczonych ludzi przemykających chyłkiem jak wystraszone zwierzęta? Musi. Czy można tego nie widzieć?

Nie wie, dlaczego podeszła, zamiast udawać, że go nie widzi. Po co to spotkanie? Żeby się przekonał, jak wiele straciła wskutek wojny? Jak wiele on sam stracił?

– Odkąd wybuchła wojna, odwiedziłam wiele ulic, na których nigdy przedtem nie byłam. Mam teraz w głowie zupełnie inną mapę – mówi Emina.

Dragan potakuje. Też zwrócił na to uwagę, zaciekało go, jak wielka część miasta, w którym przeżył całe życie, znajdowała się poza obrębem znanego mu świata. To od snajperów i artylerzystów zależy teraz, którymi ulicami porusza się często, a którymi prawie wcale.

– Niedaleko mojego domu jest uliczka, na której przed wojną nie byłam ani razu – ciągnie Emina. – Kiedy na końcu mojej ulicy pojawił się snajper, musiałam poszukać okrzęnej drogi i tak odkryłam tę nową uliczkę. Był tam dom z ogromną czereśnią w ogrodzie, pełną dojrzałych owoców. Zbierała je starsza kobieta. Miała nazrywane chyba z piętnaście albo dwadzieścia kilo, a i tak na drzewie było jeszcze mnóstwo. Podeszłam do niej, przede wszystkim dlatego, że nigdy w życiu nie widziałam w Sarajewie takiego drzewa, nie wiedziałam, że rosną tutaj czereśnie. „Piękne drzewo” – mówię, a ona na to, że posadziła je jej matka, kiedy była mała, i że zawsze dawało dobre owoce. Zbierała te czereśnie dla wnuków, ale trochę się martwiła, że nie powinna karmić dzieci samymi słodkimi rzeczami. Powiedziałam, że może mi trochę odsprzedać, a ona na to, że właściwie czemu nie. I tak się jakoś złożyło, że parę dni później Jovan przyniósł do domu sól, dostał ją od kogoś, ogromny pięciokilowy worek. W życiu byśmy tego sami nie zużyli. Przypomniałam sobie o tej kobiecie i następnym razem zaniósłam jej kilogram.

Emina mówi cicho, ma rozluźnioną twarz. Dragan nie do końca rozumie sens tej historii, ale słucha jej z przyjemnością.

– Była wniebowzięta. Uśmiech w ogóle nie schodził jej z twarzy. Aż mnie wyściskała. Za kilogram soli. Na pożegnanie dała mi dwa wiadra czereśni. Naprawdę ogromną ilość. Mówię jej: „Nie dam rady zjeść wszystkich. Nie mam dzieci, mieszkam sama z mężem”. Ale nie chciała ustąpić. „Niech je pani rozda – mówi – albo zrobi z nimi, co się pani podoba. Ja i tak mam za dużo”. No więc rozdałam sąsiadom, dziesięciu różnym rodzinom, każda dostała po koszyczku.

– Miło z twojej strony, że podarowałaś jej sól – mówi Dragan, bo naprawdę tak myśli.

– Nie była mi potrzebna. A ona nie musiała mi dawać czereśni. – Emina wzrusza ramionami. – Czy nie tak powinniśmy postępować wobec siebie? Czy nie tak było dawniej?

– Nie wiem. Nie pamiętam, czy naprawdę tacy byliśmy, czy tylko nam się wydaje. Strasznie trudno sobie przypomnieć, jak było dawniej. – Dragan podejrzewa, że właśnie na tym najbardziej zależy żołnierzom na wzgórzach. Oczywiście najchętniej by wszystkich zabili, ale dopóki nie są w stanie, będą próbowali sprawić, żeby mieszkańcy Sarajewa zapomnieli, jak żyli dawniej i co to znaczy być cywilizowanym człowiekiem. Dragan zastanawia się, ile czasu minie, zanim osiągną swój cel.

Wie, że dopóki stoi na rogu ulicy i zwleka z przejściem na drugą stronę, tamci wygrywają. Czas popchnąć swój dzień, swoje życie, do przodu, przekroczyć skrzyżowanie i zobaczyć, co go tam czeka.

– Chyba spróbuję przejść – zwraca się do Eminy.

– Dobra. Ja po tobie.

Dragan rusza w stronę skrzyżowania. Boli go żołądek. Tuż przed wyjściem na otwartą przestrzeń nabiera głęboko powietrza i zaczyna biec. Stara się trzymać głowę nisko, ale po trzech krokach prostuje bolące plecy. Płuca palą, nogi ma jak z gumy. Nie może uwierzyć, że nie pokonał jeszcze nawet jednej czwartej odległości. Nigdy w życiu nie czuł się tak staro.

Najpierw czuje strzał, a dopiero potem go słyszy. Ostry gwizd, podmuch powietrza tuż nad lewym uchem, wreszcie głośny karabinowy huk. Przez chwilę zastanawia się, czy został trafiony. Ale wtedy pewnie już by nie żył. Słyszał przelatującą kulę, a więc snajper chybił. Jest zaskoczony, dezorientowany, wystraszony. Nie wie, jak powinien się zachować. Przez dwie długie sekundy stoi bez ruchu jak posąg. Ta chwila trwa wieki.

Potem biegnie z powrotem. Nie czuje płuc, nóg ani żołądka. Porusza się automatycznie jak uciekające zwierzę. Jego ciało szykuje się na kolejny strzał – ten, który go zabije. Im bliżej bezpiecznej kryjówki, tym bardziej się go spodziewa. Widzi Eminę stojącą za wagonem. Ma otwarte usta i wykrzywioną twarz; wydaje mu się, że woła jego imię.

Dopada do wagonu, uderza barkiem o metal. Uginają się pod nim nogi. Próbuje nie upaść, Emina chwyta go za ramię, świat zamienia się w rozmazaną plamę. Ludzie pytają, czy jest cały, wydaje mu się, że tak, ale nie może im odpowiedzieć. Pierwszy raz do niego strzelano. Wiele razy był świadkiem, jak strzelano do innych, widział spadające pociski, ale sam nigdy wcześniej nie był celem snajpera. Część jego umysłu nie może uwierzyć, że to się stało, inna część – że uszedł z życiem.

Powoli dochodzi do siebie. Wciąż nie może złapać tchu, dyszy jak pies, ale odzyskał głos. Kiedy Emina pyta po raz dziesiąty, czy jest ranny, udaje mu się odpowiedzieć.

– Mówiłem, że to kiepski snajper.

Emina przygląda mu się niepewnie. Dragan najwyraźniej ma w sobie coś – sam chciałby wiedzieć, co to takiego – co dodaje jej otuchy. Z jej twarzy znika napięcie; poklepuje go po plecach.

– Sarajewska ruletka – odzywa się. – Dużo bardziej skomplikowana od rosyjskiej.

Dragan się uśmiecha, nie dlatego, że to śmieszne, ale dlatego, że prawdziwe. Stoi z dłonią Eminy na plecach i pierwszy raz od bardzo dawna cieszy się, że żyje.

STRZAŁA

Ubiera się w ciszy, bierze karabin i zamyka za sobą drzwi do mieszkania. Choć stara się iść bezgłośnie, jej kroki niosą się echem po klatce schodowej. To chyba kwestia osobliwej konstrukcji tego budynku. Zastanawia się, czy z akustycznego punktu widzenia brak wyłumienia jest plusem, czy minusem. To pewnie zależy od tego, co kto sobie życzy. Czasem dobrze wiedzieć, że ktoś jest na korytarzu.

Słońce wstało pół godziny temu, lecz ulice w większości są puste. Schodząc ku starówce, Strzała napotyka parę osób, ale ich spojrzenia się nie krzyżują. Mija pozostałości po najlepszej lodziarni w mieście i przypomina sobie, jak kiedyś była tutaj z babcią. Płaczliwym głosem rozpieszczonego dziecka błagała ją, by się zatrzymały, mimo że dopiero co zjadła lody. Gdy babcia odmówiła, Strzała puściła jej rękę i nie chciała iść dalej. Wtedy babcia uklękła przed nią, wzięła jej twarz w dłonie i pocałowała ją w czoło.

– Życie to nie tylko lody – rzekła.

Strzała zastanawia się, ile by dziś dała za gałkę tamtych lodów. Wszystkie swoje pieniądze? Bez wahania. Karabin? Może. Jedyne ocalałe zdjęcie babci? Potrząsa głową i przyspiesza kroku, nie czekając, aż jej umysł odpowie.

O tej porze dnia, jej ulubionej, prawie zawsze jest cicho. Nawet wojna ustaje, choć na krótko. Brak wybuchów zdaje się niemal muzyką. Może gdyby zamknęła teraz oczy, potrafiłaby sobie wmówić, że spaceruje ulicami dawnego Sarajewa. Prawie. W mieście, które pamięta, nie była głodna i posiniaczona, jej bark nie ugiął się pod ciężarem karabinu. W tamtym mieście o tej godzinie ludzie wychodzili na zewnątrz, szykowali się na nadchodzący dzień. Nie siedzieli pozamykani w domach, wyczerpani po kolejnej nocy niepewności, czy nie spadnie na nich pocisk z moździerza.

Dotarła na miejsce. Stoi tam, gdzie stała wczoraj, oparta plecami o tę samą ścianę, i bada wzrokiem ulicę. Kamienie brukowe, których nie zniszczyły stopy wielu pokoleń, teraz leżą popękane. W oknach nie ma szyb. Jedne są zaklejone ciemną folią, inne zieją pustką jak szczyrby w uzębieniu starca. Ta ulica została brutalnie okaleczona.

Strzała przechodzi na drugą stronę i siada w miejscu, gdzie wylądował pocisk, a gdzie za kilka godzin usiądzie wiolonczelista. Wie, że zginęły tutaj dwadzieścia dwie osoby, a wiele innych zostało rannych: już nigdy nie będą chodzić, widzieć, czuć. Bo chcieli kupić chleb. Błaha decyzja, nad którą człowiek w ogóle się nie zastanawia. Jest głodny, więc idzie tam, gdzie ma szansę zdobyć chleb. Ze wszystkich

możliwych miejsc wybiera właśnie to. Ze wszystkich przyszłych dni ten jeden dzień wybiera jego. Czwarta po południu. Jedna z wielu drobnych, nieuniknionych decyzji, z których składa się życie. Właśnie wtedy żołnierze na wzgórzach wystrzelują pocisk. Dla nich to pewnie kolejny wystrzał, nie wiadomo który tego dnia. Nic szczególnego.

Strzała schyla się i podnosi z ziemi mały odłamek szkła. Jest go w mieście coraz mniej. Część szyb niszczy eksplozje, część zostaje usunięta zawczasu, by nie zrobiły nikomu krzywdy, gdy się rozprysną, co stanie się prędzej czy później. Stopniowo, jedno po drugim, znikają okna, przez które ludzie patrzą na świat.

Właśnie tak jej zdaniem wygląda teraz życie: to ciąg niepowiązanych ze sobą drobnych zdarzeń. Szereg pojedynczych wyborów nieprowadzących ani do zbawienia, ani do katastrofy. Nie ma wzniosłych momentów, kiedy człowiek swoim czynem lub jego brakiem określa swoje człowieczeństwo. Niektóre mogą się takie wydawać, ale najwyżej przez chwilę.

Strzała myśli o tym w kontekście pociągania za spust, odbierania życia. Zanim po raz pierwszy zabiła człowieka, wydawało się jej, że to będzie punkt zwrotny w jej życiu. Ostateczny dowód na to, że stała się inną istotą. Sądziła, że kiedy to zrobi, poczuje się zmieniona w stosunku do tej osoby, którą dawniej była lub chciała być. Okazało się jednak inaczej. Pociągnęła za spust z łatwością, bez mrugnięcia okiem. Wszystko, co zdarzyło się wcześniej, suma drobnych i nie zawsze uświadomionych wyborów, sprawiły, że kiedy przyszło co do czego, nie wahała się ani sekundy. Właśnie to czyni ją bronią. Broń nie podejmuje decyzji o tym, czy kogoś zabić. Broń jest wyrazem decyzji, która została podjęta.

Strzała nie wie, co myśleć o wiolonczeliście. Co próbuje osiągnąć swoim graniem? Nie sądzi chyba, że przyspieszy w ten sposób koniec wojny ani że uratuje komukolwiek życie. Może zwariował – ale nie wygląda na szaleńca.

Strzała widziała twarze ludzi, którzy nie wytrzymali psychicznie, widziała, jak wychodzą na ulicę, nie zważając na nic. Widziała, jak umierają, a czasem uchodzą śmierci, przy czym raczej nie robiło im to różnicy. Wiolonczelista nie sprawia wrażenia człowieka, który stracił wolę życia. Wydaje się, że to, jak żyje, wciąż jest dla niego ważne. Strzała nie potrafi odgadnąć, w co ten człowiek wierzy, choć bardzo chciałaby to wiedzieć – i móc sobie odpowiedzieć na pytanie, czy ona też chce w to wierzyć. Wie, że ma to jakiś związek z pozostawaniem w ruchu. Cokolwiek mu przyświeca, nie siedzi biernie na ulicy, czekając, aż coś się wydarzy. Nie, on sprawia, że wszystko przyspiesza. Cokolwiek się stanie, z jego powodu stanie się prędzej.

Upuszcza kawałek szkła, który obracała w palcach, i słucha cichego dźwięku, jaki

wydaje przy zetknięciu z ziemią. Co będzie się z nim działo? Jak długo będzie leżał na ulicy? Czy zostanie starty na zwiewny pył, czy złączy się ze światem, przylgnąwszy do czyjegoś buta, samochodowej opony, skrzydła gołębia, wilgoci w atmosferze? Strzała zastanawia się, czy będzie tu jutro i czy ona sama, gdy spojrzeć na to szerzej, różni się znacząco od tego odłamka poniewierającego się w miejscu masakry.

Uchroni tego człowieka od śmierci. Właściwie ani przez chwilę nie ulegało to wątpliwości, lecz dotychczas nie powzięła postanowienia. Dopiero teraz, siedząc na jego miejscu, przyrzeka sobie, że nie pozwoli mu zginąć. Dopilnuje, żeby skończył to, co zaczął. Nie musi rozumieć, co robi ani dlaczego to robi. Wie, że to coś ważnego, i to jej wystarcza.

Jej uwaga zwraca się ku okolicznym budynkom. Nie brakuje tu dogodnych stanowisk do strzału, ale wszystkie można z grubsza podzielić na dwa rodzaje według kierunku: ze wschodu na zachód i z zachodu na wschód. Pierzeje po obu stronach ulicy oferują wiele kryjówek i równocześnie zasłaniają wiolonczelistę przed ogniem z południowych i północnych wzgórz. Wróg będzie więc musiał wkroczyć na jej terytorium. Należy też przypuszczać, że po wykonaniu zadania będzie chciał uciec. To zawęży jego możliwości. Strzała dochodzi do wniosku, że najsensowniejsza droga odwrotu wiedzie na południe, do Grbavicy na przeciwległym brzegu. W tej sytuacji najprawdopodobniejszy wydaje się strzał z południowo-zachodniej części ulicy.

Jednak Strzała wie, że tamci nie przyślą byle kogo. Większość ich snajperów to najemnicy albo żołnierze o niskim poziomie wyszkolenia. Wątpliwe, aby najemnik podjął się tak ryzykownej misji. Tacy wolą siedzieć na wzgórzach i tam, względnie bezpiecznie, pracować na swój brudny żołd. Z kolei zwykłemu żołnierzowi zapewne nie wystarczy umiejętności, by wykonać zadanie i uciec, a dowódca raczej nie wyśle swojego człowieka na samobójczą misję. Nie, ten, którego przyślą, będzie dobrze wyszkolonym snajperem wojskowym, znającym się na rzeczy.

Nie ulokuje się na południowym zachodzie, bo wie, że kiedy wiolonczelista padnie od kuli, wszyscy okoliczni obrońcy będą usiłowali odciąć drogę ucieczki do Grbavicy. To wynika w prosty sposób z topografii. Zatem ucieknie w przeciwnym kierunku i albo spróbuje przedostać się niezauważenie do północnych wzgórz, albo zaszyje się na pewien czas w jakiejś kryjówce. Tak czy inaczej, południowy zachód odpada.

Strzała kieruje wzrok na wschód i wszystko staje się jasne. Może nie konkretny budynek, ale jeśli snajper będzie fachowcem, jeżeli będzie myślał w kategoriach linii strzału i drogi ucieczki, to na dobrą sprawę zostaje mu wyłącznie jeden obszar.

Wstaje i rusza w tamtą stronę. Musi teraz znaleźć jak najmniej oczywiste miejsce, z którego zdoła wycelować do snajpera, nie rzucając się przy tym w oczy. Snajper będzie się jej spodziewał i zanim w ogóle pomyśli o zabiciu wiolonczelisty, zechce się upewnić, czy jest bezpieczny. Rozejrzy się za najdogodniejszym dla niej stanowiskiem. Jeżeli ją wykryje, pierwszy strzał odda do niej, a dopiero drugi do wiolonczelisty. Przynajmniej ona zrobiłaby tak na jego miejscu.

Bezpośrednio nad wiolonczelistą znajduje się stanowisko, które mógłby wybrać ktoś nieopierzony. Kamienica z doskonałym widokiem na ulicę, idealne, zdawałoby się, miejsce dla kontrsnajpera.

Gdyby to ona miała zabić wiolonczelistę, skierowałaby celownik w stronę tej kamienicy, spodziewając się ujrzeć tam przyczajoną lufę.

Uśmiecha się. Plan działania zaczyna się krystalizować. Cofa się na zachód i wybiera budynek po południowej stronie, z widokiem na obszar, gdzie zjawi się jej przeciwnik. Następnie wraca do miejsca, w którym gra wiolonczelista, i siada, by sprawdzić, czy wszystko dobrze rozplanowała. Zastanawia się, czy wiolonczelista wie, że jest chroniony, a jeśli wie, to czy dodaje mu to otuchy. Na ulicy wciąż jest pusto i rześko. Niedługo słońce nagrzeje ziemię i pojawi się więcej ludzi. O czwartej po południu niektórzy z nich oprą się o ścianę po południowej stronie, by przez chwilę posłuchać wiolonczeli, a potem ruszyć w dalszą drogę. Dopóki nie odda strzału, nie będą sobie zdawali sprawy z tego, co dzieje się nad ich głowami, a nawet wtedy będzie to dla nich po prostu kolejny wystrzał, jeden z kilkuset usłyszanych tego dnia.

Kilka godzin później Strzała kuca w pokoju po południowej stronie ulicy, na zachód od miejsca, gdzie wkrótce zagra wiolonczelista. Od stanowiska, które wybrałby przeciętny snajper, dzieli ją kilka budynków. W ciemnej okiennej folii wycięła dwa otwory. Jeden pozwala jej obserwować rejon, w którym spodziewa się wrogiego snajpera, na północny wschód od niej; przez drugi widzi miejsce, gdzie on będzie spodziewał się jej, bezpośrednio nad wiolonczelistą. To idealny punkt. Mierząc, nie musi wystawiać lufy na zewnątrz, co mogłoby ją zdradzić. Snajper w ogóle będzie w gorszej pozycji, bo słońce przesuwają się na zachód – nie przeszkodzi mu to w oddaniu strzału do wiolonczelisty, ale utrudni zauważenie Strzały.

Wszystko działa na jej korzyść – poza jednym. Jeżeli się pomyliła, jeżeli snajper, którego przysłali, nie zna się na swoim fachu i zajmie pozycję gdzieś w południowo-zachodniej części ulicy, wówczas nie zdoła do niego strzelić. Wątpliwe, żeby się

pomyliła, ale oczywiście nie ma stuprocentowej pewności. Kolejna drobna rzecz, która zależy od losu – choć może tym razem wcale nie taka drobna.

Na trzecim piętrze budynku po północnej stronie ulicy, nad miejscem, gdzie usiadł wiolonczelista, zastawiła pułapkę. W oknie opuszczonego mieszkania umieściła karabin z lufą skierowaną na zachód, w stronę stanowiska, które zajmie snajper. Lufa wystaje nieco przez otwór w plastikowej folii, ponadto z budynku, w którym najprawdopodobniej zaczai się snajper, widać ciemny zarys czapki z daszkiem. Jeżeli snajper zrobi to, co na jego miejscu zrobiłaby większość snajperów, nie wyłączając jej samej, strzeli najpierw do czapki, a dopiero później do wiolonczelisty. Nie w każdych okolicznościach byłoby to możliwe, ale ponieważ człowiek siedzący na ulicy i grający na wiolonczeli nie zdąży prędko uciec, snajper zyska kilka sekund na oddanie drugiego strzału. W pierwszej kolejności spróbuje więc pozbyć się osoby, która stanowi dla niego zagrożenie. Strzelając do atrapy, zdradzi swoje położenie. To prymitywna sztuczka, lecz snajper nie powinien się na niej poznać z kilku powodów: będzie patrzył pod słońce, folia uniemożliwi mu wejrzenie do środka mieszkania, a o tak wczesnej porze nie użyje celownika noktowizyjnego. Wybitny snajper mógłby zauważyć, że jego cel w ogóle się nie porusza, lub zwietrzyć podstęp, ale Strzała zakłada, że jej przeciwnik, choć dobry, nie będzie wyjątkowym talentem.

Jedyna usterka w całym planie to brak niezbitą pewności, że mieszkanie, w którym umieściła atrapę, jest opuszczone. Nie wygląda na zamieszkane, lecz w Sarajewie to samo można powiedzieć o wielu innych, w których mimo wszystko gnieźdzą się ludzie. Pojawienie się tam kogokolwiek mocno by wszystko skomplikowało. Nie uszłoby uwagi snajpera, który przyjąłby zapewne, że ma do czynienia z żołnierzami. Choć na dobrą sprawę to bez różnicy. Wrodzy snajperzy nie bawią się w takie podziały.

Przypuszczalnie jednak, dla własnego bezpieczeństwa, będzie wolał najpierw zabić żołnierza. Strzała nie chce mieć na rękach krwi człowieka, którego jedyną winą byłoby to, że wrócił zbyt wcześnie do domu. Takie rzeczy dzieją się codziennie, prawie bez przerwy, ale nie obciążają jej sumienia, i niech tak zostanie. Strzała nie chce być odpowiedzialna za śmierć ludzi, którzy na śmierć nie zasłużyli.

Dlatego właśnie zrobiła w swojej folii dwa otwory. Postanowiła, że jeśli w dowolnej chwili dostrzeże jakiś ruch w mieszkaniu nad wiolonczelistą, odda strzał. Nikogo nie trafi, za to osoba znajdująca się w środku, spłoszona wystrzałem, oddali się od okna, gdzie mogłaby zostać trafiona przez snajpera. Potem Strzała pośle kulę w stronę kryjówki snajpera, żeby wiedział, że wie, gdzie się zaczaił. To powinno go

skłonić do zmiany planów i wycofania się. Wróci, to pewne, ale tym Strzała będzie się martwić później.

Dobrze, że przynajmniej może być pewna własnej kryjówki. W rozmowie z mężczyzną pilnującym wejścia udało się jej dyskretnie ustalić, że lokatorzy się stąd wynieśli. Za dwie paczki papierosów zgodził się wpuścić ją do środka i zachować to dla siebie. Mieszkańcy kamienic często powołują straż sąsiedzką i na zmianę pełnią wartę, by odstraszyć snajperów i innych niepożądanych gości, dają się jednak łatwo wywieść w pole, trzeba tylko wiedzieć, jak to się robi. Człowiek znużony łatwo traci głowę, a co dopiero człowiek wystraszony. Wślizgnięcie się do strzeżonego budynku jest dziecinnie proste. Strzała robiła to niezliczone razy.

To mieszkanie było kiedyś ładne. Duże okna, przestronne pokoje. Niewiele ucierpiało, nie licząc łazienki, gdzie granat zamienił umywalkę, wannę i sedes w kupę gruzu. W ścianach naprzeciwko okien tkwią odłamki szkła, niczym strzałki w korkowej tablicy. Wszędzie poniewierają się pozostałości po lokatorach: papiery, zdjęcia, rozdarta kanapa. Prędzej czy później ktoś to wszystko wyniesie, choćby na opał. Strzała stara się nie wyobrazać sobie ludzi, którzy tutaj mieszkali – jacy byli: czy szczęśliwi, czy nadal żyją, czy tutaj zginęli?

Przygląda się przez celownik budynkom na wschodzie. Snajper powinien już tu być. Przez kilka ostatnich godzin obserwowała ulicę, zwracając uwagę na to, w których mieszkaniach przebywają ludzie niebudzący podejrzeń, a gdzie tacy, którym warto się dokładniej przyjrzeć, ale przede wszystkim – w których oknach nie widać nic. Co więcej, zyskała ogólny obraz sytuacji; jeżeli nagle coś się zmieni, na pewno to zauważy. Kątem oka nieustannie popatruje na mieszkanie z atrapą. Jak na razie nie widziała w środku żadnego ruchu.

Na trzech oknach jej wzrok zatrzymuje się dłużej niż na pozostałych. Znajdują się w idealnych miejscach do tego, by oddać z nich strzał w stronę ulicy, a przy tym blisko klatek schodowych umożliwiających szybką ucieczkę. Wewnątrz nie widać żadnych oznak ludzkiej obecności, ale to wcale nie znaczy, że nie ma tam snajpera.

Strzała jest coraz bardziej przekonana do swojego planu, mimo że nadal nie wie, gdzie ukrywa się snajper. To przekonanie nie wynika z racjonalnych przesłanek. Obiektywnie rzecz biorąc, nadal nie można wykluczyć, że snajper zajął pozycję blisko niej, na zachód od wiolonczelisty. Na dobrą sprawę może być nawet za ścianą, w mieszkaniu piętro niżej albo na dachu. Czyżby uratowała go własna głupota? Niemniej z każdą upływającą minutą Strzała utwierdza się w przekonaniu, że to nie jest głupiec. Wie, że ukrywa się za którymś z tamtych trzech okien.

Choć nie patrzy na ulicę, natychmiast orientuje się, że wiolonczelista wyszedł na

zewnątrz. Zanim rozłożył i postawił na ziemi taboret, zdążyła pięć razy przebiec wzrokiem po każdym z trzech okien i dwa razy po całej okolicy. Mężczyzna zamyka oczy i zwiesza ręce wzdłuż ciała. Strzała zerka w jego stronę, po czym jeszcze po cztery razy zagląda w każde z okien. Pusto.

Gdzieś w odległym kwartale miasta eksploduje granat. Przez moment wydaje się jej, że coś mignęło w jednym z okien. Mieszkanie znajduje się na trzecim piętrze kamienicy około siedemdziesięciu metrów na wschód od wiolonczelisty. Trudno powiedzieć, co to było. Może cień, jakiś delikatny, ledwie uchwytny ruch. Może jedynie przywidzenie.

Sprawdzając pozostałe dwa okna, nie może się pozbyć wrażenia, że przegapia coś za każdym razem, kiedy odrywa oczy od trzeciego piętra. Uspokój się, mówi sobie w duchu. To przyjdzie samo. Poczekaj i zaufaj swoim reakcjom. Nie komplikuj.

Przelatuje wzrokiem po wschodniej części ulicy, zarówno po stronie północnej, jak i południowej. Patrzy, czy nic się tam nie zmieniło, choćby najdrobniejsza rzecz: przesunięta cegła, kształt cienia. Stara się nie doszukiwać niczego na siłę. Jeżeli coś się zmieniło, samo wpadnie jej w oko. Jeżeli nic się nie zmieniło, nie ma sensu sobie tego wmawiać. Pokusa zgadywania jest silna, ale Strzała potrafi się jej oprzeć.

Wiolonczelista unosi smyczek i zaczyna grać. Docierające do niej dźwięki chwilami są ledwo słyszalne, a chwilami brzmią, jakby oboje byli w jednym pomieszczeniu. Atrapa stoi na swoim miejscu trzy piętra nad wiolonczelistą. Mieszkanie nadal jest puste. Jak na razie pułapka nie zadziałała, ale jeszcze wszystko może się zdarzyć.

Okno na trzecim piętrze znów przyciąga jej wzrok. Na pierwszy rzut oka nic się nie zmieniło. Dopiero w ostatniej chwili, gdy już przenosi spojrzenie gdzie indziej, w prawym dolnym rogu folii dostrzega otwór, szeroki na mniej więcej trzy centymetry. Za mały, aby wymierzyć do celu, ale wystarczająco duży, aby widzieć ulicę. Oto pierwszy ruch zamachowca.

Strzała zastanawia się, czy zaryzykować. Mogłaby posłać tam kulę. Jeżeli snajper w tej chwili patrzy przez dziurę, zginie na miejscu, a przynajmniej zostanie poważnie okaleczony. Ale jeśli go tam nie ma, ucieknie i trzeba będzie zaczynać podchody od nowa. Zresztą na dobrą sprawę nie wie, kto to jest. Nie może strzelać w okna, nie mając pewności, kto się za nimi ukrywa. Choć wie, że ma rację. Wie, że on tam jest.

Kątem oka spostrzega jakiś ruch. Spogląda na ulicę. Dwie dziewczynki, jedenasto-, góra dwunastolatki, podeszły do wiolonczelisty na odległość paru kroków. Chude i poważne, stoją i słuchają, jak gra. Jeżeli je zauważył, nie daje tego po sobie poznać. Cała trójka znajduje się na linii ognia snajpera.

Strzała prędko kieruje wzrok z powrotem na trzecie piętro. Otwór w folii nie powiększył się ani nie powstały żadne nowe. Czy można oddać celny strzał przez taką dziurkę? Ona by nie potrafiła. Ale jeśli on potrafi?

Wtedy tamci zginą, odpowiada jej wewnętrzny głos. Wszyscy troje. A twoja misja zakończy się porażką.

Pierwszy raz, odkąd sięgnęła po karabin, by zabijać, wpada w panikę. Jest w kropce. Nie może nic zrobić. Nie może się cofnąć o jedną decyzję wstecz, nie istnieje żaden łańcuch zdarzeń, który doprowadziłby ją do rozwiązania. Nic już od niej nie zależy i może zrobić tylko jedno. Strzelić na oślep. Wolałaby jednak tego uniknąć. Tak jej się przynajmniej wydaje. Nie ma poczucia, że dokonała wyboru. Po prostu nie strzela. Nawet gdyby podjęła decyzję o strzale, możliwe, że i tak nie pociągnęłaby za spust.

Na ulicy dziewczynki schodzą z linii strzału i kładą przed wiolonczelistą wiązanek polnych kwiatów. Chyba są w niej dmuchawce. Potem odwracają się i ruszają na zachód, w stronę Strzały, przechodzą obok jej kryjówek. Teraz są już bezpieczne.

W oknie coś drgnęło. Światło pada inaczej. Cień w miejscu, gdzie nie było cienia. Strzała nakrywa spust palcem. Niech tylko pojawi się na ułamek sekundy. Niech zrobi jeden ruch, który go zdradzi. Niewiele potrzeba. Jeszcze jednej małej decyzji o wielkim znaczeniu. Ich suma prawie się zgadza. Jeszcze jeden ruch.

Muzyka cichnie. Strzała w ogóle nie pamięta ostatnich paru minut melodii, nie wie, czy wiolonczelista skończył, czy coś się stało. Patrzy w skupieniu w okno na trzecim piętrze. Cały jej świat zamyka się w jednym metrze kwadratowym plastikowej folii. Nic się nie dzieje. Żadnego ruchu, żadnej zmiany. Mija dziesięć minut. Kiedy spogląda na ulicę, wiolonczelista już tam nie ma.

Osuwa się na podłogę, nie do końca rozumiejąc, co się właściwie wydarzyło. Była pewna obecności snajpera. Teraz już nie jest taka pewna. Dlaczego nie strzelił? Miał dogodną pozycję. Musiał ją mieć. Bez sensu. Po co czekać do jutra? Wyprawa w głąb wrogiego terytorium jest niebezpieczna i powinna trwać jak najkrócej. Gdy ma się okazję, należy z niej skorzystać i się wynosić. Dlaczego tego nie zrobił?

Strzała ma poczucie porażki, choć przecież nie powinna. Jej zadanie to nie dopuścić do śmierci wiolonczelisty. Nermin właśnie tak się wyraził. Nie chodzi o to, żeby zabić snajpera. Wiolonczelista żyje. Jutro znowu zagra. Dziś osiągnęła cel.

Myśli o tych dwóch dziewczynkach, które położyły przed nim kwiaty. Czy nienawidzą żołnierzy na wzgórzach tak samo jak ona? Czy nienawidzą ich za to, że są łajdakami, mordercami bez skrupułów? Oby nie. To zbyt łatwe. Jeżeli nienawidzą

tamtych na wzgórzach, to siłą rzeczy jej też muszą nienawidzić. Zabija tak samo jak oni. W takie dni jak ten, kiedy nie zabija, odczuwa pustkę. Ta pustka zdradza głębszą wrogość niż zwykły brak skrupułów. To nieomal żądza.

Wolałaby, żeby te dziewczynki i cała reszta nienawidzili żołnierzy na wzgórzach z tych samych powodów, które sprawiają, że ona ich nienawidzi. Ponieważ oni pierwsi zmusili ją do nienawiści. Wszczęli wojnę, twierdząc, że mieszkańcy Sarajewa nienawidzą się nawzajem, czemu tamci się sprzeciwili, podkreślając, że ich miasto jest wolne od nienawiści. Wówczas żołnierze na wzgórzach zaczęli zabijać, kaleczyć, niszczyć. Małymi krokami osiągnęli swój cel, odnieśli zwycięstwo, choć nie wprowadzili swoich czołgów do miasta. Sprawili, że ona i jej podobni zaczęli nienawidzić.

Kilka godzin później, o zmierzchu, gdy może już bez obaw opuścić kryjówkę, Strzała przechodzi obok wiązanki zostawionej przez dziewczynki. Okazuje się, że kwiatów jest więcej, ludzie składają je u stóp wiolonczelisty, w miejscu, gdzie spadł pocisk. Niektóre już więdną. Teraz rozumie, o co chodziło dziewczynkom. Nie rozumie tylko, jak to możliwe, że nie zauważyła wcześniej stosu wyschniętych kwiatów. Odwraca się i rusza w stronę domu. Jutro tu wróci.

KENAN

Niełatwo mu się zmusić, by podnieść wzrok i spojrzeć na zgliszcza Biblioteki Narodowej. Kamiennie-ceglana konstrukcja nadal stoi, lecz wewnątrz jest całkiem wypalone. Nad oknami widnieją języki sadzy, a przeszklona kopuła, górująca dumnie nad okolicą przez ostatnich sto lat, runęła na ziemię. Z tramwaju, który zataczał tu półkole, można było podziwiać słynny budynek w całej okazałości. Kenan bardzo lubił to miejsce, mimo że raczej nie czytał książek. Widział w nim namacalny przejaw wspólnoty, z której był dumny. Teraz tory tramwajowe donikąd nie prowadzą; uświadamiają tylko, jak wiele zostało utracone.

Żołnierze na wzgórzach obrali bibliotekę za jeden z pierwszych celów i przystąpili do dzieła w sposób niezmiernie skrupulatny. Kenan nie wiedział, czy pożar wznieciły pociski moździerzowe, czy przemycona do środka bomba, tak jak to było w wypadku gmachu poczty, wiedział natomiast, że kiedy ogień już szalał, ostrzeliwano ją pociskami zapalającymi. Gdy usłyszał o pożarze, udał się na miejsce, sam nie wiedząc po co. Patrzył bezradnie, jak symbol miasta – takiego, jakim było i jakim wielu ludzi wciąż chciało je widzieć – ulega woli żołnierzy na wzgórzach.

Nadjechały wozy strażackie, które natychmiast wzięli na celownik niewidzialni snajperzy. Wojsko, które przysięgało bronić miasta, obsypało je pociskami. Strażacy długo walczyli z płomieniami, dopóki dowódca, widząc beznadziejność sytuacji, nie odwołał akcji gaśniczej. Jeden ze strażaków, na oko pod trzydziestkę, stanął obok Kenana i przyglądał się wścieklej pożodze. Długo stał nieruchomo, wreszcie upadł wycieńczony na kolana. Szybko zbiegli się inni strażacy, myśląc, że trafił go snajper. Gdy pomagali mu wstać, a potem odprowadzali w bezpieczne miejsce, Kenan zauważył, że po twarzy strażaka spływają strużki potu albo łez, a jego wargi poruszają się bezgłośnie, jakby się modlił. Przez kilka następnych dni popiół z milionów książek padał na miasto niczym śnieg.

Wtedy Kenan myślał, że strażaka ogarnęła rozpacz z powodu zniszczenia biblioteki, teraz jednak przypuszcza, że tak naprawdę ścięła go z nóg świadomość, że nie może zrobić nic, by ją uratować lub choćby przedłużyć jej żywot. Gdy dzieci pytają Kenana, dlaczego toczy się wojna, dlaczego ludzie głodują i giną od kul, a on nie wie, co im odpowiedzieć, gdy widzi, że cierpią, i nie może nic na to poradzić, wtedy czuje się jak tamten strażak i najchętniej dałby się komuś zanieść w bezpieczne miejsce. Jednak musi stać mocno na nogach, bo jego dzieci potrzebują kogoś, kto powie im, że wszystko będzie dobrze, wojna się skończy, a oni przeżyją. Czasem aż się dziwi, że jeszcze się nie rozpląnął w powietrzu, że jego ubranie nie upadło na

ziemię opuszczone przez jego nikłą istotę.

Skreca za róg i widzi przed sobą most Šeher-Ćehajina. Zatrzymuje się i poprawia butelki, potem staje za jednym z wielkich łuków podtrzymujących gmach biblioteki. Przeczesuje wzrokiem wzgórze, sam nie wie, czego szuka, jakiegoś potwierdzenia, że nie ma tam żadnego snajpera z karabinem wycelowanym w most. Po kilku minutach zza rogu wychodzą mężczyzna i kobieta. Zerkają na niego podejrzliwie, lecz nie zwalniają kroku. Kierują się na most. Kenanowi przychodzi do głowy, żeby coś do nich zawołać, ale nie wie, co właściwie mógłby im przekazać. Powiedzieć, że most może być obserwowany przez snajpera, to jak stwierdzić, że rano wzeszło słońce. Niech idą. Posłużą mu za króliki doświadczalne.

W ich kroku jest wręcz coś beztroskiego. Nie podnoszą wzroku na wzgórze, idą bez zatrzymywania się. Na moście nieco przyspieszają, to już coś więcej niż szybki chód, ale jeszcze nie trucht. Kobieta porusza się odrobinę szybciej, mężczyzna wydłuża krok, by nie zostać w tyle. Gdy są już prawie w połowie mostu, w Kenanie wzbiera gwałtowne, złowieszcze przecucie. Jest pewien, że lada chwila usłyszy strzały, a tamci zginą. Ale nikt nie strzela i para przechodzi na drugą stronę. Zwalniają, jakby poczuli, że teraz już nic im nie grozi, choć Kenan wie, że wciąż mogą zostać trafieni. Nie będą bezpieczni, dopóki nie znajdą się pod osłoną budynków, lecz albo o tym nie wiedzą, albo ich to nie obchodzi.

Za jego plecami nadchodzi kobieta. Z wyglądu ma pięćdziesiąt parę lat, mocno posiwiałe włosy, choć teraz to już o niczym nie świadczy. Nie zdawał sobie sprawy, jak wiele kobiet farbowało włosy, dopóki nie nadeszła wojna i farby do włosów nie stały się towarem czarnogięldziarzy. Kenan spogląda na nią raz jeszcze. Może jednak jest młodsza, niż mu się wydało w pierwszej chwili. Kto wie, czy nie w jego wieku. Trudno zgadnąć, ile lat dodała jej wojna.

W obu rękach trzyma po czterolitrowej butli na wodę. Krzyżuje z nim spojrzenia, po czym spogląda w stronę mostu.

– Bezpiecznie?

Kenan wzrusza ramionami.

– Jedna para przed chwilą przeszła i nic im się nie stało. Ale kto ich tam wie.

Kobieta zatrzymuje wzrok na jego pojemnikach na wodę.

– Idzie pan do browaru?

– Tak. – Kenan przez mgnienie zastanawia się, czy kobieta poprosi go, żeby nabrał wody dla niej, ale uzmysławia sobie, że to niedorzeczne. – A pani?

– Będę próbować. Droga jest pod górkę, muszę często przystawać i odpoczywać. Ale dam sobie radę. Najbardziej nie lubię tego mostu. – Raz jeszcze spogląda na

most, a potem na wzgórze.

– Chyba jest bezpiecznie. – Kenan waha się, czy nie zapytać, za czym się tak rozgląda, kiedy patrzy ku wzgórzom. Może zna się na tym lepiej niż on?

Kobieta milczy. Kenan zaczyna czuć się tak, jakby naruszał jej prywatność, choć przecież był tu pierwszy, a miejsce jest jak najbardziej publiczne. Ona postanawia jednak się oddalić, podnosi swoje butle i ostatni raz spogląda na most.

– Idzie pan? – pyta go, prostując plecy.

– Tak. – Waha się przez chwilę, niepewny, czy kobieta czegoś od niego chce, a jeśli tak, to czego. – Może pójdzie pani ze mną? Zawsze to bezpieczniej razem.

Wygląda, jakby się namyślała. Kenan zaczyna się zastanawiać, które z nich stanowi atrakcyjniejszy cel, ale szybko przestaje. Tak nie można.

– Nie – odzywa się ona – chyba jeszcze chwilę tu odpocznę.

Kenan kiwa głową i wychodzi na ulicę. Od razu mu lepiej. Nie do końca rozumie, o co chodziło, ale było w tej sytuacji coś deprymującego. Stara się poruszać jak najszybciej, coraz zwawszym truchtem. Po wejściu na most wie, że widać go jak na dłoni. Biegnie lekkim zygzakiem, w prawo, w lewo, w prawo, potem w linii prostej, starając się nie popaść w żaden powtarzalny schemat. Cała sztuka w tym, by zmiany kierunku były losowe, ale nie za nerwowe. Kiedyś widział, jak pewien człowiek, wykonawszy zbyt gwałtowny unik w bok, stracił równowagę i skręcił kostkę. Leżał na ziemi przez kilka minut, zanim ktoś podszedł i pomógł mu się schronić. Gdyby jednak w tym czasie w okolicy pojawił się snajper, miałby dziecinnie proste zadanie.

Butle Kenana uderzają jedna o drugą, niezbyt głośno, ale jemu wydaje się, że biją jak bębny, i doznaje wrażenia, jakby toczyło się polowanie, a on był zwierzyną. Biegnie szybko, znacznie szybciej, niż powinien, lecz nie potrafi zwolnić, bo strach oplótł go swoimi mackami. Koniec mostu jest blisko, gdy nagle stopa zahacza o nierówność w asfalcie. Wydaje mu się, że upadnie, ale jakimś cudem utrzymuje się na nogach i chwiejnym krokiem pokonuje ostatnie kilka metrów dzielących go od budynku po lewej.

Rzęząc, siada pod ścianą z uczuciem żaru w płucach i dopiero uspokoiwszy oddech, wstaje. Spogląda w stronę biblioteki na drugim brzegu i widzi, że kobieta patrzy na niego. Jest zbyt daleko, by mógł odczytać jej wyraz twarzy, ale dałby głowę, że się śmieje. Uświadamia sobie, że użyła go jako królika doświadczalnego, tak jak on wcześniej posłużył się tamtą parą. Zachęcił ją czy zniechęcił? Kobieta wciąż stoi tam, gdzie stała, wygląda więc na to, że nie rozwiązał jej obaw.

Przed sobą ma teraz restaurację Przekorny Dom, w której dawniej bywał. Kiedyś dom ten stał po przeciwnej stronie rzeki, na prawym brzegu. Kiedy władze austro-

węgierskie postanowiły uregulować Miljackę, został przeznaczony do rozbiórki, lecz jego właściciel zaprotestował. Zgodził się oddać działkę tylko pod warunkiem, że dom zostanie przeniesiony, cegła po cegle, na drugi brzeg rzeki. Z przekory zażądał ponadto worka dukatów. Kenan nigdy nie był pewien, ile jest prawdy w tej historii, teraz jednak nie wydaje mu się to szczególnie istotne. Życzyłby sobie, żeby żołnierze na wzgórzach zeszli na dół i odbudowali, cegła po cegle, każdy zniszczony budynek. Nie obraziłby się, gdyby sięgnęli też do swoich kieszeni. Patrzy na zamkniętą restaurację i uśmiecha się gorzko. Jeżeli tamci zejść ze wzgórz, to na pewno nie po to, żeby naprawić to, co zniszczyli.

Podnosi swoje butle, zarzuca sznur na ramię, po czym schyla się po butelki pani Ristovskiej. Trudno mu zrozumieć, dlaczego sąsiadka upiera się przy tych konkretnych butelkach, zamiast używać pojemników z uchwytyami. Może i jest stara, i ma swoje nawyki, ale przecież nie jest tak, że przez całe życie nosiła wodę w tych butelkach. Boryka się z jej brakiem równie długo jak on, tyle że ani razu nie musiała przeprować się z butlami przez rzekę i wspinać się pod górę do browaru. Jeżeli ktoś tu ma prawo mieć nawyki, to prędzej on.

Przypomina sobie ich pierwsze spotkanie sprzed prawie siedemnastu lat. On i Amila, świeżo poślubieni, mieli wtedy po dwadzieścia parę lat, ich pierwsza córka dopiero co się urodziła. Wprowadzili się do nowego mieszkania w bury wiosenny poranek i jeszcze tego samego dnia po południu rozległo się uporczywe pukanie do drzwi, które teraz tak dobrze znają.

Kenan otworzył i ujrzał panią Ristovską. Wyglądała mniej więcej tak samo jak dziś. Wepchnęła mu w dłonie doniczkę z paprotką, weszła do środka, zdjęła buty i spojrzała mu w oczy.

– Nazywam się Ristovska, jestem waszą sąsiadką. Macie jakieś kapcie?

Kenan przedstawił się, przekazał doniczkę zdumionej żonie i zaczął grzebać w pudłach, dopóki nie znalazł pary kapci.

– Są trochę za małe – oznajmiła, wciskając w nie stopy – ale niech już będą. Następnym razem przyniosę własne.

Usiedli na kanapie, prezencie ślubnym od rodziców Kenana. Amila poszła do kuchni zrobić kawę. Pani Ristovska przekazała mu szereg uwag, jak należy postępować z paprotką, Kenan wysłuchał ich uważnie. Niemowlę spało w pokoju za ścianą. Wspomnił o tym kilka razy, zniżając głos w nadziei, że pani Ristovska uczyni to samo. Ona jednak z każdą chwilą mówiła coraz głośniejszym głosem. Kenanowi wydawało się wręcz, że krzyczy.

Kiedy Amila przyniosła kawę, z pokoju dobiegł płacz małej. Posłała mu krzywe

spojrzenie, jakby to on był winny temu, że sąsiadka obudziła dziecko. Poszła je uspokoić, a pani Ristovska upiła trochę kawy i zmarszczyła oblicze.

– Straszny wyjec z tego dziecka. Mam nadzieję, że wy dwoje nie robicie tyle hałasu.

Kenan zapewnił ją, że nie, i reszta wizyty upłynęła bez poważniejszych incydentów. Później odwiedzała ich raz, dwa razy w tygodniu, zwykle wieczorami, gdy Kenan był w domu. Mimo że stosował się do jej zaleceń, pod jego opieką paprotka szybko zmarniała. Pani Ristovska nie omieszkła tego skomentować. Podczas kolejnych odwiedzin spojrzała na martwą roślinę, potrząsnęła głową i rzekła:

– Mam nadzieję, że z dziećmi radzicie sobie lepiej. One są dużo bardziej wymagające.

Kenan dowiedział się później, że pani Ristovska zноси paprotki wszystkim nowym lokatorom i że wszystkie bez wyjątku zwiędły w ciągu paru tygodni. Panuje przekonanie, że rośliny są zatrute, od początku skazane na zmarnienie, lecz Kenan nigdy w to nie wierzył. Zauważył natomiast, że w mieszkaniu pani Ristovskiej w ogóle nie ma roślin.

Nieraz wbrew sobie i bez przekonania bronił jej w rozmowach z sąsiadami, przypominając, że owdowiała pięćdziesiąt lat temu i od tamtego czasu żyje samotnie. Im dłużej jednak o tym myślał, tym bardziej dochodził do wniosku, że to nie usprawiedliwia jej zgorzknienia. Kiedy straciła męża, miała co najwyżej dwadzieścia pięć lat i dość czasu przed sobą, by zacząć życie od nowa. Nie wiedział, co ją tak wypaczyło: śmierć męża na wojnie, sama wojna czy jakieś późniejsze wydarzenia. A może zawsze była taka?

To oczywiście nie tłumaczy, dlaczego stoi tutaj z tymi nedorzecznymi butelkami. Obiecał jej, to prawda, ale przecież złamał już wiele obietnic i pewnie złamie jeszcze niejedną. Nie potrafi nawet udawać, że ją lubi, może też trochę się jej boi, ale nie na tyle, by ulegać każdemu jej życzeniu. Prawda jest taka, że nie ma pojęcia, dlaczego nadal zноси jej wodę.

Pora ruszać w dalszą drogę. Do browaru już niedaleko, musi jeszcze przejść kawałek na zachód, a potem skrócić na północ, w górę zbocza. Przecina ulicę i pustą działkę, korzystając po drodze z każdej dostępnej osłony. Tropy ludzi, którzy tędy przechodzili, przypominają mu ślad, jaki zostawia ślimak w ogrodzie. Nadjeżdża półciężarówka z ogromnym plastikowym zbiornikiem na platformie, trąbieniem zmuszając go do usunięcia się na bok. Na ulicy widać coraz więcej ludzi, przeważnie objuczonych naczyniami do czerpania wody. Oni również usuwają się z drogi przed nadjeżdżającym pojazdem. Wszyscy odbywają pielgrzymkę, pochód, są jak szczury

z Hameln. Kiedy w oddali wyłania się czerwona bryła browaru, Kenan czuje radość, ale i niepokój, bo choć wreszcie dotarł do celu, wie, że przed nim jeszcze długa droga powrotna.

DRAGAN

– Jak myślisz, co jest gorsze – odzywa się Dragan – być rannym czy zabitym?

Nie wie, czemu zadał Eminie to pytanie. Czuje się trochę niepoważnie, jakby zapytał, czy wolałaby zostać ugotowana żywcem w wodzie, czy w oleju.

Opiera się o wagon. Emina stoi twarzą do niego, tyłem do ulicy; co jakiś czas przenosi ciężar ciała na drugą nogę, jakby nie mogła znaleźć wygodnej pozycji.

– Myślę – odpowiada, kierując wzrok w stronę skrzyżowania – że lepiej być rannym. Przynajmniej masz wtedy szanse na przeżycie.

– Bardzo niewielkie – stwierdza Dragan, sam nie wiedząc dlaczego.

Jaki jest sens tej rozmowy? A jednak słowa wciąż cisną mu się na usta, nie może przestać mówić. To jak rozdlubywanie strupa.

– Co masz na myśli? Szansa to szansa.

– Na szpitalu bym nie liczył. Wszędzie brakuje lekarstw i ludzi. – Dragan wcale nie ma pewności, że tak jest, ale wydaje mu się to prawdopodobne.

– Z tego, co wiem, są całkiem nieźle wyposażone. Wielu rannych udaje się uratować. – Jego krytyka wyraźnie ją poruszyła, nie chce przyznać mu racji. Zaczerwieniła się na karku i delikatnie się od niego odsunęła.

– Skoro są tak dobrze wyposażone, dlaczego ryzykujesz życie, dostarczając leki przeterminowane o dziesięć lat?

Bingo. Emina robi krok do tyłu, wyciąga dłonie z kieszeni, unosi je na wysokość klatki piersiowej. Przez chwilę wydaje mu się, że go uderzy. Nie miałby jej tego za złe. Zasłużył sobie.

– Przepraszam – mówi. – Nie wiem, czemu to powiedziałem.

Emina stoi nieruchomo. Wpatruje się w niego szeroko otwartymi oczyma. Co próbuje w nim dojrzeć? Dragan przybiera wyraz skruchy, nakazuje sobie milczenie. Nic, co mógłby powiedzieć, tu nie pomoże.

Jednak jego usta otwierają się i słowa płyną same:

– Nie rozumiem, jak możesz się nie bać. Nie przeraża cię to, że możesz zginąć od kuli albo że jakiś pocisk rozerwie cię na strzępy?

Emina wydycha głośno powietrze i opuszcza dłonie.

– Na ulicy niedaleko bazaru pewien człowiek gra na wiolonczeli – mówi. – Tam, gdzie zginęli ci ludzie, którzy stali w kolejce po chleb.

Dragan słyszał o masakrze. Wydarzyła się niedaleko domu jego siostry. Gdyby nie przynosił chleba z pracy, niewykluczone, że ona także stałaby w tej kolejce. Szybko jednak o tym zapomniał. Wprawdzie było mnóstwo ofiar, ale każdego dnia niewiele

mniej ludzi ginęło w całym mieście.

– Codziennie o czwartej po południu. – Mówiąc te słowa, zwraca się ku niemu, jakby próbowała mu coś uzmysłwić. – Codziennie siada z wiolonczelą i gra. Ludzie przychodzą, żeby go posłuchać. Niektórzy zostawiają kwiaty. Byłam tam kilka razy. Czasem zostaję do końca, a czasem słucham tylko parę minut.

Dragan kiwa głową. Słyszał tę historię, obita mu się o uszy, ale nie poświęcił jej zbyt wiele uwagi i ani razu nie poszedł posłuchać wiolonczelisty. Nie wie, dlaczego Emina mówi mu to wszystko, ale nie będzie jej przerywał. Niech dokończy.

– Nie wiem, co to za utwór, jaki ma tytuł. Jest smutny. Ale kiedy go słucham, wcale nie robi mi się smutno. – Patrzy mu uporczywie w oczy, aż ogarnia go zakłopotanie. – Jak myślisz, dlaczego to robi? Gra dla tych, którzy tam zginęli? Czy dla tych, którzy przeżyli? Co chce w ten sposób osiągnąć?

To nie jest pytanie retoryczne. Emina oczekuje od niego odpowiedzi. Dragan jej nie ma. Nie wie, co mogło wstąpić w tego człowieka.

– Dla kogo gra? – Emina powtarza pytanie i nagle Dragan doznaje olśnienia.

– Może dla siebie. Może to jedyne, co potrafi. Może wcale nie próbuje nic osiągnąć.

Tak mu się wydaje. Wiolonczelista nie próbuje naprawić świata, po prostu nie chce, żeby było jeszcze gorzej. Bo, jak zauważył optymista z dowcipu Eminy, zawsze może być gorzej. Kto wie, czy nie jedyny sposób, by temu zapobiec, to żeby ludzie robili to, co umieją najlepiej.

Emina wydaje się usatysfakcjonowana, a przynajmniej zaintrygowana jego odpowiedzią. Opiera się o wagon.

– Jovan mówi, że to wariat. Że to niczemu nie służy i tylko ściągnie na siebie śmierć.

Dragan się zastanawia.

– Jovan jest głupcem – oznajmia, spoglądając gdzieś daleko przed siebie.

– Wiem. Kiedyś nawet mi się to w nim podobało.

Dragan ośmiela się na nią zerknąć. Na jej twarzy nie ma uśmiechu.

– Boję się, Dragan. Boję się wszystkiego – że zginę i że nie zginę. Boję się, że tak będzie zawsze, że to coś więcej niż wojna, że tak już będzie wyglądało całe nasze życie.

Dragan kiwa głową. Opuścił go bojowy nastrój.

– Ja też się boję. Wszystkiego.

Emina robi krok do przodu i staje przy nim. Jak dotąd nikt nie odważył się przejść na drugą stronę, wygląda jednak na to, że wkrótce ktoś się zdecyduje, czuć atmosferę

oczekiwania. Dragan spogląda w niebo i obserwuje wielką, szarą chmurę. Zdaje się sunąć bardzo wolno. Zastanawia się, czy rzeczywiście tak jest, czy to jedynie kwestia perspektywy – może tak naprawdę chmura porusza się równie szybko jak frunący ptak albo rozpędzony samochód? Nie sądzi, żeby tak było, ale nie ma jak tego stwierdzić – i ta świadomość przynosi mu pewną ulgę. Spogląda na ulicę. Nie spojrzy znowu w niebo, dopóki nie będzie miał pewności, że chmury już tam nie ma.

Jakiś mężczyzna w żółtej kurtce uznał, że można już spróbować przedostać się na drugą stronę. Biegając zygzakiem, z pochyloną głową, dociera w bezpieczne miejsce. Pozostali przyjmują to z ulgą, a kilkoro znajduje w sobie odwagę, by pójść w jego ślady. Wszystkim udaje się bezpiecznie przebiec na drugą stronę. Decyduje się na to coraz więcej osób i wkrótce w pobliżu wagonu nie ma już nikogo, kto był świadkiem ostatniego strzału, oprócz Dragana i Eminy.

– Kobietę odwiedza znajoma – mówi Emina szybko i z uśmiechem. – Kobieta pyta ją, czy napije się kawy. „Nie, dziękuję, nie trzeba”. „To świetnie, w takim razie mogę wziąć prysznic”.

Dragan śmieje się, choć zna ten kawał. Istnieje kilka wersji, ale w każdej kobieta robi dobry użytek z niedorzecznie małej ilości wody. Jest w tym ziarno prawdy. Dragan potrafi umyć się cały, zużywając pół litra wody. Ćwierć litra na mycie, ćwierć na spłukanie. To nie to samo, co kąpiel, ale człowiek jest czysty. A ciepła woda – to już pełnia szczęścia.

Za parę tygodni jego syn Davor skończy dziewiętnaście lat. Gdyby nie to, że wyjechał, pewnie już dawno biegałby z karabinem; zgłosiłby się sam albo został wcielony. Dragan pamięta dzień jego narodzin, tamten wczesny poranek przed wschodem słońca. Byli w szpitalu drugi dzień. Poród trwał blisko półtorej doby, zatroskane twarze położnych napawały go niepokojem, lecz w końcu jego syn wydostał się na świat, a lekarze orzekli, że jest zdrowy. Jego cichy płacz, dobywający się spod kołderek, był muzyką dla uszu Dragana. Ogarnęło go później wszechogarniające uczucie dobroci, nie tylko wobec syna, lecz również całego świata, chciał, żeby wszystko było inaczej, i zastanawiał się, co mógłby zrobić, żeby zmienić rzeczywistość na lepsze. Jednak z czasem tamto uczucie wygasło, a teraz nie było już po nim żadnego śladu.

Nadal chciał dla syna jak najlepiej i nadal pragnął innego świata, lecz nie rozmyślał o tym, jak tego dokonać i co mógłby zdziałać. Teraz często zastanawia się, czy jakiś jego uczynek albo zaniechanie przyczyniły się do zniszczenia Sarajewa. Zastanawia się, co by było, gdyby żołnierze na wzgórzach i obrońcy miasta mieli w sercach choć cząstkę tej dobroci, jaką ludzie czują wobec bezbronного dziecka.

Ze wschodu, jakieś dwadzieścia metrów od Dragana, nadbiega nieduży czarny pies. Idzie pewnie, z nosem przy ziemi, ogon ma opuszczony. Nie zatrzymuje się, niczego nie obwąchuje, nie wita przechodniów. Dragan zaczyna mu się bezwiednie przyglądać, a kiedy zerka na Eminę, widzi, że ona robi to samo. Pies mijają ich na wyciągnięcie ręki, nie zwracając na nich najmniejszej uwagi. Inni ludzie jakby go nie widzieli, ale dlaczego mieliby się nim interesować? W mieście jest pełno bezpańskich psów. Ten jeden niczym się nie wyróżnia. Ale skoro tak, myśli Dragan, to dlaczego Emina i ja tak mu się przyglądamy? Dlatego, że ten pies ma jakiś cel. Wie, dokąd idzie.

Pies dociera do skrzyżowania i bez wahania wchodzi na ulicę. Czy wie, że na wzgórzach czai się człowiek z karabinem? Jakby w odpowiedzi na to pytanie zwierzę unosi pysk znad ziemi, obraca głowę w lewo i spogląda w tamtym kierunku. Dragan zaczyna wierzyć, że ten pies dobrze wie, co tu się dzieje. Może nawet wie, gdzie jest snajper? Może potrafi podążać węchem za torem lotu kuli, aż do karabinu, z którego ją wystrzelono? Wyczuć, z którego okna lub dachu nadleciała? Czy ktoś to kiedykolwiek sprawdził? Czy na pewno wiemy, do czego jest zdolny psi węch?

Dragan zastanawia się, czy snajper strzeliłby do psa. Czy zmarnowałby nabój i zaryzykował ujawnienie swojej pozycji kontrsnajperowi? Jeżeli żołnierze na wzgórzach strzelają do nas, a nie strzelają do psów, to znaczy, że różni się w ich oczach. Pytanie, czy jesteśmy lepsi, czy gorsi? A oni? Czy uważają, że mają więcej wspólnego z psem, czy z człowiekiem?

Pies węszy przy ziemi, jest już prawie po drugiej stronie skrzyżowania. Wchodzi na chodnik, po czym niespodziewanie przystaje i ogląda się za siebie. Przez kilka sekund patrzy w stronę ulicy, nie wiadomo na co, wreszcie rusza dalej i znika im z oczu.

– Ciekawe, dokąd idzie? – odzywa się Emina.

Dragan odwraca się do niej i widzi, że się uśmiecha.

– Nie mam pojęcia.

– Szedł, jakby miał jakieś pilne zadanie. Ciekawe, dokąd mu się tak spieszy?

Dragan już ma coś odpowiedzieć, gdy nagle uświadamia sobie, że dokądkolwiek zmierza ten pies, cokolwiek go tam prowadzi, nie ma między nimi większej różnicy. Obaj zwyczajnie starają się przeżyć. W przeciwieństwie do żołnierzy na wzgórzach, którzy wciąż odróżniają ludzi od psów, Dragan przestał widzieć różnicę. Kiedy pies znalazł się w polu strzału snajpera, Dragan martwił się o niego tak samo, jak martwił się o czterdzieści czy pięćdziesiąt osób, które przekroczyły ulicę, odkąd się tu zjawiał.

Emina spogląda na niego, czekając na odpowiedź na swoje pytanie.

– Czy w ogóle pośpiech ma jeszcze jakiś sens? – pyta retorycznie Dragan, próbując zamknąć temat.

Nie chce dłużej myśleć o tym psie. Zastanawia się, jak długo już tu stoi w oczekiwaniu na dogodny moment do przejścia. Może trzy kwadransy. Czy to czekanie zwiększyło, czy zmniejszyło jego szanse?

– Dlaczego mieszkaniec Sarajewa wszedł na jezdnię? – pyta Eminę.

Emina kręci głową, wyciąga rękę z kieszeni i odgarnia włosy z twarzy.

– Dobre pytanie.

– Żeby się dostać na drugą stronę.

Żart jest tak słaby, że Emina kwituje go stęknieniem. Draganowi to nie przeszkadza. Od miesiący nie opowiedział nikomu żadnego dowcipu. Cieszy się, że to zrobił, nawet jeśli żart jest fatalny.

– Chyba już pora, żeby mieszkanka Sarajewa zrobiła to samo – mówi rozbawiona Emina. – Jeżeli się pospieszę, może zdążę na koncert wiolonczelisty.

Dragan przestaje się śmiać. Ona ma rację. Ile można stać i czekać?

– Pójdę z tobą.

Emina kiwa głową i ruszają w stronę ulicy, ona z przodu, on za nią. Kiedy są już przy końcu wagonu, blisko miejsca, w którym trzeba zacząć biec, Dragan traci zimną krew. Pot oblewa mu dłonie, a po chwili plecy i stopy. Strach zatyka mu oddech w piersi. Wyciąga rękę przed siebie i kładzie ją na ramieniu Eminy.

– Jeszcze nie teraz – mówi. – Nie jestem gotowy.

Emina kiwa głową.

– Chcesz, żebym na ciebie poczekała?

Chciałby, ale nie chce jej tego mówić.

– Nie trzeba. Nic mi nie jest. Po prostu nigdzie mi się nie spieszy.

Emina spogląda z napiętym wyrazem twarzy. Czyżby mimo wszystko zamierzała zostać?

– Ucałuj ode mnie Razę. – Przybliżyła się i ścisnęła go na pożegnanie.

Jest ciepła, prawdziwa, jakby większa niż wtedy, gdy się witali. Znów stała się dla niego człowiekiem. Tą samą osobą, którą znał dawniej. Zmienioną przez wojnę, ale jednak tą samą. Nie spowiała jej wszechobecna szarość. Dlaczego wcześniej tego nie spostrzegł? Czego jeszcze nie zauważył?

Dwie osoby, kobieta i mężczyzna, próbują się przedostać w przeciwnym kierunku. Mężczyzna jest już mniej więcej w połowie skrzyżowania, kobieta dopiero weszła na jezdnię. Ona ma włosy związane czarną chustką, on jest w brązowym kaszkiecie – Dragan nigdy takiego nie miał, ale zawsze mu się podobały. To czapka, jaką mógłby

nosić detektyw.

Emina wychodzi na ulicę. Przyspiesza kroku, teraz już biegnie, lecz Draganowi wydaje się, że zwalnia. Wszystko staje się przytłumione, gęste jak pod wodą. Niebieski wełniany płaszcz Eminy zmienia się w plamę, Dragan jest zmęczony. Najchętniej zasnąłby i przespał kilka dni.

Obok niego staje młody mężczyzna, szykuje się do przejścia na drugą stronę. Waha się tylko przez chwilę, bierze głęboki oddech i rusza przed siebie. Chwilę po tym, jak wszedł na ulicę, Emina przewraca się, odrzucona gwałtownie na bok, a ciszę przesywa huk wystrzału. Mężczyzna w kaszkiecie na moment przystaje, po czym rzuca się biegiem w stronę Dragana. Kobieta zawraca, szukając schronienia tam, skąd przyszła. Emina leży nieruchomo. Dragan nie widzi, gdzie ją trafiono ani czy jeszcze żyje.

Obok, na skraju wagonu, zbiega się kilka osób, wszystkie oczy zwrócone są na ulicę. Niektórzy wołają do ludzi znajdujących się na linii ognia, radząc im, by uciekali, i wykrzykując podobne oczywistości.

Młody mężczyzna rusza biegiem w stronę Eminy. Coś mu się pomieszało, myśli Dragan, powinien zawrócić. Po chwili jednak zaczyna rozumieć. Chce do niego dołączyć, pomóc mu ratować Eminę, o ile to jeszcze możliwe, lecz jego stopy tkwią w miejscu. Wszystkich wokół rozpiera gorączkowa energia, a on nawet nie ruszył się z miejsca.

Obydwaj mężczyźni, młody i ten w kaszkiecie, zrównują się z Eminą w tej samej chwili, kiedy druga kobieta dociera w bezpieczne miejsce. Dragan widzi, jak po tamtej stronie ulicy otaczają ją ludzie, pytają, czy nic jej się nie stało, choć widać, że jest cała. Młody pochyla się i obejmuje Eminę. Mężczyzna w kaszkiecie biegnie dalej, nie zatrzymując się. Młody patrzy za nim z niedowierzaniem, woła o pomoc. Ten w kaszkiecie nie słyszy albo udaje, że nie słyszy. Gdy dobiega już do wagonu, rozlega się kolejny strzał. Czapka spada mu z głowy i ląduje u stóp Dragana. Ten wpatruje się w nią, odczytuje z metki, że wyprodukowano ją w Wiedniu. Podnosi wzrok. Właściciel kaszkietu leży na brzuchu.

Ludzie dookoła zorientowali się, że stoją znacznie bliżej pola ostrzału, niż sądzili. Kucają wszyscy prócz Dragana, któremu kojarzy się to ze stadem ptaków równocześnie zmieniających kierunek lotu, jakby ktoś je zaprogramował. Chwyta go czyjaś ręka. Uświadamia sobie, że grozi mu niebezpieczeństwo, i bierze przykład z pozostałych. Trzymając się blisko ziemi, wycofują się na odległość trzech metrów od ulicy i mężczyzny, któremu spadł kaszkiet.

Tymczasem młody podniósł Eminę i teraz widać, że jest żywa. Ręka zwisa jej

bezwładnie, rękaw przesiąkł krwią, lecz oczy ma otwarte, a drugą dłonią trzyma się mocno swojego wybawiciela. Metr od nich odbija się od jezdni następna kula. Mężczyzna nie reaguje, z uporem wlecze Eminę dalej, powoli, niezdarnie. Dragan jest pełen najczarniejszych myśli.

Kiedy mijają mężczyznę bez czapki, którego Dragan uznał za martwego, w ich stronę wyciąga się błagalnie drżąca ręka. Mężczyzna żyje, ale nie może się podnieść. Młody nie zwraca na niego uwagi. Emina spogląda milcząco i odwraca wzrok.

Dragan liczy sekundy od ostatniego strzału, próbuje zgadnąć, ile czasu im zostało. Tak naprawdę jednak nie wie, ile sekund upłynęło, nie ma też pojęcia, ile czasu potrzebuje snajper, by ponownie wymierzyć i strzelić.

Emina i jej wybawiciel są już dwa metry od niego, już tylko metr. Wreszcie rzucają się na ziemię tuż za jego plecami, Emina wydaje z siebie głośny jęk. Dragan się nie odwraca. Nie może oderwać wzroku od ulicy, na której mężczyzna bez czapki usiłuje centymetr po centymetrze doczołgać się do bezpiecznego schronienia. Rozmazuje przy tym dookoła własną krew. Dragan jest świadomy panującego na ulicy hałasu, lecz chwilowo nie słyszy nic oprócz własnego szeptu, którym liczy upływające powoli sekundy. Gdy dochodzi do ośmiu, głowa mężczyzny pęka, tryskając czerwoną mżawką, a towarzyszy temu niosący się echem huk wystrzału.

Dragan opuszcza wzrok i spostrzega, że trzyma w dłoniach jego kaszkiet. Nie pamięta, kiedy go podniósł, nie ma pojęcia, dlaczego to zrobił. Przyjrząwszy się mu i przesunąwszy palcem po krawędzi, kładzie go na asfalcie, po czym odwraca się do Eminy.

STRZAŁA

Po nocy płytkiego snu i odtwarzania w myślach wydarzeń minionego dnia Strzała jest zmęczona i wciąż niewiele rozumie. Żaden z przychodzących jej do głowy scenariuszy nie wyjaśnia tego, co się stało. Jest absolutnie pewna, że snajper zajął pozycję i miał wiolonczelistę w zasięgu strzału. Ale jedno nie trzyma się drugiego. To ją martwi. Czyżby utraciła swój dar? Przestała być niezawodną bronią, którą była jeszcze kilka dni temu? Nie może też wykluczyć, że snajper przysłany przez wojsko na wzgórzach jest wyjątkowo utalentowany. A jeśli nie zdoła odgadnąć jego planu?

Dochodzi dziewiąta rano. Znów usiadła w miejscu, gdzie po południu zagra wiolonczelista. Coś się jednak zmieniło. Wczoraj siedziała czujna i wyprostowana, z oczami dookoła głowy; dziś jej kręgosłup ugina się pod ciężarem zgarbionych barków. Wpatruje się w ziemię pod stopami.

Myśli o pogrzebie, na którym była w zeszłym miesiącu. Jej sąsiad Slavko zginął, wracając z wyprawy po wodę. Kula snajpera przebiła mu szyję na wylot. Ciało spoczęło na stadionie w Koševie, który obecnie służy za cmentarz. Jego żona uznała, że chciałby zostać pochowany w miejscu, gdzie przeżył wiele radosnych chwil jako kibic.

Strzała zwykle nie chodzi na pogrzeby. W początkach wojny przez szacunek starała się nie opuścić żadnego, ale potem stały się jej obojętne; im dłużej na nie chodziła, tym bardziej się znieczulała, aż w końcu nieszczęście zabitych i smutek ocalałych zaczęły ją złościć. Patrząc na twarze mężów, żon, matek i synów, czuła w sobie wzbierający gniew, na dodatek wymierzony w tych, którzy zdawali się najgłębiej przeżywać odejście zmarłego. Jak mogli czuć tyle żalu? Jakim cudem nie stali się jeszcze zupełnie obojętni na ból? Gdy już gotowa była podejść do zapłakanego wdowca i ukręcić mu głowę, opamiętywała się i ogarniał ją wstyd. Dlaczego stała się taką osobą? Przypominała sobie wtedy o żołnierzach na wzgórzach – to oni jej to zrobili. Nazajutrz lub jeszcze tego samego dnia zabijała tylu, ilu się dało. Wszystko to było jednak wyczerpujące, kosztowało ją zbyt wiele energii. Nie potrzebowała przecież dodatkowej motywacji, by posyłać kule w stronę wzgórz.

Ale Slavka lubiła. Tuż przed wojną przeszedł na emeryturę, wcześniej pracował w miejskim wydziale zieleni, znał się na zwierzętach, na ptakach. Kiedy czekali razem na windę, opowiadał jej o różnych ciekawych rzeczach, które widział. Wysoki, szczupły, nosił ogromne okulary, w których wyglądał jak owad. Strzała, gdy była mniejsza, często myślała o nim jak o wielkim pasikoniku. Pewnego razu grała z dziećmi z sąsiedztwa w piłkę na ulicy; piłka im uciekła, a Slavko, który właśnie

szedł pod górę ulicą, zatrzymał ją, zanim stoczyła się na dół. Przycisnął ją butem do krawężnika, spojrzął na dzieci, po czym długą nogą kopnął ją do niej. Wcale nie stała najbliżej ani nie była jedynym dzieckiem, które tam znał. Poczula się wyróżniona. Gdy piłka, minawszy jej kolegów i koleżanki, wylądowała u jej stóp, ogarnęło ją przyjemne uczucie dumy. „Uważajcie na samochody – powiedział do całej gromadki, a przechodząc obok Strzały, położył jej rękę na ramieniu. – Miłej zabawy”.

Nie mogła więc odmówić, gdy żona Slavka zapukała do jej drzwi i poprosiła ją, by przyszła na pogrzeb – pogrążone w żalu wdowy rzadko wykonywały podobne gesty.

– On tak lubił z tobą rozmawiać – powiedziała Ismira.

Ona i Slavko nie mieli własnych dzieci.

– Oczywiście, że przyjdę – zapewniła ją Strzała.

Ismirę to ucieszyło. Pogrzeb odbył się następnego dnia. Stojąc na dawnym boisku z dwoma tuzinami innych ludzi, Strzała czuła, jak narasta w niej znajomy gniew. Starła się myśleć o czym innym, odwrócić własną uwagę od żałobników. Za dołem, w którym umieszczono Slavka, ciągnął się rząd świeżo wykopanych grobów. Pustych i rozdziawionych niczym dzioby piskląt. Nie miała wątpliwości, że zapełnią się do końca tygodnia.

Obok niej stał gruby mężczyzna. Nie znała go, lecz sama obecność człowieka z nadwagą była czymś nadzwyczajnym. Od początku oblężenia większość mieszkańców straciła od dziesięciu do dwudziestu kilogramów. Strzała nie potrafiła zrozumieć, jak można być grubym, skoro wokół brakuje żywności. Zaraz jednak przypomniała sobie, że niektórzy – ci uprzywilejowani, z koneksjami – nie muszą się martwić o jedzenie. Uznała, że ten człowiek musi być jakimś gangsterem albo skorumpowanym urzędnikiem. Zastanawiała ją, co ktoś taki robi na pogrzebie Slavka. Nie podejrzewała go o obracanie się w podobnych kręgach.

Odwracając głowę, by lepiej się przyjrzeć temu mężczyźnie, usłyszała znajomy gwizd nadlatującego pocisku moździerzowego. Inni ludzie także zrozumieli, co się dzieje, lecz w żaden sposób nie mogła im pomóc. Nie było gdzie się schować. Jediną sensowną kryjówką pozostawały otwarte groby, ale choć mózg domagał się od niej, by wskoczyła do jednego z nich, nie posłuchała go. Przypadła do ziemi i pierwszy raz od miesięcy poczuła zapach mokrej trawy. Pocisk wybuchł gdzieś za nią, nieopodal, a po chwili gruby mężczyzna obok niej zaczął płakać. Jego szloch zagłuszyła kolejna eksplozja, tym razem nieco dalej.

Leżała na brzuchu, dopóki ostrzał nie ustał. Kiedy uniosła głowę, w pobliżu nie

było nikogo poza grubym. Przeżył, cały się trząsł, ale nie wyglądał na rannego. W pierwszej chwili pomyślała, że wszyscy pozostali zginęli. Że tamci na wzgórzach wynaleźli nową broń, która sprawia, że ludzie znikają bez śladu. Koniec z krwawą rzezią, z nieprzyjemnymi widokami. Zero bałaganu. Ludzie znikają, jak gdyby nigdy nie istnieli. Potem z jednego z grobów wyłoniła się głowa, a po niej następna, wreszcie ludzie zaczęli z nich wychodzić. Strzała patrzyła, jak paru mężczyzn pomaga Ismirze wydostać się z mogiły Slavka.

Gruby człowiek usiadł, próbował dźwignąć się na nogach, ale nie dał rady. Westchnął świszcząco i spojrzał w jej stronę.

– Dlaczego nie schował się pan w grobie? – zapytała go surowym tonem, który zaskoczył ją samą.

Jego twarz przybrała nieco swobodniejszy wyraz.

– Bałem się, że potem z niego nie wyjdę. Jeżeli myśli pani, że jestem otyły, powinna mnie pani zobaczyć przed wojną.

Wstała i pomogła mu się podnieść.

– Skąd pan znał Slavka?

– Właściwie to go nie znałem. Staliśmy razem w kolejce po wodę. Upadła mi butla, a on pomógł mi ją podnieść. – Mężczyzna spojrzał na swoje stopy. – A dlaczego pani nie schowała się w grobie? – zapytał, podnosząc wzrok.

Uśmiechnęła się.

– Bałam się, że mnie pan przygniecie.

Mężczyzna również się uśmiechnął. Zaraz potem Strzała uświadomiła sobie jednak prawdziwy powód swojej decyzji. Nie chciała pozwolić, by żołnierze na wzgórzach wpędzali ją pod ziemię. Jeżeli kiedyś się tam znajdzie, to wyłącznie z własnej woli lub po śmierci. Dlatego najpierw muszą ją zabić. Nie zamierza żyć w grobie.

Strzała nie wie, dlaczego to wspomnienie przyszło jej do głowy właśnie teraz. Nie widzi związku z tym, co ją dzisiaj czeka. Sterta zwiędłych kwiatów u stóp przypomina jej o zadaniu, które ma do wykonania.

Podnosi wzrok i spogląda w okno, za którym najprawdopodobniej ukrywa się snajper. Doskonałe stanowisko. Trafić stamtąd wiolonczelistę to żaden problem. Patrzy na zachód, ku własnej kryjówce, a potem w górę, tam gdzie umieściła atrapę. Wszystko jest w jak najlepszym porządku. Jej plan wciąż może się powieść.

Wstaje i już ma się udać na zachód, gdy nagle sztywnieją jej nogi, a krew zaczyna tętnić w palcach. Zastyga w bezruchu, próbując zrozumieć, co tak na nią podziało. Bierze głęboki oddech i dociera do niej, że snajper ją obserwuje. Nie wie, gdzie jest,

ale czuje na sobie jego spojrzenie. Może być w jednym z okien, a może to któraś z dziesięciu osób na ulicy, na pozór zwykłych przechodniów. Nie ma to w tej chwili znaczenia, bo Strzała nie wzięła karabinu. Najpierw ogarnia ją strach, zaraz jednak uprzytamnia sobie, że brak broni mógł ją uratować. W oczach snajpera jest przypadkową osobą, która usiadła na ulicy. Krewną kogoś, kto tu zginął, jednym z wielu mieszkańców, którzy przychodzą uczcić pamięć ofiar albo posłuchać wiolonczelisty. Skąd miałby wiedzieć, że przysłano ją po to, by go powstrzymała?

Inna sprawa, że jeśli obserwował ją przez dłuższą chwilę i widział, jak przygląda się kolejnym oknom, niewątpliwie wszystkiego by się domyślił. Ale co by wówczas zrobił? Gdyby istotnie ją przejrzał, z pewnością byłaby już martwa.

Na wszelki wypadek Strzała wkłada ręce do kieszeni i rusza na wschód, oddalając się od budynku, w którym urządziła sobie kryjówkę. Mija domniemane okno snajpera, nie zatrzymując się ani nie oglądając za siebie; w ogóle nie patrzy w górę. Dochodzi aż do wypalonych ruin biblioteki. Tam skręca na północ i kieruje się z powrotem do mieszkania, by wziąć karabin, z którego zastrzeli swojego przeciwnika.

Postanowiła mieć się na baczności. Będzie postępowała tak, jakby snajper co najmniej dorównywał jej umiejętnościami. Nie robi nic, co pozwoliłoby mu ją wykryć. Choć przybyła do kryjówki prawie pięć godzin temu, odczeka jeszcze kilka minut i dopiero tuż przed czwartą zajmie stanowisko przy oknie. Nie da mu szansy, żeby ją spostrzegł. Wcześniej poszła do mieszkania z atrapą i przestawiła udawany karabin oraz czapkę, w przeciwnym razie snajper mógłby zauważyć, że od wczoraj ani drgnęły.

Nie złożyła meldunku. Nermin z pewnością dowiedział się, że nie zabiła snajpera, ale wie również, że wiolonczelista żyje. Będzie musiała się z nim dzisiaj zobaczyć, o ile dożyje do wieczora. A jeśli nie zdoła trafić snajpera lub, co gorsza, wiolonczelista zginie? Jeszcze nigdy nie zawiodła swoich zwierzchników i wolałaby nie sprawdzać, jak reagują na podobne niepowodzenia.

Już czas. Niedługo wiolonczelista wyjdzie na ulicę i snajper będzie musiał się ujawnić. Strzała zbliża się do okna, opiera karabin na przewróconym stole i przysuwa oko do celownika. Namierza okno na trzecim piętrze, gdzie spodziewa się snajpera, i szuka otworu w plastikowej folii. Znajduje go bez trudu – powiększył się od wczoraj. Teraz można przez niego spokojnie trafić do celu. Kiedy snajper wymierzy, zobaczy go jak na dłoni. Nic prostszego niż posłać mu wtedy kulę. Uśmiecha się.

Wiolonczelista wyłania się z budynku i wychodzi na środek ulicy. W oknie na trzecim piętrze nic się nie dzieje. Rozkłada taboret, siada milcząco i nieruchomo. Unosi ręce i zaczyna grać. Na trzecim piętrze wciąż spokój. Strzała zna już dźwięki granej melodii. Słyszy je w głowie, zanim dolatują do jej uszu, włącznie z tymi zagłuszonymi przez hałas ulicy, huk wybuchów i jej własne skupione myśli.

Po pięciu minutach dociera do niej, że coś jest nie tak. Występy wiolonczelisty trwają jedynie dziesięć, najwyżej piętnaście minut, a snajpera wciąż nie widać. Nie przychodzi jej do głowy żaden powód, dla którego miałby zwlekać, a ściślej mówiąc: żaden, który nie burzyłby jej planu. Nie ma jednak innego wyjścia, niż dalej obserwować okno na trzecim piętrze i czekać na jego ruch. Ciąg następujących po sobie decyzji przywiódł ją do miejsca, z którego nie ma odwrotu. Dokonała już swoich wyborów.

W mieszkaniu z atrapą coś się poruszyło. Wyczuła to, zanim to spostrzegła, zanim przesunęła lufę karabinu o czterdzieści stopni na północ. Patrząc przez celownik, nie widzi niczego podejrzanego. Nic się tam nie zmieniło. Najwyraźniej umysł płata jej figle. Strzała kieruje swoją uwagę z powrotem ku oknu na trzecim piętrze.

Dopiero gdy oko oswaja się z nowym obrazem w celowniku, dociera do niej, co się zmieniło w mieszkaniu z atrapą. Karabin, który tam zobaczyła, nie był jej karabinem. Wpadła we własne sidła. Choć patrzy teraz gdzie indziej, wie, że tamten karabin został w nią wycelowany i zaraz wystrzeli. Pada na podłogę i w tej samej chwili kula rozrywa folię i przebija ścianę w głębi pokoju. Podciąga kolana do piersi i czeka na drugi strzał, który zabije wiolonczelistę.

Jednak muzyk gra dalej. Echo strzału, który miał ją dosięgnąć, odbija się od budynków po obu stronach ulicy, zagłuszając muzykę, lecz po chwili znów ją słyhać. Drugi strzał nie pada. Wiolonczelista gra do końca, jakby nie słysząc huku, który rozległ się dziesięć metrów nad nim, albo nic sobie z niego nie robiąc. Oczywiście nie mógł wiedzieć, kto strzelał. Ciekawe, czy ma to dla niego jakieś znaczenie, kto i gdzie strzela? Czy w ogóle kogokolwiek to jeszcze obchodzi?

Opiera się pokusie, by sięgnąć po karabin i odpowiedzieć ogniem. Snajper z jakiegoś powodu nie zabił wiolonczelisty. Może dlatego, że nie ma pewności, czy ją trafił, i woli nie odrywać wzroku od okna. Strzała leży nieruchomo. Niech myśli, że ją zabił.

– Przypuszczam, że albo wycofał się po pierwszym strzale, albo czekał, bo nie był pewien, czy cię trafił – mówi Nermin. – A może nie miał dogodnej pozycji, żeby

strzelić do wiolonczelisty? – Mówiąc to, opiera się o poręcz krzesła, jakby odprężyły go jego własne wnioski.

Strzała wie, że snajper miał doskonałą pozycję, wątpi też, by uciekł lub czekał, by upewnić się, że jest martwa. Odkąd opuściła kryjówkę, jeszcze bardziej umocniła się w tym przeczuciu. Nie ma jednak pojęcia, dlaczego nie zabił wiolonczelisty, i woli nie wdawać się w dłuższą rozmowę na ten temat.

– Wyślę tam człowieka na noc, w razie gdyby rozglądał się za ciałem.

– Tylko niech trzyma się z dala od okna i nie zostaje do rana. Ten snajper wie, jak wyglądam, i na pewno będzie obserwował to mieszkanie.

– Oczywiście – zgadza się Nermin. Patrzy na nią, jakby coś mu chodziło po głowie, po czym, najwyraźniej podjąwszy jakąś decyzję, pochyla się do przodu. Wygląda na zmęczonego. Wokół oczu ma głębokie zmarszczki, których Strzała sobie nie przypomina; jego mundur polowy, zwykle nienaganny, jest wygnieciony i brudny. – Tutaj sytuacja jest niepewna. Wiem, że złożyłem ci parę obietnic, i postaram się ich dotrzymać, ale ostatnio dzieją się rzeczy, które mogą nam wkrótce utrudnić życie, tobie i mnie.

Strzała kiwa głową. Nie jest żadną tajemnicą, że ludzie chcący bronić miasta za wszelką cenę toczą spór z tymi, którzy uważają, że nie wolno rezygnować z ideałów, na których to miasto się zasadza, a bez których nie byłoby warte ich poświęcenia. Pośrodku są przestępcy. W chwili wybuchu wojny tylko oni naprawdę umieli walczyć i rzucili się do walki w obronie miasta. Teraz nie sposób ich okiełznać, a zwykłym ludziom coraz trudniej przemykać oko na spekulantstwo, samowolę i rozmaite nadużycia. Rzadko się zdarza, by władzę oddawano dobrowolnie. Pytanie, która strona będzie górą. Strzała zdaje sobie sprawę, że przetrwanie miasta zależy w równej mierze od powstrzymania najeźdźców, jak od sposobu postępowania obrońców. Nie warto się bić o miasto fanatyków i przestępców.

Pierwszy raz dociera do niej trudność położenia, w jakim znalazł się Nermin. Swoboda, jaką jej pozostawił, jest nie po myśli tych, którzy dążą do władzy. Ktoś taki jak ona, zabójca, którego nie da się kontrolować, stanowi zagrożenie. Co innego, gdyby była w swoim fachu po prostu dobra. Wówczas mało kto dowiedziałby się w ogóle o jej istnieniu. Może właśnie taki obrót spraw zakładał Nermin, kiedy się do niej zgłosił. Ale jej talent jest znany i trudno go ukryć. Dla Nermina, jeżeli uczestniczy w rozgrywce o władzę, to może stanowić ciężar.

– Czy coś mi grozi? – pyta Strzała, przeczuwając odpowiedź.

Nermin uśmiecha się.

– Oczywiście, że tak. Na wzgórzach jest mnóstwo uzbrojonych żołnierzy. Dopiero

co jeden z nich próbował cię zabić.

Ten żart jedynie wzmacnia jej niepokój; oznajmia mu to wprost. Nermin kładzie dłoń na blacie. Paznokcie ma długie, dawno nieobcinane.

– Ostatnio jest coraz mniej tolerancji dla tolerancji. Mam nadzieję, że to się zmieni. W przeciwnym razie oboje znajdziemy się w niebezpiecznym położeniu. Musimy doprowadzić do końca sprawę wiolonczelisty. Co będzie potem – to już nie od nas zależy.

Wstaje od biurka, dając jej do zrozumienia, że jest wolna. Wychodząc, Strzała doznaje silnego przeczucia, że kiedy spotkają się ponownie, ich świat będzie wyglądał diametralnie inaczej.

Rano nie idzie prosto na ulicę wiolonczelisty. Nie może ryzykować, bo snajper wie, jak wygląda. Zresztą nie ma tam nic, czego jeszcze nie widziała. Ciekawi ją tylko, czy sterta kwiatów zwiększyła się od wczoraj.

Frustruje ją to, jak mało wie. Do niedawna nie miała tego problemu. Zaczęło się chyba od wiolonczelisty, choć nie pamięta dokładnie. Czyli nie potrafi nawet odpowiedzieć sobie na pytanie, od kiedy jej własne pytania pozostają bez odpowiedzi. Kręci głową i powstrzymuje gorzki uśmiech. Nie wolno jej ulec pokusie czarnego humoru. Spędza zbyt dużo czasu z Nerminem.

Plan na dziś jest prosty. Strzała zakłada z dużą pewnością, że snajper myśli, że ją zabił. Sama wie, że właściwie powinna być martwa. Dlatego wydaje się mało prawdopodobne, by przejmował się mieszkaniem, w którym się ukrywała. Żaden snajper nie wraca dwa razy w to samo miejsce, zwłaszcza jeśli ktoś tam zginął. Jeśli przeciwnik myśli, że przeżyła, założy, że znalazła sobie nową kryjówkę, a jeśli myśli, że zginęła, nie będzie się spodziewał drugiego snajpera w miejscu śmierci pierwszego.

Zdając sobie sprawę, że jej strategia mimo wszystko jest obarczona ryzykiem, ulokowała się tym razem w pokoju obok, na wschód od tamtego, pełniącym kiedyś funkcję głównej sypialni. Brakuje w nim części parapetu, zapewne wskutek wybuchu, który spustoszył całe wnętrze. Od parapetu aż do podłogi ciągnie się wyrwa o szerokości około sześćdziesięciu centymetrów. Plastikowa folia w oknie zakrywa ją, ale zwisa luźno. Wystarczy wetknąć lufę i odsunąć folię, by objąć wzrokiem większość ulicy na wschodzie. Strzała czuje się tutaj niewidzialna. Kiedy tak czeka, odliczając godziny, przychodzi jej do głowy, że powinna była od razu wybrać to miejsce. Ta myśl nie daje jej spokoju. Nie zachowała się tak, jak zachowałyby się

niezawodna broń.

Czas płynie wolno. Na zachodzie, od strony Dobrinji i Mojmila słysząc ciężki ostrzał moździerzowy. Trochę żałuje, że jej tam nie ma. Myśli o ludziach, których nie zabiła w ciągu ostatnich trzech dni, bo musiała być tutaj. O ludziach, którzy jej nienawidzą, chętnie by ją zabili, a od trzech dni zabijają bezkarnie innych takich jak ona.

Jednak teraz zaczyna mieć co do tego wątpliwości. Czy tamci na wzgórzach jej nienawidzą? Może nienawidzą jej nie jako człowieka, lecz jako idei, bo różni się od nich, a owa różnica może sugerować czyjąś wyższość lub niższość i przez to zagrażać ogólnemu szczęściu? A jeśli walczą z ideą, a nienawiść to jedynie przejaw tej walki? W takim razie wcale nie różnią się od niej. Z jednym kluczowym zastrzeżeniem, którego nie sposób zlekceważyć. Strzała była gotowa oddać życie za ideę, ale to nie była idea, w której mieściła się nienawiść do żołnierzy na wzgórzach. Sarajewo, o które walczyła, to miasto, gdzie nie trzeba było nikogo nienawidzić za to, że jest taki, a nie inny. Nie miało znaczenia, jakich człowiek miał przodków ani kim zostały jego dzieci. Nienawidziło się ludzi jedynie za ich uczynki. Można było nienawidzić mordercy, gwałciciela, złodzieja. Dlatego zaczęła zabijać żołnierzy na wzgórzach – bo nimi właśnie byli. Teraz jednak, wie o tym, powoduje ją przede wszystkim nienawiść do nich jako grupy ludzi.

Oszołomiona tym odkryciem w pierwszej chwili ma ochotę zostawić karabin, tak jak leży, i wrócić do swojego mieszkania. Jednak nie robi tego. Nie opuszcza stanowiska. Kiedy o czwartej na ulicy pojawia się wiolonczelista, zagina palec na spuście.

Snajper ujawnia się niemal natychmiast. Jest w oknie na pierwszym piętrze, jednym z trzech, które typowała na początku. Gdy wiolonczelista zaczyna grać, snajper pojawia się w otworze w folii, nowym i niezbyt dobrze ukrytym. Strzała nie sądziła, że to będzie takie łatwe.

Snajper bierze wiolonczelistę na cel. Strzała już ma posłać mu kulę, gdy nagle zamiera. Jej przeciwnik nie trzyma palca na spuście. Zwykle nie zwraca uwagi na takie szczegóły, teraz jednak widzi to wyraźnie w swoim celowniku i nie wie, co o tym myśleć. Jego dłoń nie znajduje się nawet w pobliżu spustu. Prawą ręką podtrzymuje w najwyższym punkcie łożo karabinu, ma doskonałą pozycję do strzału, lecz lewa ręka w ogóle nie dotyka broni. Zwieszona luźno wzdłuż boku znika za folią.

Czy słyszy muzykę? Musi ją słyszeć, skoro znajduje się niewiele dalej od wiolonczelisty niż ona. Czy w jego uszach te dźwięki brzmią tak samo? Co słyszy?

Co myśli o człowieku, który siedzi na ulicy i gra?

Przez kilka minut Strzała nie robi nic. Obserwuje snajpera przez celownik i słucha dźwięku unoszącego się nad ulicą. Melodia przepełnia ją smutkiem. Ciężkim, powolnym smutkiem, który nie doprowadza człowieka do łez, ale sprawia, że chce mu się płakać. To chyba najgorsze ze wszystkich uczuć.

Wciąż trzyma palec na spuście. Jeżeli snajper się poruszy, strzeli do niego. Ale snajper się nie rusza. Muzyka zbliża się do końca, lecz on ani drgnie. Strzała zaczyna wątpić w to, co widzi, może dała się zwieść, może to atrapa? W końcu jednak dostrzega ruch i teraz jest już pewna, że ma do czynienia z człowiekiem.

Snajper delikatnie odchyła głowę do tyłu. Oczy ma zamknięte, nie spogląda już w celownik. Strzała wie, co on robi. Nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. On słucha. To tłumaczy, dlaczego wczoraj nie oddał strzału.

Chciałaby, żeby podniósł rękę, wykonał jakiś ruch, który zmusi ją do działania. W tej chwili jest pewna dwóch rzeczy: że nie chce zabić tego człowieka i że musi to zrobić.

Czas ucieka. Nie ma powodu, by nie zabijać snajpera. Taki jak on bez wątpienia zastrzelił dziesiątki, jeśli nie setki osób. Nie tylko żołnierzy. Zabijał kobiety przechodzące na drugą stronę ulicy. Dzieci na placach zabaw. Starców czekających w kolejce po wodę. To więcej niż pewne. Mimo to Strzała nie chce pociągnąć za spust. Bo widzi, że on też nie chce.

Zastygł w bezruchu. Siedzi z zamkniętymi oczami, z jedną ręką na karabinie, drugą przy boku. Gdy docierają do niego ostatnie dźwięki melodii, uśmiecha się. Otwiera oczy i w tej samej chwili pojawia się między nimi niewielki otwór. Tył głowy eksploduje, szara tkanka mózgu bryzga na ścianę za jego plecami. Upadając, znika jej z oczu, a wraz z nim jego karabin.

Strzała opuszcza broń i spogląda na ulicę. Wiolonczelista skończył grać. Zabiera instrument i taboret i kieruje się ku wejściu do kamienicy. Zatrzymuje się przy samych drzwiach. Czy spojrzy w jej stronę? Oczywiście nie zdoła jej zobaczyć, ale chciałaby, żeby przynajmniej zwrócił się do niej twarzą, jakoś jej podziękował. Wiolonczelista poprawia uchwyt na szyjce instrumentu i znika wewnątrz budynku.

KENAN

Browar doznał poważnych uszkodzeń, część budowli grozi zawaleniem, ale źródło znajduje się głęboko pod powierzchnią ziemi, a piwnice pozostają poza zasięgiem żołnierzy na wzgórzach – co nie zmienia faktu, że ci wciąż próbują zrównać czerwony budynek z ziemią. Na swoje nieszczęście browar stoi w niewielkiej odległości od okupowanych wzgórz. Wielokrotnie już stawał się obiektem ataków mózdzierzowych. Kenana wówczas akurat tam nie było.

Na zewnątrz w kolejce po wodę stoi około setki ludzi. Kenan widywał tu nieraz nawet trzystu; cieszy się, że tym razem nie będzie musiał czekać wiele godzin. Grube węże wychodzące z wnętrza browaru na ulicę zasilają stojące na podporach wielkie rury, od których odchodzą mniejsze węże. Kenan szacuje, że jednocześnie wodę może pobierać mniej więcej dwadzieścia osób. Większość z nich ma tyle pojemników, ile on, więc raczej nie będzie długo czekał na swoją kolej. Ludzie w kolejce posuwają się miarowo naprzód, przy czym wydaje się, że zawsze gdy ktoś odchodzi z butlami pełnymi wody, ktoś inny z pustymi ustawia się na końcu.

Z przodu kolejki stoi mężczyzna z psem, średniej wielkości terierem o kędzierzawej brązowej sierści. Pies ma przywiązany u obroży termos. Przed napełnieniem swoich pojemników mężczyzna zdejmuje i napełnia nakrętkę termosu. Stawia ją na ziemi, a kiedy nalewa wody do czterech wielkich butli, pies w pośpiechu, jakby ścigał się z czasem, opróżnia nakrętkę. Po napełnieniu butli mężczyzna napełnia termos i zakręca nakrętkę. Nie została w niej ani kropla. Przywiązuje termos do psiej obroży i zaczyna ładować butle na prowizoryczny wózek, którego używa do ich transportu.

Kenan myślał, czy nie sprawić sobie takiego wózka, lecz doszedł do wniosku, że na ulicach zalega zbyt wiele gruzu blokującego koła i utrudniającego manewrowanie. Teraz jednak, widząc, ile wody może przewieźć mężczyzna z psem, zastanawia się, czy następnym razem nie spróbować. Gdyby napełnił oba swoje zapasowe pojemniki i może jeszcze kilka dodatkowych, mógłby rzadziej wyprawiać się po wodę.

Przy kranach nikt nie traci czasu. Nikt nie chce przebywać tu dłużej niż trzeba, choć z drugiej strony to rzadka okazja, by pobyć wśród innych ludzi, więc niektórzy mimo wszystko dają sobie trochę więcej czasu. Słysząc plusk wody, rozmowy, warkot ciężarówek wożących wodę nie wiadomo dokąd, może dla żołnierzy na front. Jeśli zapomni, po co tu przyszedł, Kenan potrafi sobie niemal wyobrazić, że toczy się tu normalne, codzienne życie. Pozwala, by obraz przed oczami trochę mu się rozmył, próbuje uwierzyć, że jest na bazarze. Ludzie rozmawiają o koncercie, o meczu piłki

nożnej. Z tego błęgiego uczucia wyrывa go kobieta krzycząca, by podszedł do wolnego kranu.

Mamrocze przeprosiny i rusza przed siebie. Woda chluszcze z rury, rozpryskując się na bruku pod jego nogami. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego te rury nie mają zaworów. Marnuje się w ten sposób mnóstwo cennej wody. Wody, dla której ludzie ryzykują życie, bo nie mogą jej zdobyć nigdzie indziej, a tymczasem ona się leje na ziemię, jakby to nikogo nie obchodziło. Może brakuje odpowiednich części, może ma to związek z pracą pomp, a może podziemne zasoby wody są tak ogromne, że szkoda na to czasu i fatygi. Trzeba mieć nadzieję, że ktoś to przemyślał i że nie ma ryzyka, że wody zabraknie.

Pochyla się, stawiając pojemniki na ziemi, uwalnia kark i ramiona spod sznura. Klęka, umieszcza butelki pani Ristovskiej przed sobą, po czym rozwiązuje własne. Szybкими ruchami zdejmuje pokrywki i odkłada równo jedna na drugiej. Ustawia swoje osiem butli po lewej stronie, w dwóch rzędach po cztery. Porusza zdrętwiałymi dłońmi, bierze głęboki oddech, wykonuje parę kolistych ruchów barkami, żeby rozluźnić mięśnie. Potem sięga po pierwszą butlę i ustawia ją pod strumieniem zimnej wody. Gdy zaczyna się przelewać, odsuwa ją w prawo, a lewą ręką chwytą następny pojemnik i jednym szybkim ruchem umieszcza go przed rurą, starając się uronić jak najmniej wody na ziemię. Nie wie, po co to robi. Po prostu nie chce być odpowiedzialny za marnotrawstwo. Ostatnimi czasy woda oznacza życie, inni ludzie mogą trwonić jedno i drugie, lecz on nie chce mieć z tym nic wspólnego. Napełnia drugą butlę z wyuczoną zręcznością, potem trzecią, czwartą, piątą, szóstą.

Ktoś kiedyś powiedział, że człowiek nigdy nie słyszy pocisku, który go zabije. Kenan nie wie, czy to prawda, nie ma pojęcia, skąd ktokolwiek miałby to wiedzieć. Jednak teraz, słysząc gwizd nadlatującego granatu, od razu wie, że jeszcze nigdy nie słyszał go z tak bliska. Pocisk spadnie gdzieś w pobliżu, ale Kenan nie potrafi odgadnąć, gdzie dokładnie wyląduje, nie ma w tym doświadczenia. W ułamku sekundy poprzedzającym wybuch przypomina mu się dzień, kiedy jako chłopiec wdał się w bójkę przed szkołą. Nie umiał się bić, właściwie nigdy wcześniej tego nie robił. Pamięta, że widział pięść tamtego chłopaka, patrzył, jak się zbliża, powoli, niemal sennie, i pomyślał wtedy: „Zaraz uderzy mnie w twarz”. Teraz znów widzi nadlatującą pięść, lecz tym razem myśli: „Zaraz zginę”.

Pocisk wybuchą, Kenan słyszy najgłośniejszy huk, jaki można sobie wyobrazić, i pada jak długi. Chłopak, który przyłożył mu trzydzieści lat temu, urósł i przyłożył mu znowu, tym razem z siłą zawodowego boksera. Oszołomiony Kenan leży na plecach, nawet nie próbuje się podnieść. Dzwoni mu w uszach, w ogóle nie słyszy

gwizdu drugiego pocisku, za to słyszy jego eksplozję. Huk dudni mu w głowie, Kenan ma wrażenie, że trwa to całą wieczność. Wreszcie na kilka sekund zapada całkowita cisza. Czyżby ogłuchł? Czuje wilgoć na plecach, pewnie jest ranny, zaraz jednak odzyskuje słuch, słyszy wokół siebie wrzaski i przychodzi mu do głowy, że gdyby był ranny, coś by jednak poczuł.

Próbuje się ruszyć, ale nic z tego. Jego kończyny nie reagują. Może nie żyje? Widzi biegnących ludzi, omijają go i uciekają w ulicę po prawej. Nie rozumie, dlaczego nikt się nie zatrzymuje. Udaje mu się poruszyć stopą, a potem nogą, wreszcie drugą nogą i rękami. Powrócił do krainy żywych. Siada, obmacuje się, szukając ran, ale nic mu nie jest. Siedzi w kałuży wody, ale jego butle się nie przewróciły. Nie wie, czy to powód do ulgi, czy do wstydu.

Pociski wylądowały trzydzieści metrów dalej, blisko końca kolejki. Wstaje i rusza w tamtym kierunku. Krząta się tam gorączkowo już kilka osób. Próbują ratować, kogo się da. Na jezdni leży czyjaś stopa. But jest cały, podobnie jak większa część skarpetki. Widok zdaje się nierealny. Jakaś kobieta trzyma się za nogę, oszołomiona, jakby ona także nie mogła w to uwierzyć. Spogląda na Kenana i zaczyna przeraźliwie krzyczeć, wskazuje swoją nogę pozbawioną stopy. Podbiega do niej dwóch mężczyzn, jeden przewiązuje jej udo kawałkiem tkaniny. Kobieta traci przytomność. Podnoszą ją i ruszają powoli wzdłuż ulicy. Czeka tam samochód, wkładają ją do środka, na tylne siedzenie, obok mężczyzny zalanego krwią z piętnastocentymetrowej rany na głowie. Rozerwane ucho trzyma się ledwie na kawałku skóry, lecz ranny zdaje się tym nie przejmować.

Tamci zamykają drzwi od strony kobiety i obchodzą samochód, by przyjrzeć się mężczyźnie. Po krótkiej naradzie wyciągają go z auta i kładą przy krawężniku. Nie rusza się, choć ma otwarte oczy. Nie żyje.

Zjawia się inna grupa z dwoma rannymi: mężczyzną z krwawiącym brzuchem oraz nieprzytomnym dzieckiem, na oko dziesięcioletnim. Obaj zostają pospiesznie umieszczeni w samochodzie, mężczyzna z tyłu, dziecko z przodu. Wydają się rodziną, choć pewnie tak naprawdę w ogóle się nie znają. Kenan chciałby wiedzieć, co teraz robią jego bliscy. Cieszy się, że nie zabrał ze sobą żadnego z dzieci, mimo że wielokrotnie go prosiły, a jemu przydałoby się ich towarzystwo i pomoc w noszeniu wody. Przeraza go myśl, że któreś z nich mogłoby wrócić do domu z inną rodziną.

Jeden z mężczyzn poklepuje tylną szybę i samochód odjeżdża. Kenan obraca się i widzi przed sobą człowieka, który przyszedł tu z brązowym terierem. Wciąż trzyma smycz, a właściwie pół smyczy. Noga mu krwawi. Patrzy na koniec urwanej smyczy, tam gdzie powinien być jego pies, a potem rozgląda się po ulicy.

– Nie widział pan mojego psa? – zwraca się do Kenana.

– Nie. Pan krwawi.

Mężczyzna jakby go nie słyszał.

– Przyjacielu, nie widział pan mojego psa?

Kenan kładzie mu dłoń na ramieniu.

– Jest pan ranny i potrzebuje pomocy.

Nieznajomy strząsa jego dłoń. Kulejąc, oddala się, by po chwili zatrzymać jakąś kobietę i powtórzyć swoje pytanie.

W oddali, gdzieś na drugim brzegu, rozlegają się syreny, chwilę później Kenan słyszy kanonadę moździerzy, a po niej ostry trzask snajperskich karabinów. Strzelają do ambulansów wysłanych na ratunek ofiarom. Gdy wycie syren się zbliża, zaczyna się martwić, że ściagną ogień na niego i na browar. Ale żołnierze na wzgórzach mogą ostrzelać browar, kiedy zechcą. Strzelając do karetek, chcą pokazać jemu i całej reszcie, że zrobią wszystko, by pomoc nie dotarła. Ktoś gdzieś włącza syreny przeciwlotnicze, zagłuszając sygnały ambulansów. Na końcu ulicy zatrzymuje się samochód i zabiera kolejnych kilka osób. Na chodniku przybywa leżących pokotem ciał.

Dookoła ludzie płaczą, biegają, krzyczą, jęczą. Ci, którzy doznali obrażeń, ale mogą chodzić o własnych siłach, kierują się w stronę wylotu ulicy w nadziei, że prędzej czy później zabierze ich stamtąd jakiś samochód. Tak samo jak Kenan, oni również słyszą wybuchy, a więc muszą wiedzieć, że piekło jeszcze się nie skończyło. Pojawia się pierwszy ambulans, sześć par noszy rozchodzi się w mgnieniu oka. Ryk syreny przeciwlotniczej wzmagą się, cichnie, znów się wzmagają. Kenanowi z czasem zaczyna to przypominać oddech astmatyka.

Potrafi rozróżnić tutaj trzy typy ludzi. Są tacy, którzy uciekli natychmiast po pierwszych wybuchach, instynkt samozachowawczy wziął w nich górę nad altruizmem czy poczuciem obowiązku. Są tacy, którzy nie uciekli, lecz z krótkowzroczną determinacją, umazani krwią ofiar, starają się pomóc tym, których można uratować, a tych, których nie można, układają z boku. W końcu trzeci typ, do którego zalicza się Kenan. Ci stoją z rozdziawionymi ustami, patrząc, jak inni udzielają pomocy lub uciekają. Sam jest zaskoczony tym, że nie uciekł, że nie należy do pierwszej grupy, i żałuje, że nie znalazł się w drugiej.

Spogląda pod nogi. Stoi zaledwie kilka metrów od miejsca, gdzie spadł pierwszy pocisk. Została tu już tylko garstka osób, nie więcej niż dziesięć. Miejscami asfalt pokrywają ciemnoczerwone plamy, ale tam gdzie stoi Kenan, jezdnia jest czysta. Woda wciąż leci z nieuszkodzonych kranów, pośrodku jezdni utworzyła się rzeka.

Rynsztoki różowieją, woda zmywa rozlaną przed kilkoma minutami krew.

Kenan wraca pod górę po swoje butle. Sześć należących do niego jest pełnych. Związuje je sznurkiem, trzy z lewej, trzy z prawej. Patrzy na tryskającą z rury wodę. Niedługo ulica będzie czysta. Wyciąga ręce i zakrywa wylot rury. Bez trudu ją tamuje, ale woda wciąż płynie z innych rur. Mógłby tak stać nawet przez rok, przemoknięty do suchej nitki, i nic by to nie dało. Cofa się i patrzy, jak woda spływa w dół zbocza. Wyobraża sobie, jak przelewa się dalej po ulicach, by wreszcie wpaść do Miljacki, opuścić Sarajewo i dotrzeć do morza.

I tak to właśnie jest. Pociski rozpruwają budynki, niszczą tramwaje, obracają w perzynę drogi i mosty, a człowiek widzi skutki, może ich dotknąć, codziennie przechodzi obok nich. Kiedy jednak giną ludzie, zabiera się ich do szpitali albo na cmentarze i jeszcze zanim zdążą wyzdrowieć lub całkiem ostygnąć, scena zbrodni przestaje wyglądać jak miejsce, gdzie wydarzyło się coś niezwykłego. Oto dlaczego żołnierze na wzgórzach mogą bezkarnie zabijać. Gdyby ciała piętrzyły się na ulicach, gnijąc tam, gdzie upadły, gdyby woda z rur nie zmywała krwi, kości i skóry, wówczas może by ich powstrzymano, może sami by przestali.

Na końcu ulicy stara zastawa zabiera ostatnich rannych. Na chodniku leży co najmniej siedem ciał. Podjeżdża duża niebieska furgonetka. Wychodzi z niej czterech mężczyzn i zaczynają po kolei ładować zwłoki – dwóch łapie za ręce, a dwóch za nogi.

Gdy wkładają ciała do środka, nogami do przodu, głowy zabitych zwieszają się, jakby spoglądały ostatni raz na miejsce swojej śmierci.

Kenan sięga po jedną z butelek pani Ristovskiej. Nie przejmuje się tym, że ręka mu drży i woda się rozlewa. Po napełnieniu butli bez pośpiechu ją zakręca i napełnia drugą. Odstawia je na ziemię i przez moment stoi w miejscu. Tak przywykł do dźwięku syren przeciwlotniczych, że przez chwilę w ogóle ich nie słyszał. Teraz znów jest ich świadom, słucha tego przeciągłego wycia, słucha pisku spadających pocisków moździerzowych, obustronnej kanonady. Jeszcze raz wkłada dłonie pod kran, obmywa je, mimo że nie są brudne, schyla się i przerzuca sznur przez ramię. Podnosi butelki sąsiadki, po jednej w każdej ręce, i staje wyprostowany. Sznur wrzyna mu się w kark i ramiona. Zgina plecy, by go sobie poprawić. Potem znów się prostuje i odwraca od mężczyzn ładujących ostatnie ciała do furgonetki. Rusza w dół zbocza, mija najpierw miejsce, gdzie spadł pierwszy pocisk, potem to, gdzie spadł drugi. Nie zatrzymuje się, nie patrzy na ziemię. Nic już tam zresztą nie widać.

Przystaje na końcu ulicy. Nie jest pewien, jaką trasę wybrać. Może udać się na wschód i przekroczyć rzekę w pobliżu biblioteki, używając tego samego mostu co

poprzednio, albo iść dalej przed siebie i skorzystać z któregoś z dwóch mostów znajdujących się po drodze. Obie trasy są w tej chwili ostrzeliwane, a jemu trudno będzie uciekać z tak ciężkim ładunkiem. Dochodzi do wniosku, że pozostają mu tylko dwie opcje. Albo poszuka schronienia i przeczeka ostrzał, który może potrwać wiele godzin, albo przejdzie na drugą stronę po moście Ćumurija, a właściwie po tym, co z niego zostało. Obie nie są za dobre. Perspektywa wielogodzinnego czekania, być może również przez noc, jest nie do zniesienia, postanawia więc przeprowić się przez rzekę. Oznacza to, że będzie musiał przenieść wypełnione wodą butle po gołej kratownicy mostu. Obrócić dwa, może nawet trzy razy. Ale przynajmniej znajdzie się w domu, z dala od tego oblędu, i znów na pewien czas zanurzy się w złudnym poczuciu bezpieczeństwa.

Skreca w lewo i rusza na zachód. Dotarłszy do ulicy prowadzącej na północ ku jednej z przepraw, przez które prowadzi najkrótsza trasa, spogląda w stronę rzeki i dostrzega samochód płonący tuż przy wjeździe na most. Ten sam model i kolor, co zastawa, którą widział koło browaru. Oby to nie była ona.

Raz i drugi bierze głęboki oddech, spogląda w poprzek ulicy. Wybiera względnie osłonięte drzwi w bramie, zaciska mocniej dłonie na butelkach pani Ristovskiej. Rusza w stronę drzwi najszybciej, jak potrafi. Mniej więcej w połowie jezdni dociera do niego, że kołysze się jak pingwin – wyobraża sobie, jak to musi wyglądać z boku. Nie żeby przejmował się tym, że ktoś go obserwuje – chyba że przez celownik. Chód pingwina to akurat najmniejsze z jego zmartwień. Choć po chwili zaczyna się zastanawiać, czy to, że przypomina ociężałego nietola, zwiększa, czy zmniejsza jego szanse przeżycia. Czy żołnierze na wzgórzach strzelają do ludzi, którzy ich bawią, czy raczej ich oszczędzają? Czy przetrwałby wojnę, gdyby codziennie przebierał się za pingwina?

Dociera do drzwi i robi tam postój na odpoczynek. Udało mu się bez szwanku przejść przez ulicę, ale nigdy się nie dowie, czy to dlatego, że nikt go nie widział, czy może ktoś go widział, lecz postanowił nie strzelać. Ta niewiedza nie daje mu spokoju, a po chwili uświadamia sobie z niesmakiem, że gdy przechodził przez ulicę, gdy jego życie wisiało na włosku, żartował sobie o pingwinach. Wykluczone, by jego przyjaciel Ismet, siedząc w kryjówece na linii frontu, miewał równie durne i bezsensowne myśli. To właśnie takie rzeczy czynią Kenana tchórzem, który nie potrafi udzielić pomocy rannym w wybuchu ani nawet człowiekowi szukającemu psa. Nie pomógł mu go szukać, nie rozejrzał się sam, nawet o tym nie pomyślał. Pamięta tego psa, brązowego teriera, rozpoznałby go. Może wciąż tam jest. Powinien się po niego wrócić. Może schował się gdzieś w drzwiach albo za kupą gruzu i czeka, aż

ktoś go znajdzie.

Kenan jednak nie odstawia butli z wodą, nie wraca, by rozejrzeć się za psem. Jest przekonany, że pies zginął, wiedział o tym od początku, a nawet gdyby było inaczej, i tak by nie wrócił. Strach paraliżuje go równie skutecznie jak kula trafiająca w kręgosłup. Po prostu nie ma w sobie dość odwagi, by zawrócić. Przenika go wstyd. Chciałby czym prędzej znaleźć się w domu i zagrzebać w łóżku.

Wychodzi z kryjówki i rusza w dalszą drogę na zachód. Po lewej stronie mija opuszczone koszary, doszczętnie zniszczone przez ludzi, którzy jeszcze niedawno w nich mieszkali. Po prawej widać At-Mejdan, gdzie niegdyś handlowano niewolnikami, dokonywano egzekucji, a później urządzano wyścigi konne. Teraz jest tam park, o ile w oblężonym Sarajewie może w ogóle być mowa o czymś takim jak park. Przed wojną Kenan bywał tu z rodziną na koncertach plenerowych, a czasem, zwłaszcza w ciepłe jesienne dni, zdarzało mu się przyjść samemu, usiąść na ławce i wypić kawę. Idzie najszybciej, jak się da, co pewien czas przystając, by złapać oddech – ale tylko na chwilę, tylko kiedy musi. Stara się o niczym nie myśleć, dawać odpór wszelkim myślom, które mogłyby spowolnić jego ruchy.

Ulica skręca łukiem na północ, ukazując w oddali zbiorowisko jaskrawych, zielonych i żółtych budynków mieszkalnych, przez niektórych sarajewian nazywanych złośliwie „papugami”. Kenan nigdy nie miał o nich wyrobionego zdania, choć na pewno nie chciałby tam mieszkać. Teraz ich widok go cieszy, bo stoją przy moście Ćumurija.

Na drugim brzegu widać człowieka, właśnie wszedł na most. Choć teoretycznie mogłyby przejść po nim dwie osoby naraz – pod warunkiem, że w połowie mostu jedna usunęłaby się na bok, przepuszczając drugą – Kenan ma wątpliwości, czy dałby sobie radę z butlami, a ponieważ nie wie, czy nieznajomy ustąpiłby mu pierwszeństwa, postanawia zaczekać. Nie przeniesie całej wody za jednym razem. Może byłoby to możliwe, gdyby butelki pani Ristovskiej miały uchwyty i dało się je przywiązać do pozostałych, lecz teraz jest to wykluczone. Dochodzi jednak do wniosku, że może się zabrać naraz ze wszystkimi własnymi pojemnikami. Ciężar jest duży, ale rozłoży się równomiernie, inaczej niż gdyby przenosił je na raty, po trzy. Zostawi butelki sąsiadki przy kamieniach i po nie wróci. Będzie mógł wtedy wziąć jedną pod pachę, drugą trzymać w dłoni, a wolną ręką trzymać się poręczy mostu.

Rozmyśla jeszcze nad swoim planem. Wydaje się dobry, martwi go tylko, że pod jego nieobecność ktoś może zabrać butelki pani Ristovskiej. Czeka, aż nieznajomy zejdzie z mostu, pozdrawia go skinieniem głowy, gdy się mijają, po czym przenosi butelki sąsiadki w niewidoczne miejsce, do wgłębienia w ziemi na styku mostu

i drogi. Zadowolony z tej kryjówki zarzuca na ramiona własne pojemniki z wodą i wchodzi na most.

Już po kilku metrach musi przystanąć i uspokoić rozhuśtane butle. Kołyszą się niczym wahadła, z każdym krokiem coraz silniej. Uspokaja je wolną ręką, czeka chwilę, aż zawisną nieruchomo, i dopiero wtedy rusza dalej. Powtarza tę czynność jeszcze dwa razy, zanim dochodzi do połowy mostu. Czeka, spogląda na wschód i za siebie, w stronę browaru. Patrzy, czy wszystko wygląda tak samo jak rano, nie licząc spalonej zastawy, z której wciąż unosi się dym. Nagle dociera do niego, że wszystko musi wyglądać tak samo, bo przecież nic się nie zmieniło. To, że tym razem, inaczej niż zwykle, znalazł się bliżej samego środka rzezi, wcale nie znaczy, że wydarzyło się coś o doniosłym znaczeniu dla całego miasta. Dzień jak co dzień.

Syreny ucichły. Możliwe, że już pewien czas temu, ale nie zwrócił na to uwagi. Gdzieś daleko na zachodzie, obok lotniska, wybucha pocisk moździerzowy. Kenan robi kilka kroków, wyrównuje ciężar, rusza dalej. Potyka się lekko i pojemniki wychylają się do przodu, a wracając, uderzają go prosto w kolano. Traci równowagę, upada na bok i łąduje na barierce; impet tego uderzenia pozbawia go na chwilę oddechu. Stawia stopę z powrotem na stalowej belce, trzymając się oburącz barierki. Jest roztrzęsiony. Ogarnia go fala wściekłości, tak jak wtedy, kiedy uderza się niechcący głową o róg kuchennej szafki lub o jakiś inny nieoczekiwany przedmiot; jest to wściekłość zarazem skoncentrowana i rozproszona. Nie zatrzymując się więcej, działając pod wpływem adrenaliny, donosi wodę na drugi koniec mostu i tam upuszcza butle. Kładzie się na brzuchu, nie obchodzi go, że jest na widoku i stanowi łatwy cel. Krzyczy, lecz nie poznaje dźwięku, który się z niego wydobywa. To ryk dziecka, zwierzęcia, syreny przeciwlotniczej i człowieka przygniecioneego swoim brzemieniem. Kenan słyszy, jak ten krzyk cichnie i znika bez śladu; obraca się na plecy i spogląda w niebo.

Jest zmęczony. Chodzeniem po wodę, światem, w którym żyje, a którego nie pragnął, nie miał żadnego udziału w jego stworzeniu i nie chce, żeby taki świat istniał. Noszeniem wody w butelkach bez uchwytów dla kobiety, która nigdy nie powiedziała mu miłego słowa i zachowuje się, jakby to on powinien być jej wdzięczny. Skoro tak bardzo lubi te swoje butelki, niech sama je nosi do browaru i patrzy, jak ulice spływają krwią i obmywają się z niej, jak mężczyzna z urwaną smyczą szuka brązowego teriera, a ludzie ładują zmarłych do furgonetki.

Kenan podnosi się z ziemi. Spogląda za most, ku miejscu, gdzie ukrył wodę dla sąsiadki. Odwraca się, podnosi sznur, którym związane są jego butle. Zarzuca sobie to jarzmo na plecy. Woda odrywa się od ziemi. Kenan robi krok, a potem następny. Już

niedługo będzie w domu.

III

DRAGAN

Wokół Eminy zebrała się grupka ludzi. Zdjęli z niej płaszcz, by obejrzyć ramię. Ktoś podał ten płaszcz Draganowi, a on trzyma go i czuje się beзуżyteczny. Kula trafiła ją tuż nad łokciem, w dolną część bicepsa. Choć nie wygląda to na ranę zagrażającą życiu, ktoś zawiązał jej poniżej ramienia opaskę uciskową. Jakiś mężczyzna, który zdaje się wiedzieć, co mówi, stwierdza, że kula mogła uszkodzić ważną arterię. Draganowi nie chce się w to wierzyć, zaraz jednak przypomina sobie, że gdy lekarz mierzy pacjentowi ciśnienie, mniej więcej tam umieszcza nadmuchiwaną opaskę. Emina straciła mnóstwo krwi i mimo ich wysiłków nie przestaje krwawić. Młody mężczyzna, który ją uratował, gdzieś zniknął. Dragan nie zauważył, w którą stronę poszedł.

Wokół Grbavicy rozlega się gwałtowna kanonada; możliwe, że to odpowiedź obrońców na poczynania snajpera. Jeżeli wiedzą, skąd strzelał, mają szanse go trafić. W przeciwnym razie to prawdopodobnie bluff, próba napędzenia mu strachu. Może pomyśli, że odkryli jego stanowisko, i na jakiś czas zamilknie. A może tylko nabierze determinacji. Nie jest zresztą powiedziane, że ta seria wystrzałów ma cokolwiek wspólnego z nim lub z dowolnym innym snajperem. Może to jedynie oznaka, że żołnierze na wzgórzach znów próbują wbić klin w serce miasta. Dragan nie umie rozszyfrować tych dźwięków.

Ktoś pobiegł zatrzymać jakiś samochód albo wezwać pogotowie – Dragan nie pamięta dokładnie. Wątpliwe, by telefony działały. Samochody na ogół poruszają się tak prędko, że nie sposób ich zatrzymać. Emina wciąż jest przytomna i chyba nie cierpi tak bardzo, jak się obawiał. Twarz jej pobladła.

Dragan klęka przy niej. Uśmiecha się na jego widok.

– Ciągłe tu jesteś – mówi.

– Tak.

Wstyd mu i chciałby jej to powiedzieć, ale nie ma prawa jej teraz przepraszać. Nie zasłużył na to.

– To lepszy snajper, niż nam się wydawało.

Dragan kiwa głową.

– Dobrze, że nie jeszcze lepszy. Miałaś szczęście.

– Chciałam dzisiaj posłuchać wiolonczelisty. To będzie już ostatni raz. Jovan mówił, że już więcej nie zagra.

Ulicą pędzi samochód, kilka osób wybiega ku niemu, wymachując rękami.

Emina mówi sennym głosem, prawie mamrocze.

– Jovan będzie zły. Nie podoba mu się, że wychodzę z domu. Ale ja nie mogłam żyć jak więzień. Musiałam wyjść na zewnątrz.

– Nie martw się tym – uspokaja ją Dragan. – Wszystko będzie dobrze.

Patrzy w stronę nadjeżdżającego auta. Kiedy znów spogląda na Eminę, jej oczy są zamknięte, ale wciąż oddycha.

Ciemnoczerwony czterodrzwiowy samochód zatrzymuje się. Ma pękniętą przednią szybę i dziury po kulach z boku karoserii. Wsiadają z niego w pośpiechu dwaj mężczyźni, zostawiając otwarte drzwi i włączony silnik. Rzucają okiem na leżącego na ulicy mężczyznę bez czapki i uznawszy, że jemu nie można już pomóc, koncentrują się na Eminie. Po pobieżnych oględzinach podnoszą ją i kładą na tylnym siedzeniu. Wsiadają i ruszają gwałtownie, jeszcze zanim zamknęły się drzwi.

– Czekaście! – woła Dragan.

Chce jechać z nimi, lecz są już daleko. Tak czy inaczej, pewnie by mu nie pozwolili, a zresztą jaki byłby z niego pożytek w szpitalu?

Mężczyzna, który zdaje się trochę znać na medycynie, stoi obok niego.

– Przeżyje – stwierdza. – Byle dojechała do szpitala, tam się nią zaopiekują.

– Czyli to nic poważnego? – Dragan nie jest pewien, czy tamten mówi prawdę, czy tylko stara się go pocieszyć.

Mężczyzna wzrusza ramionami.

– Może mówić o dużym szczęściu. Kula nie uszkodziła niczego ważnego.

Dragan spogląda mu w oczy. Wierzy w jego szczerłość.

– Widziałeś, jak to się stało?

– Tak, byłem parę kroków za tobą.

Dragan kiwa głową. Po długiej, niezręcznej ciszy mężczyzna odchodzi na wschód.

Dragan siada na chłodnym betonie, opierając się plecami o wagon. Wciąż trzyma w rękach płaszcz Eminy. W kieszeni coś grzechocze. Sięga do środka i wyciąga słoiczek z tabletkami oraz czyjś adres. To właśnie te tabletki, lekarstwa przeciwzkrzepowe jej zmarłej matki, przywiodły ją dzisiaj w to miejsce. Chowa je do własnej kieszeni, a płaszcz odkłada na ziemię. Nie będzie go już chciała. Nikt nie chce chodzić w płaszczu, w którym go postrzelono, nawet gdyby można było sprać krew i zacerować dziurę. Kiedy miała go na sobie, był ładny. Teraz wydaje się Draganowi bezwartościowy. Jeszcze jeden stary gałgan.

Jego spojrzenie wędruje ku leżącemu na ulicy ciału i z powrotem w stronę płaszcza. Czy rzeczywiście lepiej zginąć, niż zostać rannym? Teraz już nie jest taki pewien. Świadomość nadchodzącej śmierci wcale nie wydaje mu się taka straszna

w porównaniu do gwałtownego zakończenia. Emina przeżyje, wierzy w to niezbitcie, ale gdyby miała umrzeć, gdyby jej rana była poważniejsza, czy nie lepiej po raz ostatni spojrzeć na świat, choćby szary i smutny, niż nagle runąć w ciemność?

Wszystko zależy od tego, czy chce się pozostać na tym świecie. On zawsze będzie się bał śmierci i nic tego nie zmieni, lecz pytanie brzmi, czy życie jest warte tego strachu. Czy warto stawić czoło grozie owej chwili poprzedzającej śmierć, po to by spojrzeć na świat ten jeden ostatni raz? Ku swojemu zdziwieniu Dragan twierdząco odpowiada na to pytanie.

Miesiąc temu wracał do domu po skończonej zmianie w piekarni, gdy otoczyła go gromada częściowo umundurowanych mężczyzn. Obejrzeni jego papiery i kazali mu wsiąść na tył ciężarówki. Nie chcieli słyszeć o tym, że władze uznały jego pracę w piekarni za istotną dla wysiłku wojennego. Nie obchodziło ich, że ma sześćdziesiąt cztery lata. Później się dowiedział, że byli to ludzie jednego z mafijnych bossów, od niedawna dowódcy wojskowego, i że płacono im od liczby zwerbowanych.

Z tyłu ciężarówki siedziało siedmiu innych mężczyzn. Wysadzono ich na froncie i przez trzy następne dni kopali okopy. Nie dostali broni, a żołnierze za ich plecami mieli rozkaz strzelać do każdego, kto porzuci stanowisko pracy. Nie wiedzieli, jaka odległość dzieli ich od wroga, kiedy mogą zginąć, skąd nadejdzie śmierć. Trudno było zgadnąć, ile upłynęło czasu, poza tym nie dostawali nic do jedzenia. Jedyne światło zawdzięczali pociskom smugowym rozjaśniającym niebo, jedynymi dźwiękami były zgrzyt łopat i wybuchy granatów. Jego sąsiad był tak wystraszony, że się rozplakał, Dragan musiał go chwycić za ramiona i potrząsnąć nim, żeby przestał szlochać lub przynajmniej robił to cicho. To właśnie wtedy doszedł do wniosku, że lepiej zginąć od razu, niż być rannym. Perspektywa spędzenia ostatnich kilku godzin życia we własnoręcznie wykopanym dole nie była czymś, co pomogłoby mu przezwyciężyć strach przed śmiercią.

Później, gdy przełożony z piekarni ustalił miejsce pobytu Dragana i wystarał się o jego uwolnienie, Dragan nie widział już większej różnicy między ulicami miasta i tamtymi okopami, nie obchodziło go, czy to strzelają żołnierze na wzgórzach, czy obrońcy Sarajewa.

Zastanawia się teraz, czy to był błąd. Różnica między tą ulicą a okopami jest przecież wyraźna. Okop służy wojnie i tylko wojnie. A po ulicach tego miasta chodził za rękę z Raza, śmiał się z Davorem. Dziś na jednej z tych ulic rozmawiał ze starą znajomą. Teraz toczy się na nich wojna, lecz dawniej oferowały ludziom znacznie więcej. Dla niego to się wciąż liczy, choć trudno mu to wyrazić słowami.

Wie, że powinien choć spróbować pomóc Eminie. Wybiec na ulicę za tamtym

młodym człowiekiem i pomóc mu ją przenieść. We dwóch pewnie zrobiliby to szybciej. Niewykluczone jednak, że wówczas snajper strzeliłby do nich, a nie do mężczyzny w czapce. Stało się to, co się stało, koniec kropka. Co nie zmienia faktu, że kiedy padły strzały, nawet nie drgnął. Nie dlatego, że dobrze wszystko przemyślał, ale ze strachu. Jeżeli to czyni z niego tchórza, zgoda, nie będzie z tym dyskutował. Nie został stworzony do wojny. I całe szczęście.

Spogląda na wschód, w stronę mieszkania siostry. Zastanawia się, czy nie zrezygnować z wyprawy do piekarni. Jego szwagier nie jest znowu taki zły. Może znajdą jakiś wspólny temat, który pozwoliłby im zmniejszyć wzajemny dystans. Napiją się razem kawy, o ile coś zostało i jeśli wystarczy wody oraz drewna do jej podgrzania. Do piekarni i tak wybiera się jutro, bo ma wtedy zmianę.

Ale Dragan nie chce iść do domu. Kieruje wzrok na południowy zachód – gdzieś tam, za piekarnią i Mojmilem, w Dobrinji, znajduje się – wiedzą o tym niemal wszyscy – tunel biegnący pod lotniskiem i łączący miasto z terenami nieokupowanymi.

Wyobraża sobie, jak przed tunelem wręcza przepustkę uzbrojonemu strażnikowi. Nie wie, skąd mógłby ją zdobyć, ale bez przepustki nie wpuszczają nikogo. Wchodzi do tunelu nisko schylony. W środku jest ciemno i czuć stęchlizną. Przebycie siedmiuset sześćdziesięciu metrów zajmuje mu trzy kwadransy. Gdzieś zalegają kałuże wody i trzeba uważać, by nie potknąć się o szyny dla wózków. Podobno politycy i inni ważni ludzie czasem nimi jeżdżą, pchani przez żołnierzy, ale jego nie ma kto pchać. Nie żeby mu to przeszkadzało; i tak by nie skorzystał. Tunel przechodzi pod lotniskiem; wiele osób zginęło, próbując przez nie przebiec. Byli to ludzie, którym nie udało się zdobyć przepustki do tunelu. Żołnierze ze wzgórz strzelali do nich jak do kaczek.

Przy końcu tunel się rozszerza i podwyższa. Dragan może teraz wyprostować plecy, a powietrze jest nieco świeższe. Wychodzi w Butmirze, na wolnej ziemi, oddalonej od domu jego siostry o zaledwie osiem kilometrów. Piętnaście minut jazdy samochodem. Teraz jeszcze dwie godziny w autobusie i dotrze na wybrzeże, a stamtąd odpłynie promem do Włoch.

Cała podróż potrwa mniej niż jeden dzień. Sarajewo od Rzymu w linii prostej dzieli niespełna pięćset kilometrów. Lot nie zajmuje nawet godziny. W półtorej można dolecieć do Paryża. W dwie – do Londynu. Ale Dragan uda się do Włoch, bo tam są jego żona i syn.

W pierwszej sekundzie nie uwierzą własnym oczom. Popatrzą na niego z rozdziawionymi ustami jak na ducha. Zapewni ich, że wcale nie jest duchem, a oni

nie będą się posiadać ze szczęścia. Davor go uściska, mocno oplecie ramionami jego plecy, tak jak to robił, kiedy był mały. Raza go pocałuje i zanurzy dłonie w jego włosach. On weźmie prysznic w gorącej, parującej wodzie i wytrze się miękkim, czystym ręcznikiem. Pójdą do restauracji, zamówi sobie wszystko, na co tylko będzie miał ochotę, z miłą świadomością, że jutro może zrobić to samo. Będą spacerować ulicami, oglądać witryny sklepowe, otoczeni zielenią i jasnymi budynkami bez najmniejszej skazy. Nikt nie będzie do nich celował ze wzgórz. Po jakimś czasie Dragan w ogóle przestanie sobie to uświadamiać, stanie się to oczywiste, ponieważ tak powinno wyglądać życie. Będą szczęśliwi. Nie będą nikogo nienawidzić i nikt nie będzie nienawidził ich.

Na wzgórzach za jego plecami spada granat. Słychać grzechot broni automatycznej, potem kolejny wybuch. To swoisty język, rozmowa pełna przemocy. Wrócił do Sarajewa. Nie ma i nigdy nie będzie miał w kieszeni przepustki do tunelu. Z tego miasta nie ma ucieczki. Na pewno nie dla niego.

Siada i słucha, jak żołnierze na wzgórzach i obrońcy Sarajewa toczą spór za pomocą pocisków. Nikt nie przechodzi przez ulicę. Czekających jest garstka, większość ludzi postanowiła szukać innej trasy, pewnie przez tory kolejowe na północy i wzdłuż jeszcze jednej barykady z wagonów i betonu. Może bezpieczniejszej, a może nie. Na wzgórzach jest więcej niż jeden snajper. Jeśli zechcą, obstawią każde skrzyżowanie.

Ciekawi go, o czym oni myślą w swoich bezpiecznych bazach na górze. Czy chcą, żeby wojna się skończyła? Cieszą się dopiero, gdy trafią w cel, czy wystarcza im sianie grozy, patrzenie, jak ludzie ratują się ucieczką? Miewają wyrzuty sumienia, gdy wracają do domu i patrzą na swoje dzieci, czy może są z siebie zadowoleni, bo przysłużyli się przyszłym pokoleniom? Dragan nigdy, nawet przed wybuchem wojny, nie rozumiał, dlaczego uważają za groźnych ludzi takich jak on. Wciąż nie rozumie, co by osiągnęli, pozbawiając go życia, ani jakie to by miało znaczenie dla kogokolwiek poza nim samym.

Nie chce uciec do Włoch. Tęskni za żoną i synem, ale nie jest i nigdy nie będzie Włochem. Dokądkolwiek się uda, zawsze będzie sarajewianinem. Tu jest jego dom, tu jest miasto, w którym pragnie mieszkać. Nie chce do końca swoich dni żyć w oblężeniu, ale gdyby porzucił Sarajewo, przez resztę życia byłby bezdomny. Dopóki tu jest, dopóki strach przed śmiercią nie przesłania mu całkiem świata, który kochał i mógłby pokochać znowu, dopóty istnieje nadzieja, że kiedyś będzie mu dane spacerować bez obaw ulicami tego miasta w towarzystwie żony i syna, jadać w restauracjach, oglądać wystawy sklepów.

Wie, że nigdy nie zdoła zapomnieć tego, co się tutaj stało. Jeśli wojna się zakończy, a życie zacznie choć trochę przypominać dawne czasy, nie będzie potrafił wyjaśnić, jak to wszystko było możliwe. Wyjaśnienie zakłada logikę, a dzisiejsze Sarajewo jest miastem pozbawionym logiki. Wciąż nie może uwierzyć, że do tego doszło. Ma nadzieję, że nigdy do końca w to nie uwierzy.

STRZAŁA

Żarówka w biurze Nermina Filipowicia wygląda jeszcze bardziej ponuro niż ostatnim razem. Strzała najchętniej chwyciłaby ją i rozbiła o sufit. Powstrzymuje się, bo wie, że dźwięk pękającego szkła zaalarmowałby kogoś ze sztabowców. Żarówka zostałaby prędko wymieniona, więc nic by to nie dało. Pewnie nawet nie poczułaby się lepiej.

Siedzi sama od blisko pół godziny, kiedy wreszcie zjawia się Nermin. Wygląda, jakby nie spał od kilku dni. Ledwie ją zauważa.

– Koniec – oznajmia Strzała, gdy Nermin opada na krzesło.

– Zabity? – pyta i po raz pierwszy spogląda jej w oczy.

Strzała kiwa głową. Nigdy przedtem nie widziała go w takim stanie i nie jest pewna, jak odczytywać jego reakcje.

– Kto?

Jej twarz zastyga w bezruchu. Nie rozumie pytania.

– Wiolonczelista czy snajper? – dopowiada Nermin, pochylając się nad biurkiem.

– Snajper – wyjaśnia beznamiętnym tonem.

Siedzi nieruchomo, by nie zdradzić swoich uczuć mową ciała.

– Dobrze.

Wchodzi sztabowiec, nastoletni gołowąs, z kawą na tacy. Nermin bierze jedną filiżankę, drugą podaje Strzale. Waha się, ale nie odmawia. Nermin zerka na nią zdziwiony. Chłopak zabiera tacę i wychodzi, zamykając za sobą drzwi.

Nermin upija łyczek.

– Wyglądasz na nieszczęśliwą.

Strzała nic nie odpowiada. Pije kawę ze wzrokiem wbitym w podłogę.

Przez chwilę oboje milczą. Potem Nermin odzywa się cicho, tonem, jakiego jeszcze nie słyszała z jego ust:

– Może dość już dla nas zrobiłaś. Może powinnaś przestać.

Strzała nie podnosi wzroku.

– Snajper mógł go zastrzelić. Miał go jak na dłoni. Ale nie strzelił. Słuchał, jak gra.

Nermin kręci głową.

– Nie zrozumiałaś mnie.

– Zabiłam go, bo próbował mnie zabić i nie byłam pewna, czy w końcu nie strzeli.

Nie miałam wyboru.

– Owszem, nie miałaś. Ale to nie ma żadnego związku z wiolonczelistą. Nadszedł

czas, żebyś zniknęła.

Strzała podnosi wzrok. Nermin wpatruje się w nią przekrwionymi oczami.

– Zniknęła?

Nermin zwilża wargi i odwraca spojrzenie.

– Nie mogę cię dłużej chronić. Warunki naszej umowy przestają obowiązywać.

– Nie rozumiem.

Niby jak – myśli w duchu – miałabym zniknąć? Miasto jest okrążone. Nie można stąd zniknąć, nawet gdyby się chciało.

– Tamci stworzyli wiele potworów – nie tylko na wzgórzach. Są tacy, którym się zdaje, że skoro walczą ze złem, słuszność jest zawsze po ich stronie. Używają wojny i miasta do własnych celów, a ja nie chcę w tym uczestniczyć. Jeżeli tak ma wyglądać Sarajevo po zakończeniu wojny, to nie warto go ratować.

– Ale co oni robią? – pyta Strzała.

Ostatnio krąży tyle plotek, że nie wiadomo, co jest prawdą. Większość to ewidentna propaganda, lecz niektóre dają jej do myślenia.

Nermin dopija kawę i odstawia pustą filiżankę.

– Powinnaś zniknąć, żeby nie musieć się o tym przekonywać.

Wstaje, co dotychczas zawsze było dla niej sygnałem do odejścia, lecz Strzała nie rusza się z miejsca.

– Co będzie z tobą?

Obchodzi biurko i staje przy niej.

– Spodziewam się, że lada chwila zostaną odwołany ze stanowiska.

Strzała wstaje, a kiedy on pochyla się, by pocałować ją w oba policzki, obejmuje go na pożegnanie. Choć zawsze zachowywał wobec niej dystans, myślała o nim prawie jak o jedynym przyjacielu.

Odwraca się, by odejść, lecz Nermin chwyta ją za ramię i zza jej pleców mówi:

– Twój ojciec nigdy by mi nie wybaczył, że zrobiłem z ciebie żołnierza.

Ona, stojąc tak, jak stała, kładzie dłoń na jego dłoni.

– Mój ojciec nie żyje. A ja ci wybaczam.

Wychodząc na jasną ulicę, ma wrażenie, że karabin ciąży jej na ramieniu bardziej niż kiedykolwiek. Przypomina sobie jego słowa o walce ze złem i zastanawia się, czy aby sama w to nie uwierzyła. Czy uważa się za lepszą, bo zabija złych ludzi? Czy jest lepsza? Czy to ważne, dlaczego ich zabija? Wie, że minął już czas, kiedy robiła to dlatego, że oni zabijali mieszkańców jej miasta. To nie wszystko. Zabija ich, bo ich nienawidzi. Czy to, że ma ku temu dobry powód, ją usprawiedliwia? Miesiąc temu odparłaby, że tak. Dziś zastanawia się, kto rozstrzyga, jakie powody są dobre, a jakie

nie są.

Nie wie, jaki los czeka Nermina. Jeżeli ma rację, jeżeli odwołają go ze stanowiska, będzie mu trudno znaleźć dla siebie miejsce. Żołnierze na wzgórzach nie okażą mu żadnej litości. Może ma wystarczające koneksje, aby wydostać się z Sarajewa. Nawet wtedy jednak nie będzie miał lekko. Większość krajów nie przyjmuje uczestników konfliktu, a Nermin to nie byle kto i trudno mu będzie wyjechać niepostrzeżenie. Najlepiej zrobi, jeśli do czasu zakończenia wojny zniknie wszystkim z oczu. Jeżeli wojsko na wzgórzach nie zwycięży, to może sytuacja się zmieni. Wtedy Nermin w czasach pokoju zdoła odbudować swoje życie. Trudno jej to sobie wyobrazić, w końcu mowa o zawodowym żołnierzu, ale przecież nie tacy ludzie dokonywali większych rzeczy. Może kiedyś zdoła mu jakoś pomóc.

Gdy przeszła trzy przecznice, zaczyna się ostrzał. Dzień był dość spokojny, teraz jednak niebo ciemnieje, a żołnierze na wzgórzach lubią witać wieczór salwami z moździerzy. Nieraz się zastanawiała, czy te pociski przypominają im fajerwerki.

Najpierw spadają na zachodzie, w Mojmile i Dobrinji. Kilka kolejnych ląduje bliżej, po drugiej stronie rzeki naprzeciw Grbavicy, jakby w okolicach Bašćaršiji. Wszyscy ludzie dookoła przyspieszają kroku, wracają do domów, chowają się w piwnicach, gdzie prawdopodobnie spędzą noc. Strzała w przeciwieństwie do swoich sąsiadów podczas ostrzeliwania nie schodzi już do piwnicy. Uznała, że to nie ma sensu. Za dnia zazwyczaj grozi jej większe niebezpieczeństwo. Jeżeli ma zginąć, woli zginąć w łóżku. Przynajmniej tyle zależy od niej.

Zamierza skrócić za róg i ruszyć na północ, gdy nagle przebiegający chłopak trąca ją ramieniem, omal jej nie przewracając. Nie zatrzymuje się, ale ogląda się za nią. Strzała rozpoznaje w nim sztabowca z kwatery Nermina – tego, który przyniósł im kawę. Wygląda teraz młodziej. Twarz ma wystraszoną, prawie białą, spieszy mu się jeszcze bardziej niż pozostałym przechodniom. Strzała na moment odwraca wzrok, rozkojarzona przez serię eksplozji na wzgórzach, i chłopak znika jej z oczu. Kręci głową. Czy Nermin mógłby przyjąć do swojego sztabu człowieka, którego tak łatwo wystraszyć? Zatrzymuje się w pół kroku. Nie mógłby.

Nie, ten chłopak nie boi się ostrzału. Stało się coś złego. Strzała zawraca do kwatery. Szumi jej w głowie, jej mózg działa jak rozstrojone radio; ani się spostrzegła, kiedy zaczęła biec. Karabin tłucze się o żebra, buty wydają się ciężkie, jakby były pełne wody. Choć przebiegnięcie kilku przecznic zajmuje jej niecałą minutę, ma wrażenie, jakby trwało to wiele dni.

Zwinnym, gładkim ruchem zsuwa karabin z ramienia wprost do rąk. Dopiero po sekundzie dociera do niej, że zrobiła to odruchowo. Cokolwiek się stało, wątpliwe, by

karabin rozwiązał problem.

Nie ma jednak czasu się nad tym zastanawiać. Chwilę po tym, gdy ukazuje się jej kwatery Nermina, eksplozja wyrzuca na zewnątrz drzwi wejściowe i sklejkę zakrywającą okna. Wielka kula ognia rozrasta się gwałtownie i równie szybko sama się pożera. Na ulicę spada deszcz kurzu i odłamków.

Strzała nie wie, czy przewrócił ją wybuch, czy sama padła na ziemię. W pierwszej chwili nie zdaje sobie nawet sprawy z tego, że leży na brzuchu i obserwuje płonący budynek przez celownik karabinu.

Gabinet Nermina znajduje się na parterze dwupiętrowego domu. Resztę budynku także zajmuje wojsko. Strzała nie wie, co się mieści w pozostałych pomieszczeniach, lecz domyśla się od razu, że w chwili eksplozji nie było w nich nikogo. Wszystkie pokoje były puste – wszystkie poza jednym.

Przyjeżdża straż i gasi pożar. Mundurowi odgradzają budynek i przeszukują wnętrze. Nie znajdują żadnych ocalałych. Mówią, że to szczęście, że pocisk spadł po godzinach pracy. Mały cud.

Strzała słyszy, jak rozmawiają ze sobą, i wyczuwa, że wiedzą, że to wcale nie był pocisk. Boją się powiedzieć o tym głośno, a może są w zмовie. Tak czy inaczej, w środku coś wybuchło i nie był to granat z moździerza na wzgórzach. Ale nikt nic nie mówi. W końcu ludzie giną codziennie. Śmierć stała się czymś banalnym. Dlaczego właśnie ta miałaby być inna niż pozostałe?

Strzała przez kilka godzin kręci się w pobliżu, łudząc się, że Nermin zdołał jakoś uciec, że miał w rękawie asa, o którym nikt nie wiedział. Wreszcie, kiedy już prawie wszyscy sobie poszli, dwóch żołnierzy opuszcza budynek, niosąc ciało zawinięte w koc. Wkładają je do ciężarówki i odjeżdżają. Strzała zarzuca karabin na ramię, odwraca się i rusza w długą drogę do domu.

Ostrzał trwa w najlepsze. Żołnierze na wzgórzach mają pracowitą noc. Strzała leży w łóżku, wsłuchuje się w odgłosy spadających pocisków, ognia z broni automatycznej, wyjących syren. Zastanawia się, czy rano cokolwiek będzie jeszcze stało i czy zmieni się wygląd miasta. Na pewno przychodzi taki moment, kiedy zburzono tak wiele, że kilka nowych ruin przestaje cokolwiek zmieniać. Niewykluczone, że ten moment już nastąpił.

Czy podobnie jest z człowiekiem? Trudno jej odpowiedzieć na to pytanie. W zasadzie powinna czuć większy smutek z powodu śmierci Nermina – większą złość, cokolwiek. Chciałaby, ale nie potrafi. Tak naprawdę nie jest nawet zaskoczona.

Wieczór jest zimny, a wciąż nie ma prądu. Skończyło jej się drewno do palenia w prowizorycznym piecu, lecz nie miała ochoty o nie zebrać u sąsiadów. Drzy pod kocami, wreszcie wstaje, wyjmując ich jeszcze więcej z szafy w przedpokoju, wraca do łóżka i dalej się trzęsie. Burczy jej w brzuchu, żołądek domaga się czegoś więcej niż cienkiej herbaty i ryżu, który zjadła na kolację. Nie cierpi ryżu. Nie przypomina sobie, żeby go nie lubiła przed wojną, a teraz robi się jej niedobrze na samą myśl. Ryż to jednak wszystko, co jej zostało z ostatniej porcji pomocy humanitarnej. Wojsko płaci jej w papierosach, które ona przehandluje na drobiazgi w rodzaju tabliczki czekolady albo kostki mydła. Kilka tygodni temu udało się jej zdobyć torbę jabłek, co prawda miękkich i mączystych, ale i tak były warte niebotycznej ceny, jaką zapłaciła za nie w chwili słabości. Wciąż ma papierosy do sprzedania, całą szufladę, ale nie potrafi się do tego zmusić. Z jakiegoś powodu wydaje się to marnotrawstwem – ma nieodparte przeczucie, że jeszcze się jej przydadzą. Dlatego je ryż, męczy dziesięciokilogramowy worek stojący w kącie w kuchni. Do tego chleb i cienka herbata.

„Zniknij”, powiedział jej Nermin. Tak, miał rację, powinna zniknąć. Może ukryty zapas papierosów wystarczy, by wpuszczono ją do tunelu? Nie ma pojęcia, ile to kosztuje. Nie może jednak przestać myśleć o pogrzebie Slavka, o grubym człowieku, o tamtym grobie. Czy to ważne, przed czyją wolą się ugnie – wojska na wzgórzach czy wojska w mieście?

Pozostaje oczywiście kwestia przetrwania. Strzała nie chce umrzeć. Nie chce zginąć od niczyjej kuli, nieważne, z której strony nadleci. Ale tamta młoda dziewczyna, tak wzruszona samym faktem swojego istnienia, dziewczyna, która poczuła taką radość, zachwyt i trwogę, że musiała zatrzymać samochód – ona też nie chce umierać. Może chwilowo zniknęła, może nie ma dziś dla niej miejsca w tym mieście, lecz Strzała wierzy, że ona kiedyś wróci. Zniknięcie Strzały zabiłoby tamtą dziewczynę. Na zawsze.

I wreszcie – wiolonczelista. Częściowo wywiązała się ze swojego zadania. Zabiła snajpera przysłanego przez wroga. Ale jeśli wiolonczelista dotrzyma obietnicy – a Strzała przypuszcza, że tak się stanie – wówczas jej misja nie jest skończona. Wróg może przysłać kolejnego snajpera. Po tym, co się stało z pierwszym, znalezienie chętnego nie przyjdzie im łatwo, ale niewykluczone, że podejmą jeszcze jedną próbę. Gdzie ona wtedy będzie? Czy będzie chronić wiolonczelistę? Chce go chronić. Zrobi, co tylko w jej mocy.

Budzą ją ciężkie kroki na schodach. Nie pamięta momentu zaśnięcia. Czuje się tak, jakby w ogóle nie spała. Otwiera oczy – wie, że te buty nie należą do żadnego

z jej sąsiadów. Rozlega się walenie w drzwi. Wyskakuje z łóżka, wciąga na siebie ubranie, otwiera szufladę stolika przy łóżku. Sięga po rewolwer ojca, broń, której używał, gdy był policjantem, i chowa go do kieszeni. Karabin leży na stole w kuchni, czysty i gotowy do użycia, lecz nie zabiera go stamtąd.

Walenie w drzwi nie ustaje, po chwili słychać, jak otwierają się drzwi sąsiada. Chwila ciszy, a potem drzwi z powrotem się zamykają. Strzała sprawdza, czy broń jest naładowana, i otwiera.

Za progiem stoi trzech mężczyzn. Jeden z uniesioną pięścią, którą zamierzał ponownie uderzyć w drzwi, dwaj nieco z tyłu. Są uzbrojeni, stoją w niedbałych pozach. Strzała wie, że to pozory. Wszyscy trzej mają na nogach skórzane buty nad kostkę. Ten, który pukał, nosi zielony mundur i wojskową kurtkę z godłem państwowym. Pozostali dwaj nie różnią się ubiorem od zwykłych przechodniów.

Człowiek w mundurze patrzy na nią wzrokiem, jakim przyglądali jej się mężczyźni w nocnych klubach. Milczy przez chwilę, zerkając na towarzyszy.

– To ty jesteś Strzała? – Sili się na groźny ton, lecz efekt jest niemal komiczny.

– Być może. O co chodzi?

Strzała trzyma rękę w kieszeni, ale na razie nie podjęła decyzji, co dalej. Mogłaby ich zabić, nie zdążyliby nawet unieść broni, ale nie wydaje się to najlepszym rozwiązaniem. Nie czuje się zagrożona. Prawdopodobnie to tylko posłańcy. Nie zabija się posłańców – mówi przysłowie, choć Strzała nie potrafi sobie przypomnieć dlaczego. Na razie postanawia zachować spokój.

– Pójdiesz z nami.

Strzała w milczeniu zastanawia się, co zrobić. Czy jeśli odmówi, będzie musiała ich zabić?

– Nie wydaje mi się.

Dwaj z tyłu układają dłonie na pistoletach nieco mniej nonszalancko i lekko unoszą lufy. Strzała dostała odpowiedź na swoje pytanie.

– To nie jest prośba – informuje ją ten z przodu, choć jego twarz mówi co innego.

Jest wyraźnie zdenerwowany. Ci ludzie musieli o niej słyszeć. Może nie są pewni, czy historie, które im opowiadano, są prawdziwe, ale słyszeli wystarczająco dużo, by się jej bać. Strzała przez moment czuje się miło polechtana, lecz natychmiast gani się w myślach za czerpanie przyjemności z cudzego strachu. Nigdy nie chciała, żeby się jej bano.

– Dokąd? – pyta cicho i spokojnie.

Chce im pokazać, że nie da się zastraszyć.

– Do pułkownika Karamana. Weź karabin.

Strzała jeszcze przez chwilę trzyma ich w niepewności, zastanawiając się, jak postąpić. Może odmówić, ale wtedy będzie musiała ich zabić i zacząć się ukrywać. Łatwiej i mądrzej będzie pójść z nimi. Nigdy nie słyszała o żadnym pułkowniku Karamanie, i to ją niepokoi. Kiwa głową i przechodzi do kuchni. Zabiera karabin i wraca do drzwi. Zamyka je za sobą, tamci ją eskortują, jeden w dzinsach idzie obok niej, pozostali dwaj z tyłu. Nie opuszcza jej wrażenie, że jest traktowana jak więzień.

Strzała wysiada z niebieskiego bmw i słyszy, że ma czekać. Jeden z mężczyzn znika w niewielkiej restauracji przy wąskiej ulicy na północ od biblioteki. Jego dwaj towarzysze zostają, palą papierosy, ale nie zagadują do niej. Po paru minutach tamten wraca i pokazuje gestem, żeby poszła za nim.

Wnętrze restauracji jest ciemne i duszne. Okna zabarykadowano workami z piaskiem, z mebli nie zostało prawie nic. W głębi, przy stole w narożniku, siedzi umundurowany mężczyzna pod pięćdziesiątkę. Ma siwiejące włosy i brodę, opaloną twarz, oczy w nieokreślonym odcieniu brązu. Wygląda na człowieka zaprawionego w boju. Strzała nie ma wątpliwości, że byłby groźnym wrogiem.

– Siadaj – odzywa się i podsuwa jej krzesło nogą. – Karabin zostaw przy drzwiach.

Strzała delikatnie odstawia karabin i siada. Jest podenerwowana; sytuacja wymyka jej się z rąk. Czeką, aż nieznajomy przemówi, chciałaby czym prędzej odzyskać kontrolę nad biegiem wydarzeń.

– Jestem pułkownik Edin Karaman – oznajmia szorstko tamten. – Na ciebie mówią Strzała?

– Tak.

– A jak się nazywasz naprawdę?

Patrzy na nią w oczekiwaniu na odpowiedź. Strzała prostuje plecy i spogląda mu w oczy.

– To najprawdziwsze z moich imion – odpowiada.

– Mniejsza o to. Gdybym potrzebował znać twoje nazwisko, już dawno bym je znał. – Ze sterty papierów na biurku wyciąga teczkę, otwiera ją, zapala papierosa. – Twoja jednostka została rozwiązana. Od teraz podlegasz moim rozkazom.

Mówiąc to, nie patrzy na nią, lecz Strzała wie, że śledzi jej reakcję.

– A co z Nerminem Filipoviciem?

– Filipović nie żyje, o czym dobrze wiesz. – Podnosi wzrok. – Obserwuję cię od jakiegoś czasu. Twoje umiejętności są imponujące.

Strzała przygląda się jego dłoniom. Są gładkie, czyste, bez zgrubień. Nie pasują do całej reszty.

– Czego ode mnie chcecie?

– Chcę, żebyś dalej robiła to, co robisz – odpowiada, zamykając teczkę. – Tyle że pod moją komendą.

– Nie, to wbrew moim zasadom.

Karaman się uśmiecha.

– Nie zrozumiałaś mnie.

Strzała kręci głową.

– Na to wygląda.

– Tak, masz mylne wyobrażenia. Ja nie proszę. Ja rozkazuję. Toczy się wojna. Nie prosiłem o nią, ale tamci się uparli, a teraz muszą ponieść konsekwencje. Masz ważną rolę do odegrania i wywiążesz się z niej.

– Mam już jedno zadanie i muszę je dokończyć. – Strzała się poci, czuje kropelkę ściekającą po łydce.

– Wiolonczelistą się nie martw. Przydzieliliśmy mu kogoś innego. – Zaciąga się głęboko papierosem.

– Dlaczego?

– Bo ja tak mówię. Filipović nie wykorzystał w pełni twoich talentów, marnował je na zwykłych żołnierzy i trzeciorzędne sprawy. – Edin Karaman wstaje z krzesła. – Pójdiesz z moimi ludźmi. Zabiorą cię do obserwatora. Od niego dostaniesz szczegółowe instrukcje dotyczące twojego pierwszego zadania.

Strzała nie wstaje. Chowa dłonie pod stół i patrzy w oczy stojącemu pułkownikowi.

– Nie pracuję z obserwatorem. Sama wybieram cele.

– Już nie. Jeszcze raz przypominam, że nikt cię nie pyta o zdanie. Będziesz robić to, co uznam za niezbędne do obrony miasta. A teraz idź.

Strzała przez moment się waha. Postąpiła naiwnie, straciła kontrolę. Teraz nie ma wyboru.

Zbierając się do wyjścia, zastanawia się, co by jej powiedział ojciec, gdyby żył. Czy wiedział, że to się tak skończy? Czyżby nie doceniła przenikliwości, z jaką rozumiał logikę wojny i ludzi po obu stronach konfliktu? Chyba nie w tym rzecz. Był po prostu ojcem zatroskanym o swoją córkę. Nie mógł przewidzieć, że okaże się świetna w zabijaniu i że ten talent narazi ją na niebezpieczeństwo.

– Jeszcze jedno – woła za nią Karaman. Strzała się odwraca. Jego mina jest sroga, dłonie złożył przed sobą. – Niektórym w tym mieście się zdaje, że ta wojna jest

bardziej skomplikowana niż jest w rzeczywistości. Jeżeli się do nich zaliczasz, wyjaśnię ci krótko, jak się mają sprawy w Sarajewie. Jesteśmy my i oni. Każdy, absolutnie każdy należy do jednej z tych dwóch grup. Mam nadzieję, że wiesz, po czyjej jesteś stronie. – Rozsuwa dłonie i żegna ją gestem przypominającym odganianie muchy znad talerza.

Strzała schyla się po karabin. Jego znajomy ciężar dodaje jej otuchy. Skoro chcąc, żeby zabijała żołnierzy na wzgórzach, to dobrze, będzie ich zabijała. Wszystko, co do tej pory zdarzyło się w jej życiu, wszystkie podjęte przez nią decyzje przywiodły ją tutaj. Teraz musi zmierzyć się z ich konsekwencjami.

KENAN

Kenan idzie niestrudzonym krokiem przez miasto, przekracza prowadzące na wschód tory tramwajowe, skręca na północ i przecina ulicę Strossmayera oraz tory biegnące na zachód. Po drugiej stronie głównej ulicy urządza sobie postój, opuszcza butle z wodą na ziemię. Już ma je podnieść, gdy spostrzega nadchodzącego z góry Ismeta i postanawia na niego poczekać.

Ismet uśmiecha się na jego widok.

– Co tak długo?

Kenan się nie uśmiecha. Nie wie, co powiedzieć.

– Ostrzelali browar.

Ismet kiwa głową i pochmurnieje.

– Nic ci nie jest? – pyta, omiatając go wzrokiem.

– Nie, wszystko w porządku. A ty dokąd? – Wie, że Ismet widzi, że nie wszystko jest w porządku, ale nie chce teraz o tym rozmawiać.

– Na bazar. Chodź ze mną. – Sięga po butle, lecz Kenan go ubiega.

– A co, skończyły ci się stonogi?

– Pozwól, że chociaż ci pomogę.

– Nie trzeba. Tak mi łatwiej rozłożyć równo ciężar. – Zwraca się na zachód, w stronę bazaru. – Chodźmy.

W kieszeni ma piętnaście marek. Może przy odrobinie szczęścia uda mu się znaleźć coś w okazyjnej cenie. Coś dla dzieci.

Po chwili zauważa, że Ismet nie pali. To do niego niepodobne; jakaś część Kenana marzy nawet, by Ismet go poczęstował. Zastanawia się, czy to przez niego Ismet nie sięgnął po papierosa – może czuje się zobowiązany, by się z nim podzielić.

Na bazarze panuje ścisk, objuczonemu Kenanowi trudno się w nim poruszać.

– Poczekaj tutaj – mówi Ismet. – Zobaczę, czy jest coś wartego uwagi. Dam ci znać.

Kenan patrzy, jak przyjaciel znika w tłumie. To jeden z najbardziej zatłoczonych bazarów w Sarajewie, choć zajmuje niewielką powierzchnię, na której upchnięto jak najwięcej stołów. Nie jest czarną giełdą w pełnym znaczeniu tego słowa, lecz nie ulega wątpliwości, że wiele z tutejszych towarów pochodzi z przemytu.

Kenan robił tu zakupy przez większość życia, jędzenie, które zrobiło z niego mężczyznę, pochodziło z tych stołów. Nie przypuszczał, że kiedyś będzie się czuł zakładnikiem tego miejsca.

Myśli o tunelu, o tym, że można by wyprowadzić nim z Sarajewa wszystkie

dzieci, że mógłby posłużyć do ratowania miasta. Tymczasem położono tam szyny do przewozu towarów, które następnie sprzedaje się tutaj po absurdalnie zawyżonych cenach. Oto nowy tramwaj. Nagle Kenan uświadamia sobie, co się stało z jego prakką. Na co komu elektryczne urządzenie w mieście pozbawionym prądu? Teraz rozumie, że wózki wjeżdżające do Sarajewa z mnóstwem dóbr przeznaczonych na czarny rynek nie wracają puste. Gdzieś w innym mieście, które ani trochę nie przypomina tego piekła, ktoś pierze swoje ubrania w pralce kupionej za bezcen, może wiedząc, a może nie wiedząc, że przyłożył w ten sposób rękę do zniszczenia Sarajewa.

Jego wzrok zatrzymuje się na mężczyźnie stojącym obok czarnego mercedesa w głębi zachodniej ulicy. Jest ubrany w nowiutki dres i widać po nim, że dobrze się odżywia. Tkwi w miejscu, paląc papierosa, jakby na coś czekał. Co pewien czas zerka na ulicę, w stronę Kenana, w kierunku, z którego nadjeżdżają samochody.

Pojawia się ciężarówka. Kenan pamięta ją z browaru, to jeden z beczkowozów, minął go w pędzie, gdy wspinał się pod górę. Pomyślał wtedy, że pewnie jedzie na front albo do szpitala. Tymczasem beczkowóz zatrzymuje się za czarnym mercedesem, kierowca wysiada i rozmawia z mężczyzną w dresie. Kenan nie wie, czego dotyczy ta rozmowa, lecz na koniec mężczyzna w dresie wręcza kierowcy jakiś świstek i klepie go w plecy. Kierowca wsiada do ciężarówki, włącza się do ruchu i odjeżdża. Kenan nie wie dokąd, lecz wymowa tej sceny jest oczywista: woda z tego beczkowozu wcale nie trafi do ludzi, którym się należy.

Przez chwilę stoi osłupiały. Powoli jednak dociera do niego prawda. Oczywiście, że handlują wodą. Handlują przecież wszystkim, dlaczego z wodą miałoby być inaczej? On sam zapłaciłby każde pieniądze, gdyby je miał, by cofnąć ten dzień, by nie zobaczyć tego wszystkiego, co dzisiaj widział. Ale to nie jest w porządku. Nie powinno się im na to pozwalać.

Kenan jest zły. Utkwił wzrok w mężczyźnie w dresie, ma ochotę go udusić. Robi krok do przodu, sznur z butlami zsuwa mu się z ramion. Staje, robi kolejny krok naprzód, znów staje. Nie może zostawić wody. Zniknęłaby w mgnieniu oka.

Wraca i podnosi upuszczony sznur. Dźwiga wodę, ten dobrze znany ciężar. Wątpi, czy kiedykolwiek się od niego uwolni. Trudno. Niech tak będzie, już zawsze będzie dźwigał wodę na grzbiecie niczym Atlas świat. Rusza przed siebie, znowu wpijając się wzrokiem w mężczyznę w dresie.

Tamten pali papierosa i patrzy na bazar. Jego ruchy są powolne. Nigdzie mu się nie spieszy. Obraca się i spogląda w stronę Kenana. Zatrzymuje na nim spojrzenie i przez chwilę jakby śmiał się na widok objuczonego Kenana próbującego biec. Nie wie, że Kenan idzie do niego, że on sam jest przyczyną tego zabawnego widoku.

Uśmiechając się, jeszcze bardziej go rozsierdza.

Mężczyzna w dresie rzuca niedopałek na ziemię, obchodzi swojego mercedesa i otwiera drzwi. Grzebie w kieszeniach, dopóki nie znajduje w nich okularów przeciwsłonecznych. Chucha na szkła, przeciera je T-shirtem, który ma na sobie, po czym wsiada do auta. Znika Kenanowi z oczu, zanim ten zdążył przebyć trzy czwarte dzielącej ich odległości.

Kenan idzie dalej. Zatrzymuje się w miejscu, gdzie stał mercedes, i spogląda na tłący się niedopałek. Zostało w nim jeszcze całkiem sporo tytoniu. To amerykański papieros, Kenan nigdy za nimi nie przepadał, ale teraz takim by nie pogardził. Ostatni raz palił je przed wojną.

Zza jego pleców wyskakuje starsza kobieta i schyla się po niedopałek. Podnosi go wyschniętą dłonią i wrzuca do blaszanej puszki, po czym idzie dalej, w ogóle nie podnosząc wzroku. Przypomina bardziej kraba niż człowieka.

Do uszu Kenana dociera muzyka. Odległa, urywana, momentami ginie w ulicznym zgiełku, lecz gdy robi się ciszej, słyhać ją znówu. Nie wiedząc dlaczego, bez konkretnego powodu, Kenan idzie w jej kierunku, przekracza ulicę i ponownie zagłębia się w miasto. Przecnicę dalej muzyka rozbrzmiewa głośniejsze, a przy południowej pierzei stoi ciasna gromada ludzi. Wszyscy na coś patrzą, ale on tego nie widzi.

Dopiero za rogiem spostrzega, czemu się przyglądają. Odstawia wodę i wciska się w wolne miejsce przy ścianie.

Zna tego człowieka. Słuchał już kiedyś jego gry, ale nie pamięta, gdzie to było. Jego smoking jest brudny, buty wytarte. Włosy ma czarne i zmierzwiłone, nieregularna broda wypada skromnie na tle gęstych, długich wąsów. Pod jego oczami widnieją duże, ciemne kręgi. Wygląda, jakby wdał się w bójkę i przegrał.

Kenan słyszał tę historię. Ktoś, może Ismet, a może żona, mówił mu o wiolonczeliście grającym codziennie w miejscu, gdzie zginęli ludzie stojący w kolejce po chleb. Wydarzyło się to mniej więcej tydzień temu. Wiolonczelista widział to z okna swojego mieszkania. Usłyszawszy o nim po raz pierwszy, Kenan nic nie powiedział, ale pomyślał, że to trochę niemądre i cikliwe. Co ten człowiek próbuje osiągnąć, grając na ulicy? Nikogo w ten sposób nie wskrzesi ani nie nakarmi, nie odtworzy ani jednej cegły. To bezsensowny gest, który niczemu nie służy.

Teraz Kenan w ogóle o tym nie myśli. Wpatrzony w wiolonczelistę czuje, jak wraz z muzyką spływa na niego odprężenie. Włosy wiolonczelisty się wygładzają, broda znika, brudny smoking staje się czysty, buty lśnią jak lustro. Kenan nigdy nie słyszał tego utworu, a mimo to dźwięki brzmią znajomo; chłopiec w nowym płaszczu

idzie za rękę z ojcem po zimowej ulicy.

Budynek za plecami wiolonczelisty sam się naprawia. Ślady po kulach i odłamkach granatów pokrywają się tynkiem i farbą, promienie słońca odbijają się w nowych, jasnych, błyszczących oknach. Wyrównuje się bruk. Ludzie wokół niego stoją z podniesionym czołem, ich twarze nabierają ciała i koloru. Z ubrań znikają dziury, brud, zmarszczki.

Miasto Kenana odradza się na jego oczach. Wiolonczelista wciąż gra. Kenan wie, co zaraz zrobi. Pójdzie dalej tą ulicą w stronę domu. Bez zadyszki wbiegnie po schodach na górę, przeskakując co drugi stopień, i wpadnie jak burza do mieszkania. Chwyci zaskoczoną Amilę i pocałuje ją jak dawniej, kiedy byli dużo młodszy. Zanurzy palce w jej gęstych włosach koloru miodu.

Ich syn, Mak, wejdzie do pokoju zobaczyć, co się dzieje, i powie: „Fuj!”. Amila odsunie się ze śmiechem.

Potem wszyscy razem pójda do miasta. Kenan będzie trzymał młodszą córkę za rękę. „Tatusiu – zapyta go – zabierzesz nas na lody?”.

Kenan uśmiechnie się i pokiwa głową, a uradowana Sanja ściśnie mu dłoń. Najstarsza z rodzeństwa, Aida, z początku będzie się trochę boczyć, bo umówiła się do kina ze swoim chłopakiem, do którego Kenan wciąż nie jest przekonany, ale szybko jej przejdzie. Nie potrafi się długo złościć, zupełnie jak jej matka.

Powłóczą się po mieście, przejdą spacerem przez Bašçaršiję, obok biblioteki, gdzie pod szklaną kopułą odbywa się koncert. Usiądą w pobliskiej restauracyjce, którą zna od małego, i będą jeść do oporu. Weźmie duszoną jagnięcinę i ćevapi, będzie się śmiać, gdy kelner rozleje kawę na stół i wszyscy rzucają się, by ratować swoje potrawy i uciec przed skapującym ze stołu gorącym płynem. W drodze do domu zahaczą o lodziarnię, Sanja dostanie upragnione lody i choć będzie miała pełny brzuch, uprze się i zje całe ku lekkiemu zatroskaniu Amili.

Zmęczeni, objedzeni i odrobinę senni, zamiast wrócić spacerem, podjadą na swoją ulicę tramwajem. Kenan będzie stał i trzymał się poręczy, a dzieci i Amila usiądą. Miasto przemknie obok niczym woda w Miljacce, ulice będą pełne ludzi, zwyczajnych i szczęśliwych, martwiących się tylko tym, czy jutro będzie padać.

Wysiądą z tramwaju, Kenan odprowadzi go wzrokiem za zakręt w kierunku lotniska na zachodzie. Jutro złapie go wczesnym rankiem i stawi się w pracy przed wszystkimi. Chelsea dziś przegrała, więc podokucza Goranowi, zapyta go, dlaczego kibicuje niewłaściwej drużynie. Tymczasem Aida idzie do kina, Kenan uściska ją i powie: „Bądź ostrożna. Chłopcy w twoim wieku to same kłopoty”. Ona przewróci oczami, ale pocałuje go w policzek. „Wiem, tato”. Wciśnie jej do ręki trochę

pieniędzy. „Sama zapłać za swój popcorn. Nie będziesz mu nic winna”. Ona znów przewróci oczami, ale bez złości. Kenan obejmie Amilę ramieniem i popatrzy, jak Aida przechodzi na drugą stronę ulicy szybkim krokiem, by się nie spóźnić. Spojrzy na żonę, potem na syna i młodszą córkę, i poczuje, jak bardzo jest szczęśliwy – i nikt mu już tego nie odbierze.

A jednak mu to odebrano. Muzyka dobiega końca, wiolonczela milknie. Znów jest na ulicy, gdzie dwadzieścia dwie osoby zginęły w kolejce po chleb. Może ich zwłoki zabrała niebieska furgonetka. Może przy załadunku głowy zwisały im do tyłu i mogli ostatni raz spojrzeć na ulicę, na której ich zabito.

Wiolonczelista opuszcza ręce, otwiera oczy. Nie zwraca uwagi na gromadę słuchaczy, a oni nie biją mu brawa. Kilka osób złożyło u jego stóp kwiaty, ale one nie są dla niego. Kenan żałuje, że nie może nic zostawić – ma przy sobie jedynie wodę i piętnaście marek niemieckich. Tych kwiatów, które leżą na ziemi, nie ma już sensu podlewać. Żadna z rzeczy, które ma przy sobie, na nic się tu nie zda.

Wiolonczelista wstaje, podnosi taboret, odwraca się i znika w drzwiach. Kenanowi przemyka przez myśl, że może jego tu w ogóle nie było. Ludzie rozchodzą się powoli, aż w końcu zostają tylko Kenan i jakaś staruszka. Stoi wpatrzona w stos kwiatów i ślad po wybuchu w miejscu, gdzie spadł pocisk.

– Moja córka – zwraca się do Kenana. – Przyszła tutaj po chleb.

Kenan nie wie, dlaczego mu to mówi.

– Nie potrzebowała go dla siebie, ale poprosiłam ją, żeby spróbowała kupić dla mnie – mówi cicho i spokojnie.

Kenan ma wrażenie, że jej ton nie pasuje do treści jej słów. Stara się wymyślić jakąś sensowną odpowiedź, która dałaby jej pociechę, nadzieję, cokolwiek pozytywnego, lecz nie potrafi. Kiwa głową, czując ściskanie w piersi.

– Co powiem wnukom, kiedy mnie zapytają, jak zginęła ich matka? – Odwraca się, a Kenan uświadamia sobie, że ta kobieta nie oczekuje od niego odpowiedzi. I tak nie wiedziałby, co jej odrzec. Stoją w milczeniu, patrzą na ulicę i na kwiaty. Gdzieś za nimi, na lewym brzegu, spada pocisk, lecz oboje ani drgną. Po chwili kobieta odchodzi.

– Czy pani córka lubiła wiolonczelę? – woła za nią Kenan ku własnemu zaskoczeniu.

Nie wie, dlaczego zadał to pytanie ani jakie to ma znaczenie. Staruszka się zatrzymuje. Kenan boi się, że tylko pogorszył sprawę, niepotrzebnie się odezwał.

– Nie wiem. Nigdy mi nie mówiła.

– Myślę, że kochała muzykę – oznajmia Kenan, bo naprawdę tak sądzi, jest o tym

przekonany.

Staruszka odwraca się, patrzy na niego, lecz nie sposób zgadnąć, co myśli. Wzdycha długo i powoli, uśmiecha się delikatnie. Kiwa dwukrotnie głową, po czym odchodzi.

Kenan jeszcze przez chwilę stoi w miejscu, potem bierze wodę i wraca na bazar. Już ma przekroczyć ulicę, gdy po drugiej stronie spostrzega Ismeta. Targuje się z jakimś mężczyzną, żywo gestykułując, tnąc powietrze dłońmi. Mężczyzna jest nieugięty, a przynajmniej sprawia takie wrażenie. Iset opuszcza ręce i lekko zgarbiony, kręcąc głową, wyciąga z kieszeni trzy paczki papierosów. Kładzie je na stole, a mężczyzna wręcza mu zwitek banknotów.

Kenan patrzy, jak Iset idzie z nimi do kramu pośrodku bazaru i wymienia na niewielki worek ryżu. To żywność nadesłana z innych krajów, pomoc charytatywna, której nie wolno sprzedawać. Kenan wie, że Iset narażał życie dla tych papierosów, dostał je zamiast żołdu. Teraz płaci nimi za coś, co powinien dostać za darmo, ale nie dostał, bo szemrane typy w dresach i garniturach muszą się bogacić.

Od strony Grbavicy słychać odgłosy wystrzałów, a na lewym brzegu i na zachodzie, w okolicach lotniska, co jakiś czas odzywają się moździerze. Żołnierze na wzgórzach dzisiaj ciężko pracują. Interes im się kręci, będą mieli wielu klientów. Kenan myśli o staruszce, której córka zginęła w kolejce po chleb. Ile takich kobiet jest w całym mieście? Ile takich duchów snuje się po ulicach? Pewnie mnóstwo. Gdyby zapełnić grobami każdy skrawek ziemi, zamienić każdy park i boisko w cmentarz, i tak nie starczyłoby miejsca dla wszystkich zmarłych. Bo zmarli są również wśród żywych i będą tu jeszcze długo, nawet gdy to piekło się skończy, o ile to w ogóle nastąpi.

Przypomina mu się pani Ristovska. Nie wie, co sprawiło, że taka jest, ale coś ją zabiło. Teraz rozumie, że ona także jest duchem. Jest duchem od bardzo dawna. A nie ma chyba nic gorszego, niż być duchem za życia. Owszem, prędzej czy później wszyscy się nimi stajemy, znikamy z tego świata, i nawet pamięć o nas ginie. Dopóki jednak żyjemy, powinniśmy wiedzieć, co to naprawdę znaczy. Kto o tym zapomni, staje się duchem.

Kenan nie będzie duchem. Już dość krzywdy wyrządzono temu miastu w imię duchów. Powtarza to sobie jak zaklęcie. Nie jesteś duchem. Nie jesteś duchem. Lecz powtarzając te słowa, wie, że one nie wystarczą. Nie ma na świecie takich słów, które uchroniłyby go przed zniknięciem.

Widzi, że Iset opuszcza bazar i kieruje się do miejsca, gdzie się rozstali. Kenan podnosi wodę i oddala się od bazaru. Iset pomyśli, że zmęczył się czekaniem

i poszedł z wodą do domu. Spotkają się później. Pożartują, porozmawiają o swoich rodzinach, pomarzą o lepszych czasach.

To oni odbudują Sarajewo, gdy przyjdzie na to czas. Cegła po cegle, okno po oknie, dziura po dziurze. Odbudują miasto, nie wiedząc, czy to już ostatnia odbudowa. W taki czy inny sposób zasłużą sobie na to, by wziąć w niej udział, a gdy dobiegnie końca, odpoczną.

Kenan nie skręca w stronę domu, lecz na południe. Do zmierzchu zostało jeszcze kilka godzin. Do tego czasu spokojnie zdąży wrócić. Teraz idzie w kierunku mostu Ćumurija, gdzie w szczelinie w ziemi czekają na niego dwie wypełnione wodą butelki bez uchwyków.

STRZAŁA

Prowadzą ją do mocno zniszczonego gmachu parlamentu, jednego z najwyższych budynków w mieście. Żołnierze na wzgórzach trafili go setkami pocisków, aż udało im się wzniecić pożar; od tamtej pory wystrzelili w niego kilkaset kolejnych. Wieżowiec stanowi cel nie tylko dlatego, że jest symbolem władzy, którą przysięgli unicestwić, ale również dlatego, że z górnych pięter widać jak na dłoni całą Grbavicę.

Strzała zawsze unikała tego budynku, po części dlatego, że jest oczywistym, a więc regularnie atakowanym, punktem obrony, a po części dlatego, że pełno tam innych żołnierzy z jej armii. Uznała, że nie ma tam dla niej miejsca.

W głównym holu, który jakimś cudem uniknął zniszczenia, czeka na nią mężczyzna. Stoi przy windzie, pałac papierosa. Dwaj strażnicy pełniący wartę przy wejściu nie zwracają uwagi na przybyłych. Strzała przechodzi po marmurowej posadzce, mija dwie wielkie rośliny w donicach.

– Wyższe piętra wyglądają gorzej – ostrzega ją mężczyzna czekający przy windzie, jakby czytał w jej myślach.

Trzej mężczyźni, którzy od rana snuli się za nią jak cienie, kiwają głową w jego stronę i zadowoleni, że wywiązali się ze swojego zadania, odchodzą.

– Nie są to może największe bystrzaki – odzywa się ten, który został. Jest mniej więcej w jej wieku, na pewno przed trzydziestką. Wysoki, o kręconych włosach i twarzy z rodzaju tych, na których zawsze, niezależnie od sytuacji, widnieje jakby wyraz rozbawienia. Nosi szary kombinezon, w rękę trzyma półautomatyczny karabin.

– Mam na imię Hasan.

– Strzała – odpowiada.

Stara się nie zwracać uwagi na jego przyjazny ton.

– Oczywiście. Słyszałem o tobie. Nie sądziłem, że naprawdę istniejesz. – Uśmiecha się, trudno powiedzieć, ile w tych słowach żartu.

– Nie wiem, co słyszałeś, ale pewnie nieprawdę.

– Pewnie tak – przytakuje. – Chociaż byłoby miło dla odmiany popracować z kimś, kto zna się na swojej robocie.

Gasi papierosa i otwiera drzwi na klatkę schodową.

– Co powiesz na czternaste?

– Może być.

Wspinają się w milczeniu. Na klatce jest ciemno, jedyne źródło światła to niewielka latarka, którą trzyma Hasan. Strzała czuje zapach dymu. Straciła rachubę pięter i kiedy docierają na czternaste, wpada niechcący na Hasana, gdy ten zatrzymuje

się przy drzwiach.

– Przepraszam.

– Nie ma za co. – Hasan otwiera drzwi, wyłącza latarkę i chowa ją do kieszeni.

Nie żartował, mówiąc, że górne piętra wyglądają gorzej. Wszystko jest tu wypalone albo rozerwane przez pociski moździerzy. W pokojach walają się stłuczone szkło, wygięte kawałki metalu i różne inne odłamki. Wiatr hula w rozbitych oknach, wpada przez wielkie dziury w ścianach.

– Gotowa na polowanie? – pyta Hasan głosem ścisłym i już nie tak beztruskim jak wcześniej.

– Nie.

Odwraca się i spogląda jej w oczy.

– Nie rozumiem.

– Co my tu właściwie robimy? – pyta Strzała nieco głośniejszym głosem, niż zamierzała.

– To nic trudnego. Przypuszczam, że pułkownik Karaman chce się najpierw upewnić, że jesteś tak dobra, jak wszyscy twierdzą, zanim da ci trudniejsze zadanie. Zajmiemy pozycję, wybiorę cel, a ty strzelisz. Nic się nie martw. Poradzisz sobie. – Patrzy ponagląco.

– Kogo mam zastrzelić?

Hasan wzrusza ramionami.

– Jeszcze nie wiem. Któregoś z tamtych. Zobaczymy, kto się napatoczy.

Strzała próbuje zrozumieć, dlaczego się tutaj znalazła, co takiego zrobiła, że dała się zapędzić do tego narożnika. Irytuje ją, że tego nie wie.

– Tędy. – Hasan prowadzi ją korytarzem w stronę południowej części budynku. W odległości około pięciu metrów od okien daje jej znak, by się położyła. Zaczynają się czołgać. Dotarwszy do zewnętrznej ściany, Hasan wskazuje okna i ostrożnie się podnosi. Okna są metr nad podłogą i nie zapewniają prawie żadnej osłony. Aby oddać strzał, musiałyby stanąć, a wtedy byłyby dogodnym celem dla każdego uzbrojonego człowieka w Grbavicy lub na wzgórzach.

– Nie. Tam. – Strzała wskazuje dziurę w ścianie o średnicy około trzydziestu centymetrów.

Przez chwilę myśli, że Hasan zaprotestuje, ale zgadza się i oboje podpełzają do dziury. Strzała ustawia się do strzału, Hasan odkłada swój karabin i sięga po lornetkę. Unosi głowę do okna, rzuca okiem na zewnątrz i szybko się chowa.

– To dobre stanowisko – stwierdza.

Strzała spogląda w celownik. Grbavica to pustkowie. Trudno znaleźć choć jeden budynek, na którym pociski nie odcisnęły piętna. Ulice ledwie przypominają miejsca,

po których spacerowali przechodnie. Na porozdzieranych jezdniach zalegają pokiereszowane samochody i fragmenty budynków. Widać trochę ludzi, ale nie ma wśród nich żołnierzy. Ci ostatni nauczyli się nie wchodzić na linię strzału snajperom z tego budynku. Jak w takim razie Hasan zamierza znaleźć cel?

– Mieszkałem tam kiedyś – odzywa się. – Widzisz ten czerwony budynek mniej więcej sto metrów na zachód od mostu?

Widzi. Budynek stoi na linii frontu, jest mocno zniszczony. Ale przed wojną musiało się tam miło mieszkać. Przy samej rzece, w otoczeniu drzew.

– Byłem w pracy, kiedy tamci przyjechali czołgami. Gdybym został wtedy w domu, już bym nie żył. Zabili mojego młodszego brata. Miał dwanaście lat. Ojca też zabili. Nie wiem, gdzie są matka i siostry. Udało mi się tylko ustalić, że nie ma ich w Grbavicy.

Strzała nie wie, co powiedzieć. Takich historii jest mnóstwo. Czy on oczekuje, że coś mu odpowie? Oby nie.

– Pewnie też nie żyją – mówi dalej Hasan. – Może to i lepiej, niż gdyby miały żyć z tymi potworami – dodaje bez emocji.

Uderza ją ta beznamiętna szczerłość.

– Mój ojciec też zginął – odzywa się mimo woli. – W pierwszej bitwie pod siedzibą władz.

Hasan kiwa głową.

– Zapłacą za to, co nam zrobili. Nam wszystkim.

Strzała milczy, lecz ogarnia ją nieprzyjemne uczucie. Coś ją razi w tym jego pragnieniu zemsty. Sama nieraz czuła podobną żądzę odwetu, zabijała dla niej. Nie wie, dlaczego teraz ma z tym problem.

Hasan ponownie zwraca się ku oknu. Strzała patrzy w celownik, przeczesuje ulice w poszukiwaniu jakichkolwiek oznak obecności wojska. Czasem niełatwo odróżnić żołnierza od cywila. Siły wroga to w przeważającej części oddziały nieregularne, ich ludzie często nie noszą mundurów. Jeżeli mają broń, wiadomo, że są żołnierzami, ale broń nie zawsze jest widoczna, poza tym oficerowie i inne wysoko postawione osoby zwykle noszą przy sobie jedynie pistolety, a te trudno dostrzec z daleka. Strzała nauczyła się, że wiele można wyczytać ze sposobu poruszania się człowieka i ludzi wokół niego. Oficer chodzi pewnym krokiem, inni traktują go z szacunkiem, schodzą mu z drogi. Żołnierze zazwyczaj poruszają się w grupach, przy czym najniższy rangą idzie przodem. Nieraz opłaca się poczekać i nie strzelać do pierwszego, którego się zobaczy. Zwykle podążą za nim inni. Wybór ofiary potrafi być prawdziwą sztuką. Strzała jest ciekawa, jak robi to Hasan i czy wybierze właściwie.

Wie, że zaczęła racjonalizować i odstąpiła od swoich zasad, lecz nie ma innego wyjścia. Zresztą nie można powiedzieć, że tamci nie zasłużyli na kulę, która ich dosięgnie. Jeżeli to ona ma ją wystrzelić, cóż, niech tak będzie. Dokonała wyboru wiele miesięcy temu. I tak bardzo długo udawało jej się pozostawać na obrzeżach tej wielkiej wojskowej maszyny.

– Mam – odzywa się Hasan. – Znalazłem cel.

– Gdzie? – Strzała nie widzi nikogo godnego uwagi.

– Na godzinie drugiej, pięćdziesiąt metrów na południe od żółtego autobusu.

Za spalonym autobusem idzie pod górę mężczyzna. Stara się trzymać blisko budynków, ale niezbyt dobrze ocenił sytuację i znajduje się na linii strzału. Coś tu jednak nie gra. To starszy człowiek, na oko sześćdziesięciolatek, w mocno sfatygowanym ubraniu, jakiego nie noszą żołnierze. Nie porusza się jak ktoś, kto ma władzę nad innymi ludźmi, na pewno też nie jest uzbrojony.

– To nie żołnierz. To cywil.

– To nasz cel – ucina Hasan. – To ja decyduję, do kogo strzelasz.

– Nie. Nie zgadzam się. – Strzała rozgląda się za innym celem.

Nieco wyżej na tej samej ulicy dostrzega przebłysk metalu. Na linii jej strzału pojawia się mężczyzna; ma chód żołnierza, pali papierosa. Zza pleców wystaje mu karabin. Jest całkiem nieświadomy niebezpieczeństwa, rozleniwił się, stracił czujność. Rozmawia z kimś niewidocznym, a więc nie jest sam.

– Tam, na południu. To jest żołnierz. – Jej palec muska spust.

Pozwoli Hasanowi wydać rozkaz, lecz tak naprawdę sama podjęła już decyzję.

– Nie. Zapomnij o nim. Wybrałem ci inny cel. Masz go zabić.

Strzała zdejmuje palec ze spustu i podnosi wzrok.

– Nie zabiję bezbronego cywila.

– Zabijesz każdego, kogo ci wskażę.

Strzała potrząsa głową.

– Nie.

Hasan zniża się do niej.

– Co ty sobie wyobrażasz? Że to zabawa?

– Mogłabym cię zapytać o to samo.

– Strzelaj.

– Nie. Zabiję żołnierza.

Hasan kręci głową.

– Nie masz tu nic do gadania. Od zabijania żołnierzy są inni.

Strzała odrywa dłonie od karabinu i obraca się, by lepiej widzieć Hasana.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że nie jesteś zwykłym żołnierzem. A jednostka pułkownika Karamana nie jest taką samą jednostką jak każda inna.

– Zabijacie cywilów?

Hasan się śmieje.

– Pewnie, że tak. Robimy różne rzeczy. To tylko sprawdzian, a ty robisz wszystko, żeby go nie zdać. Wydaje ci się, że ten człowiek jest niewinny? W takim razie odpowiedz mi na jedno pytanie. Jak to możliwe, że chodzi sobie swobodnie po Grbavicy? Dlaczego nie jest martwy ani nie zamknęli go w obozie, czy co tam jeszcze robią z ludźmi?

Strzała wie dlaczego: bo żołnierze na wzgórzach uważają go za swojego.

– To nie znaczy, że jest jednym z tych, którzy do nas strzelają.

– Nie szkodzi. Jest po ich stronie. Tamci to jego synowie, on jest ich ojcem, dziadkiem albo wujkiem. Oni zabijają naszych ojców, dziadków i wujków.

– My jesteśmy lepsi.

– Oczywiście, że tak. Oni to wściekłe zwierzęta. Zabijając ich, wyświadczamy przysługę ludzkości.

Strzała myśli o tym, co powiedział, zastanawia się, ilu żołnierzy ze wzgórz zabiła. Ich śmierć uratowała życie innym. Tego jest pewna. Tak jak tego, że ci, którzy mordują, zasługują wyłącznie na pogardę. Ale nie wszyscy są tacy. Nie wszystkie matki, ojcowie i siostry są tacy.

– Tam są też dobrzy ludzie.

Hasan uśmiecha się kpiąco.

– Jeszcze żadnego nie spotkałem.

– W Sarajewie jest ich mnóstwo.

– Nimi też się zajmiemy. Wszystko w swoim czasie.

– Jak mam to rozumieć?

– Zapytaj swojego przyjaciela Nermina Filipovicia. Posłuchaj, Strzała, w tej wojnie są dwie strony. My i oni. Nie ma nic pomiędzy.

Wraca do okna i spogląda przez lornetkę.

– Ciągle tam jest. Przeszedł piętnaście metrów na południe. Pospiesz się.

Strzała kładzie dłonie na karabinie, przysuwa oko do celownika. Znajduje mężczyznę i mierzy. Już wie, co zrobiła, od czego zaczął się ten łańcuch zdarzeń. Potrafi dokładnie wskazać moment, kiedy jej opcje zaczęły się zawężać. Żołnierze na wzgórzach wmówili jej, że ich nienawidzi, i robili wszystko, by stało się to prawdą. Poszło im łatwo. Nie broniła się przed tym zbyt mocno. Czy mogła zachować się

inaczej? Taką ma nadzieję – że gdzie indziej w mieście są ludzie, którzy oparli się pokusie, by ujrzeć w tamtych wcielonych diabłów, by powtarzać, że wszyscy są tacy sami, by odmawiać im prawa do istnienia, o co tamci wielokrotnie ich oskarżali.

Dla niej jest już za późno. Nie cofnie czasu i tego, co się wydarzyło. Jej palec spoczywa na spuście. Wydycha powietrze, starając się uspokoić oszalałe tętno. Patrzy w celownik, ostatni raz poprawia ustawienie lufy. Widzi snajpera, którego przysłano, by zabił wiolonczelistę, widzi jego zamknięte oczy i opuszczoną rękę. Słyszy muzykę – i tym razem nie strzela.

– Nie zrobię tego.

Zastanawia się, czy Hasan sam zabije tego mężczyznę, czy może zabije ją, on jednak nic takiego nie robi; odwraca się od okna i patrzy, jak Strzała wyjmuje karabin z otworu w ścianie i zaczyna się czołgać w stronę wyjścia.

– Mam nadzieję, że wiesz, co robisz – mówi do niej.

– Wiem doskonale – odpowiada.

Dotarłszy do korytarza, podnosi się na nogi. Do klatki schodowej idzie szybko, ale nie biegnie. Nie przewiesza karabinu przez ramię, bo nie wie, czy nie będzie jej potrzebny. Na dół schodzi po omacku. Każdy dźwięk w ciemnościach napawa ją niepokojem, że Hasan ruszył za nią w pościg, lecz tak się nie dzieje. Na parterze przechodzi przez główny hol w stronę tylnego wejścia. Dwaj strażnicy wciąż tam są, lecz i tym razem nie zwracają na nią uwagi. Tuż przed podwójnymi drzwiami zerka na zegarek: już prawie czwarta. Wychodzi na ulicę i zaczyna biec.

DRAGAN

Jakiś mężczyzna zamierza przejść na drugą stronę. Został ostrzeżony, widział ciało człowieka bez czapki, lecz widocznie się nie boi. Jest młody i pewnie lekkomyślny. Czyżby szukał mocnych wrażeń? Może to taki nowy sport. Bieg na sto metrów pod lufą.

Po drugiej stronie mężczyzna w kamizelce kuloodpornej ustawia kamerę na statywie. Stoi za barykadą i rozgląda się po skrzyżowaniu, oblicza kąty i odległości, ocenia obraz zniszczenia pod względem walorów wizualnych. Jest gładko ogolony i nieskazitelnie ubrany. Nawet z daleka widać równo zaprasowany kant spodni. Tak się przynajmniej zdaje Draganowi. Najbardziej dziwi go jednak nie sama obecność kamerzysty, lecz jego usytuowanie. Wydawałoby się, że kamera powinna być po tej stronie ulicy, bliżej hotelu, w którym nocują zagraniczni dziennikarze. Hotelu, w którym wciąż jest jedzenie i gorąca woda, a czasem nawet prąd. Ten człowiek nadłożył sporo drogi. Dziwna decyzja. Dragan nie potrafi jej wytłumaczyć.

Młody mężczyzna zamierzający przebiec na drugą stronę także spostrzegł kamerę i zawahał się, jakby rozważając w myślach, czy powinien odczekać jeszcze chwilę, by jego sprint został uwieczniony. Zerka nawet na swoje ubranie. Chyba nie chce się pokazywać w telewizji w tym stroju, bo wybiega na skrzyżowanie.

Wszyscy, włącznie z kamerzystą, przerywają swoje zajęcia i patrzą. Nie jest to wielka publiczność, około pół tuzina ludzi, którzy widzieli to już nieraz i dobrze znają obydwie możliwe zakończenia. Mężczyzna biegnie w linii prostej. Jest szybki. Nowy rekord świata? Niewykluczone. Może trzeba będzie powiadomić wydawcę *Księgi rekordów Guinnessa*.

Snajper z tylko sobie znanych powodów nie oddaje strzału. Gdy mężczyzna dobiega na drugą stronę, kamerzysta wydaje się rozczarowany, że tamten przeżył, a jemu nie udało się sfilmować tego sprintu. Irytuje to Dragana, który czuje się jak zwierzę w zoo.

Kamerzysta podskakuje wystraszony przez psa, który wyszedł mu zza pleców. Dragan się uśmiecha. Pies jednak w ogóle nie jest zainteresowany dziennikarzem, idzie dalej, wkracza na jezdnię. Dragan przygląda mu się i zastanawia się, czy to ten sam pies, którego widzieli wcześniej z Eminą. Ten też zdaje się wiedzieć, dokąd idzie. Dragan nie potrafi sobie jednak przypomnieć, jak wyglądał tamten. Może to ten sam. Wszystkie wydają mu się prawie identyczne.

Pies przecina pasy ruchu, zmierzając w jego stronę. Gdy zbliża się do trupa mężczyzny bez czapki, Dragan zastanawia się, czy zacznie jeść zwłoki. Na pewno jest

głodny. Każda żywa istota w tym mieście – poza politykami i gangsterami – chodzi głodna. Jednak pies mija ciało, nawet go nie obwąchując. Jakby w ogóle go tam nie było.

Dragan słyszy brzęk metalowego znaczka – pies ma obrozę, choć po stanie jego sierści widać, że jest bezdomny. Nie spogląda na Dragana ani na żadnego z mijanych ludzi. Może spisał na straty cały rodzaj ludzki? Dragan ma ochotę go zawołać, dać mu jeść, pogłaskać po sierści, sprawić, że pies odzyska wiarę w człowieka. Ale nie ma przy sobie nic do jedzenia, zresztą wie, że zwierzę i tak nie przyjdzie, nawet jeśli je zawoła. Gdy pies znika za rogiem, Dragan czuje się trochę tak jak wtedy, kiedy patrzył na autokar odjeżdżający z jego żoną i synem.

On sam jest jak ten pies. Od początku wojny chodzi po ulicach, starając się nie widzieć tego, co się dzieje dookoła. Nie widzi nic, czego nie musi widzieć, i nie robi nic, czego nie musi robić.

Kamerzysta ma jakiś problem ze sprzętem. Postawił kamerę na chodniku i grzebie w dużym plecaku. Dragan patrzy na to z ulgą, po chwili jednak dziennikarz, znalazłszy najwyraźniej to, czego szukał, zbliża się ponownie do kamery. Wkrótce zacznie kręcić. Dragan nie chce, by ciało mężczyzny bez czapki znalazło się na filmie.

Nie chodzi o to, że nie chce, by świat wiedział, co się tutaj dzieje. Chce, a już na pewno przemawia do niego argument, że świat prędzej zainterweniuje, widząc cierpienie niewinnej ludności. Tyle że scena, którą zaraz uwieczni kamerzysta, wcale nie oddaje tego, co się wydarzyło. Na to jest już bowiem za późno.

Martwy człowiek nie poruszy niczyjego sumienia. Przyciągnie uwagę widzów, ale oni go nie znali, więc nic nie czują. Zwłoki nie mówią niczego o tym, jak wyglądało życie. Nikt się nie dowie, że ten człowiek miał nadzwyczajnie duże stopy, z których w dzieciństwie drwili jego koledzy. Nikt się nie dowie o bliźnię, którą miał na plecach po upadku z drzewa, ani że jego największym przysmakiem było ciasto czekoladowe. Widzowie nie dowiedzą się, że w wieku osiemnastu lat wybrał się w podróż z kolegami ze szkoły i dotarł autostopem aż do Hiszpanii, gdzie przespał się z jasnowłosą dziewczyną i nawet nie poznał jej imienia, a przez następnych trzydzieści lat często wracał do tego myślami, zawsze w dziwnych momentach, na przykład obierając pomarańczę, ostrząc nóż albo idąc w deszczu pod górę.

I wreszcie rzeczy, których nie wypomina się zmarłemu. Nikt się nie dowie, że bywał porywczy i że zdarzało mu się oszukiwać w karty. Był skąpy. A po pijanemu – okrutny.

O tym już nigdy nikt nie opowie, to wszystko zostało wymazane. A przecież

gdyby nie pamięć, ludzie nie oplakiwaliby swoich zmarłych. Śmierć to coś więcej niż zniknięcie ciała. Z tym akurat najłatwiej się pogodzić. Kiedy wieczorem w telewizyjnych wiadomościach ludzie z całego świata zobaczą zwłoki mężczyzny bez czapki, nie będą rozpaczać. Być może przemknie im przez myśl, że wojna jest straszna, ale zapewne się tym nie przejmą; będą jak pies, któremu śpieszno dokąd indziej.

Dragan spogląda na ciało człowieka bez czapki. Nie zna jego imienia, nie pamięta jego twarzy. Nie wie o nim nic. Wszystko to przypuszczenia. Ale nie szkodzi. Ten człowiek to on. To mógł być on. Żył w oblężonym mieście i zginął od kuli, próbując przejść przez ulicę. Obaj nie zrobili nic, by pomóc Eminie.

Dragan nie pozwoli, by filmowano te zwłoki. Przypomina sobie, co powiedział Eminie na temat wiolonczelisty – dlaczego jego zdaniem ten człowiek gra. Bo chce czemuś zapobiec. Czemuś gorszemu. Robi, co może.

Jednak patrząc na kamerzystę, Dragan uświadamia sobie, że tak naprawdę chodzi o coś jeszcze innego. Nieważne, co świat myśli o jego mieście. Liczy się to, co myśli on sam. W Sarajewie, jakie pamięta, byłoby nie do pomyślenia, żeby martwy człowiek leżał na ulicy. W dzisiejszym Sarajewie to normalne. Dragan nie mieszka ani w jednym, ani w drugim; usiłuje żyć w mieście, które przestało istnieć, bojkotując to, które istnieje.

Snajper nadal tam jest. Nie wie, skąd to wie, ale wie. Gdzieś na wzgórzach albo na dachach Grbavicy czeka na odpowiedni moment. Przed chwilą pozwolił komuś przejść na drugą stronę. To nic nie znaczy. Zwykła kalkulacja. Im dłużej odczeka, tym więcej ludzi odważy się zaryzykować. Można by pewnie narysować wykres zależności między długością odstępów między strzałami a liczbą potencjalnych ofiar. Ciekawe, czy snajper nosi taki wykres przy sobie, na przykład na laminowanym kartoniku, wetknięty w kieszeń kurtki, czy też nie musi, bo ma go w głowie.

Człowiek bez czapki leży blisko, nie dalej niż piętnaście metrów od niego. Nic prostszego niż podbiec, złapać go za rękę i przywlec tutaj. Dwadzieścia kroków w jedną stronę. W sumie pół minuty. Może mniej.

Głęboko wdycha i wydycha powietrze. Nogi ruszają z miejsca, znowu jest na ulicy. Czas znów zwalnia; za każdym razem, gdy Dragan wyrzuca stopę naprzód, mija cała wieczność. Słyszy uderzenia swoich stóp o ziemię. Pobrzmiwiają mu głośno w uszach. Czuje suchość w ustach. W trzech czwartych dystansu przypomina sobie, by pochylić głowę, i cały czas biegnąc, z bólem zgina grzbiet.

Dociera do ciała mężczyzny bez czapki. Buty ślizgają mu się w kałuży krwi. Schyla się i chwytą jego dłoń, martwą, lecz wciąż ciepłą. Druga mu się wymyka.

Traci równowagę i upada. Centymetr dzieli jego nos od tego, co pozostało z głowy zabitego mężczyzny. Luźny płat skóry niczym licha peruka zakrywa dziurę w roztrzaskanej czaszce. Z jakiegoś powodu nie robi to na nim wrażenia. Dziwne, bo zwykle przerażają go krwawe widoki. Ale teraz to nieistotne. Musi jak najszybciej zabrać ciało z ulicy.

Coś wbija się z głuchym odgłosem w leżące przed nim ciało. Słysząc trzask karabinu. Snajper wystrzelił, chybił o niecałe pół metra. Dragan chwytając mężczyznę za drugą dłoń i próbuje stanąć na nogach. Nie daje rady. Ciało jest zbyt ciężkie. Pozostaje mu kucnąć i zaciągnąć je za wagon niezdarnym, krabim chodem.

Wie, że snajper odda drugi strzał, lecz się nie boi. W tej chwili strach nie istnieje. Nie ma czegoś takiego jak odwaga. Nie istnieją bohaterowie, złoczyńcy, tchórze. Uda mu się albo nie. Jest tylko dobro i zło. Nic więcej. Świat jest zero-jedynkowy. Później przyjdzie czas na niuanse.

Nie słyszy trafienia, lecz słyszy wystrzał. Chyba nie jest ranny, chociaż nie ma pewności. Przeciągając ciało mężczyzny przez kilka ostatnich metrów, spodziewa się lada chwila poczuć ból, wilgoć krwi. Nic takiego się jednak nie dzieje. Spocony i zdyszany siada na ziemi. Spogląda w poprzek ulicy i widzi, że kamerzysta wpatruje się w niego z rozdziawionymi ustami. Kamerę ma w rękach, ale nie na ramieniu. Nie sfilmował jego ani zwłok.

To dobrze, myśli Dragan. Nie chcę żyć w mieście, w którym ciała zabitych poniewierają się na ulicy, a ty nie pokażesz tego światu.

Rusza ku niemu jeden z dwójki ludzi po jego stronie ulicy. Zmienia zdanie pod wpływem świstu moździerzy. Pociski lądują za wagonem, na terenie opuszczonych koszar. Dragan leży na brzuchu, z twarzą przyciśniętą do ziemi, osłaniając głowę rękami.

Stara się nie myśleć o tym, co będzie, jeśli któryś z pocisków spadnie po jego stronie barykady. Żołnierze na wzgórzach są wściekli. Wściekajcie się na siebie, myśli Dragan. Mieliście szansę mnie zabić, a niedługo będziecie mieli kolejną.

Obrońcy miasta odpowiadają ogniem z automatów, chwilę potem kilkoma pojedynczymi strzałami meldują się kontrsnajperzy. Wywołują w ten sposób kolejną salwę z moździerzy na wzgórzach. Jeszcze przez kilka minut obie strony wymieniają ciosy, aż wreszcie nastaje względna cisza.

Dragan siada, wyciera kurz z twarzy. Zastanawia się, czy ta wojna kiedyś się skończy. Rozmyśla, co się wtedy stanie. Czy ludzie zapomną? Czy powinni? Dragan nie zna odpowiedzi na te pytania. Ale dobrze, że przynajmniej je sobie zadaje. Zapyta o zdanie kolegów z piekarni. Pewnie się zdziwią. Dawno z nimi nie rozmawiał.

Wstaje, kolana i plecy ma zeszywniałe. Odchodzi od ciała mężczyzny bez czapki i podnosi płaszcz Eminy. Czapka leży obok, ją także podnosi. Przygląda się obu tym rzeczom. Gdyby miał zgadywać, pomyślałby, że to Emina zginęła, a mężczyzna przeżył. Ale czasem pozory mylą. Zwłaszcza tutaj. Jeżeli to miasto umrze, nie stanie się tak za sprawą ludzi na wzgórzach, lecz tych w dolinie. Jeżeli przestaną reagować na śmierć, jeżeli upodobnią się do tamtych, wówczas Sarajewo zginie. Dragan przykrywa mężczyznę płaszczem Eminy i oddaje mu jego czapkę.

IV

KENAN

Zaczął się kolejny dzień. Światło wnika do mieszkania i zastaje Kenana w kuchni, sięgającego po plastikową butlę z ćwiartką litra wody, jaka im pozostała. Od ostatniej wyprawy do browaru minęły cztery dni. Woda prawie zawsze kończy się po czterech dniach; czasem, gdy pada deszcz, wystarcza jej na pięć. Dzisiejsza wyprawa będzie inna niż poprzednie. Dzisiaj wiolonczelista zagra po raz dwudziesty drugi i ostatni.

Tego ranka powietrze jest chłodne. Kenan zastanawia się, czy to zapowiedź zimniejszych dni. Oby starczyło im ciepłych ubrań na zimę. Na pewno będzie problem z drewnem na opał. Nie wie, skąd je weźmie. Coś wymyśli.

Odsuwa krzesło od stołu i sięga po pustą butlę. Ogląda ją dokładnie, szukając dziur i pęknięć. Powtarza tę czynność z każdą z pozostałych pięciu. Na czwartej znajduje rysę, która go niepokoi. Na razie nie przecieka, lecz nie wiadomo, kiedy puści. Postanawia wymienić ją na jedną z zapasowych. Lepiej nie ryzykować.

W salonie, gdzie śpi Amila z dziećmi, zaskrzypiało łóżko. Kenan ma nadzieję, że ich nie obudził. Pora jest wczesna. Nie muszą jeszcze wstawać. Niech się wyśpią. Kto wie, czy kolejnej nocy nie przyjdzie im spędzić w schronie, a tam trudno wypocząć.

Najciszej, jak potrafi, sięga po resztkę wody i udaje się z nią do łazienki. Odruchowo naciska włącznik światła, lecz nic się nie dzieje. Zapala resztkę świecy przy lustrze i zaczyna się golić. Kiedyś znów będzie się golił w ciepłej wodzie i ostrą maszynką. Każdy dzień będzie pełen takich małych luksusów i będą mu one sprawiały przyjemność. Tymczasem jednak przywykł do golenia się po ciemku bez ciepłej wody. Prawie mu to nie przeszkadza.

Splukuje twarz resztką wody i pochyla się, by zdmuchnąć świeczkę. Gdy nabiera powietrza, rozlega się znajomy odgłos i żarówka pod sufitem rozbłyska jaskrawym żółtym blaskiem. Jego oczy oswajają się ze światłem. Uśmiecha się.

Zdmuchuje świeczkę i wychodzi do przedpokoju, gdzie stoi akumulator samochodowy podpięty do prostownika. Jeżeli prąd będzie do wieczora, przez następne dwa tygodnie będą mogli słuchać radia. A jeżeli do rana, może nawet będą mogli wieczorami na parę godzin zapalać światło. Sprawdza prostownik, patrzy na zielone światełko. Akumulator się ładuje.

Amila wstaje z łóżka. Uśmiecha się do niej i wskazuje palcem lampę pod sufitem. Amila uśmiecha się szeroko i unosi ręce w radosnym geście. Gdyby nie to, że dzieci jeszcze śpią, Kenan włączyłby jakąś płytę, coś wesołego i skocznego, potańczyliby sobie i pokrzyczeli. Nie robi tego, ale wystarczy mu świadomość, że mógłby.

– Myślisz, że włączyli na dłużej? – pyta Amila.

Kenan idzie z powrotem do kuchni.

– Możliwe. – Kiwa głową. – Trudno powiedzieć.

Zaczyna wiązać butle, po trzy na jedno ramię.

– Uważaj na siebie – mówi z uśmiechem Amila.

– Oczywiście. Zawsze uważam.

Światło zaczyna mrugać, ale nie gaśnie. Amila przewraca oczami.

– Kup po drodze dużą bombonierę. I dwa tuziny jajek.

– Nie ma sprawy. Po co ci tyle jajek?

– Upiekę ciasto. Bardzo duże ciasto.

– O. W takim razie kupię też koniak. – Zbliży się i całuje ją w usta.

– Świetny pomysł. Ciasto z niczym nie smakuje tak dobrze jak z koniakiem. – Amila obejmuje go w pasie i opiera głowę na jego ramieniu. – Jestem zmęczona – mówi półszepem.

– Wiem. Ja też.

Stoją tak przez chwilę, potem Kenan, czując, że czas nagli, cofa się, jeszcze raz ją całuje, po czym wychodzi.

Na korytarzu siada na schodach i przyciska czoło do kolan. Nie chce wychodzić z domu. Wędrować ulicami swojego miasta, patrzeć na budynki, bać się, że w każdej chwili może zginąć. Nie ma jednak wyboru. Jeżeli chce być jednym z tych, którzy odbudują Sarajewo, którzy będą w ogóle mieli prawo zabierać głos w tej sprawie, musi wyjść i stawić czoło żołnierzom na wzgórzach. Jego rodzina potrzebuje wody, więc ją zdobędzie. Takich jak on jest w tym mieście mnóstwo i wszyscy jakoś sobie radzą. Nie są ani tchórzami, ani bohaterami.

Od czasu ataku mózdzierzowego na browar Kenan codziennie chodzi słuchać gry wiolonczelisty. Codziennie o czwartej po południu opiera się plecami o ścianę i patrzy, jak miasto samo się naprawia, a mieszkańcy budzą się z letargu. Dziś wiolonczelista zagra po raz ostatni. Uczci pamięć ostatniej z osób zabitych w kolejce po chleb. Oczywiście nikt nie zagra dla tych, którzy zginęli koło browaru, ani dla tych, którzy stracili życie, przechodząc przez ulicę, ani dla innych ofiar niezliczonych ataków. Do tego trzeba by całej armii wiolonczelistów. Ale Kenan wysłuchał tyle, ile mógł. To mu wystarczy.

Podnosi się i schodzi po schodach na dół. Na parterze zatrzymuje się przed drzwiami pani Ristovskiej. Nasłuchuje oznak życia, zastanawia się, czy sąsiadka wstała i czy wie, że włączono prąd. Zwykle pierwsza dowiaduje się o takich rzeczach.

Kenan prostuje plecy, odchrząkuje i puka. Słyszy krzątanie, ale drzwi się nie otwierają. Puka ponownie, tym razem głośniejsze. Czeka, aż pani Ristovska otworzy

i przyniesie mu swoje butelki, by mógł ruszyć w długą drogę przez miasto do browaru na przeciwległym wzgórzu.

DRAGAN

Nie sposób odgadnąć, która wersja kłamstwa jest prawdą. Czy prawdziwe jest Sarajewo, w którym ludzie byli szczęśliwi, szanowali się nawzajem i żyli w zgodzie? Czy prawdziwe jest to dzisiejsze, w którym ludzie usiłują się nawzajem zabijać, ze wzgórz nadlatują kule i granaty, a budynki obracają się w gruzy? Dragan może tylko zadawać sobie to pytanie. Wątpi, by ktokolwiek potrafił na nie odpowiedzieć.

Minęło południe. Stoi na skrzyżowaniu od ponad dwóch godzin. Wydaje mu się, jakby stał tam od kilku dni. Tkwi na ziemi niczyjej. Może i zarazem nie może pójść do piekarni, gdzie czeka na niego bochenek chleba. Od niego zależy, kiedy przejdzie na drugą stronę. Nikt mu nie powiedział: nie wolno ci. On sam o tym decyduje.

Wie, w które kłamstwo uwierzy. Jego miasto jest pełne ludzi, którzy kiedyś znów zaczną się traktować po ludzku. Wojna się skończy i będzie wspomniana ze smutkiem, a nie z tęsknotą za minioną chwałą. Tymczasem jednak będzie dalej chodził ulicami. Ulicami, na których nie będą zalegały porzucone ciała zabitych. Już teraz będzie się zachowywał tak, jak w przyszłości – taką ma nadzieję – wszyscy. Bo cywilizacja nie jest dana raz na zawsze. Trzeba ją budować bez przerwy, codziennie od nowa. Znika prędzej, niż podejrzewał. Dlatego jeśli pragnie żyć, musi uczynić, co w jego mocy, by świat, w którym chce żyć, nie zginął. Dopóki trwa wojna, życie jest środkiem zapobiegawczym.

Kamerzysty już nie ma, poszedł szukać ruchliwszego skrzyżowania, ludzi, którzy zaryzykują i dostaną kulę lub otrą się o śmierć, albo przynajmniej będą ją mieć w oczach. Pędzej czy później znajdzie to, czego szuka. To tylko kwestia czasu.

Dragan podejmuje decyzję. Przejdzie na drugą stronę. Żołnierze na wzgórzach nie będą decydować za niego. To jego ulice, zamierza po nich chodzić, kiedy zechce. Za niecałe cztery godziny wiolonczelista zagra po raz ostatni.

Poprawia na sobie płaszcz, potrząsa na wpeł zdętwiałą stopą. Niebo zaczyna się chmurzyć, w powietrzu czuć lekki chłód. Wychodzi na jezdnię. Jego buty szurają o asfalt, gdzieś niedaleko z piskiem przyspiesza samochód. W górze przelatuje niewielki ptaszek. Dragan nie biegnie. Wie, że powinien, ma świadomość, że snajper prawdopodobnie pozostał na swoim stanowisku. Może właśnie w tej chwili obserwuje go przez celownik. Wystarczy, że naciśnie spust, a pozbawi go życia.

Jednak nogi Dragana nic sobie nie robią z nawoływań umysłu. Nie potrafi się zmusić do biegu. Jego ciało leniwym krokiem przemierza jezdnię, mija miejsce, gdzie postrzelono Eminę. Mógłby chodzić dowolną ulicą na świecie. Przypadkowy obserwator uznałby go za starego człowieka na spacerze.

Nic bardziej błędnego. Dragan jest przerażony, jeszcze nigdy w życiu tak bardzo się nie bał. Mimo to nie potrafi przyspieszyć kroku. Przestał już próbować. Nie odrywa oczu od bezpiecznego schronienia po drugiej stronie ulicy i koncentruje całą uwagę na stawianiu jednej nogi przed drugą.

Zaczyna rozumieć. Dopóki nie biegnie, jest żywy. Sarajewo, w jakim pragnie mieszkać, znów istnieje. Gdyby pobiegł, przestałoby mieć znaczenie, czy na ulicy leżą jakieś ciała. Być może inni przechodnie pomyślą, że zbzikował, stracił kontakt z rzeczywistością i nie zależy mu na życiu. Będą w błędzie. Zależy mu bardziej niż kiedykolwiek.

Od początku wojny trwał w śpiączce. Teraz to rozumie. Broniąc się przed śmiercią, oderwał się od życia. Myśli o Eminie, która tyle ryzykowała, by dostarczyć przeterminowane tabletki nieznajomej osobie. O młodym człowieku, który wybiegł na ulicę, by ją ratować. O wiolonczeliście grającym dla zabitych w ataku mózdzierzowym. Mógłby teraz pobiec, ale nie chce.

Czeka na wystrzał, na przeznaczoną mu kulę, lecz ta nie nadlatuje. Dziwi go to i zarazem nie dziwi. W gruncie rzeczy to zawsze loteria. Nieważne. Będzie, co ma być. Do jednych szczęście się uśmiecha, do innych nie.

Dociera na drugą stronę. Nie zajęło mu to wcale dużo czasu, lecz ma wrażenie, jakby upłynął kawał jego życia. Dobrze, że kamerzysta zniknął. To by się zupełnie nie nadawało do telewizji. Starszy mężczyzna przechodzi przez ulicę. Nic się nie dzieje. Kto by to chciał oglądać?

Idzie na zachód, w stronę piekarni. Zostało mu jeszcze dziesięć minut drogi. Kiedy jednak wyczuwa w kieszeni plastikowy słoiczek oraz karteczkę z adresem, uświadamia sobie, że trochę się spóźni. Ale nie więcej niż pół godziny. Odbierze swój bochenek i wróci tą samą trasą, nie przejmując się snajperem. Po drodze do domu zahaczy o ulicę na południe od bazaru i poczeka do czwartej, by później opowiedzieć Eminie, jak wyglądał ostatni koncert wiolonczelisty.

Uśmiecha się do starszego mężczyzny idącego w przeciwnym kierunku. Tamten go nie widzi, w ogóle nie odrywa oczu od ziemi.

– Dzień dobry – odzywa się Dragan pogodnym tonem.

Nieznajomy podnosi wzrok. Wydaje się zaskoczony.

– Dzień dobry – powtarza Dragan.

Mężczyzna kiwa głową, uśmiecha się i również życzy mu dobrego dnia.

STRZAŁA

Mruga oczami. Długo czekała. Spała dobrze, nie obudziła się ani razu. Nasłuchiwała konkretnego dźwięku i wreszcie go słyszy. Echo kroków na korytarzu, ciężkie buty na schodach. Starają się być cicho, lecz akustyka klatki schodowej im tego nie ułatwia. Strzała otwiera oczy. Wciąż jest wcześnie rano, nie ma jeszcze siódmej.

Minęło dziesięć dni, odkąd zostawiła Hasana na czternastym piętrze siedziby parlamentu, odkąd zdezerterowała z oddziału morderców. To jej pierwsza noc we własnym mieszkaniu od tamtej pory – i już ją znaleźli. Nie sądziła, że będą tak skuteczni.

Rewolwer ojca leży na stoliku obok niej. Jest naładowany, gotowy do użycia, lecz Strzała nie wyjmuje ręki spod warstwy koców. Zastanawia się, jaka dziś będzie pogoda. Wczoraj zanosilo się na deszcz, ale nigdy nie można być pewnym, co przyniesie kolejny dzień. Oby padało. Miasto potrzebuje wody.

Polowanie trwa już dziesiąty dzień; znaleźli ją, ponieważ im pozwoliła. Przez cały czas wiedzieli, gdzie się ukrywa, wiedzieli, że jest w którymś z budynków na ulicy wiolonczelisty, ale mimo wielu prób nie zdołali jej namierzyć. Dwa razy miała na celowniku głowę Edina Karamana, lecz nie pociągnęła za spust. Odkąd zabiła snajpera, który miał zastrzelić wiolonczelistę, nie oddała ani jednego strzału. Była jednak gotowa to zrobić, gdyby zaszła taka konieczność. Prawdopodobnie to dzięki niej wiolonczelista nadal żyje.

Grał przez dwadzieścia dwa dni, tak jak zapowiedział. Codziennie o czwartej po południu, nawet gdy toczyły się zażarte walki. Czasem miał słuchaczy. Czasem ostrzał ze wzgórz był tak intensywny, że nikomu przy zdrowych zmysłach nie przyszłoby do głowy tkwić na ulicy. Wiolonczeliście zdawało się to nie robić różnicy. Zawsze grał dokładnie tak samo. Jedyne odstępstwo od reguły miało miejsce ostatniego dnia.

Strzała leżała niewidoczna w swojej kryjówce. Wyczuła, że wiolonczelista wychodzi na zewnątrz, ale zanim jeszcze zaczął grać, już wiedziała, że nikt nie będzie próbował go zabić. Żołnierze na wzgórzach dali za wygraną. Rozluźniła się i zdjęła palec ze spustu. Gdy wiolonczelista zaczął grać, spojrziała w dół, na ulicę. Było tam pełno ludzi. Nikt się nie ruszał. Wszyscy stali nieruchomo i choć widać było po nich, że słuchają w skupieniu, to jednocześnie sprawiali wrażenie nie do końca obecnych.

Strzała pozwoliła, by spokojny rytm drżących strun przeniknął ją na wskroś. Smutek ścisnął jej gardło, powstrzymała łzy. Oddychała szybko i gwałtownie. Oczy

zwilgotniały. Dźwięki pięły się po skali. Żołnierze na wzgórzach, żołnierze w mieście, ona sama – nikt nie miał prawa robić tego, co robił. Ta wojna się nie wydarzyła. Nie mogła się wydarzyć. Znała jednak te dźwięki. Wrosły w nią. Mówiły, że to wszystko wydarzyło się naprawdę i nic się na to nie poradzi. Żaden smutek ani złość, ani szlachetny uczynek tego nie cofną. Można to jednak zatrzymać. Tamci na wzgórzach nie muszą być mordercami. Obrońcy miasta nie muszą się upadlać. Ona nie musi mieć w sobie tyle nienawiści. Ta muzyka kazała o tym pamiętać, przypominała, że świat wciąż jeszcze może być dobry.

Strzała zamknęła oczy. Kiedy je otworzyła, muzyka już ucichła. Wiolonczelista jeszcze długo siedział na taborecie. Płakał. Głowę miał pochyloną, parę czarnych kosmyków opadło mu na czoło. Jedną ręką zakrył twarz, drugą tulił pudło wiolonczeli. W końcu wstał i podszedł do sterty kwiatów, która rosła nieprzerwanie, odkąd wybuchł tutaj pocisk. Patrzył na nią przez chwilę, po czym dorzucił swój smyczek. Ludzie stali nieruchomo. Wstrzymali oddech, czekając, aż przemówi. Ale wiolonczelista milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Odwrócił się, zabrał taboret i zniknął w drzwiach kamienicy, nie oglądając się za siebie. Tłum zaczął się powoli rozchodzić, ludzie jeden po drugim wracali do własnych spraw.

Kroki rozlegają się na piętrze, tuż przed jej drzwiami. Strzała zerka na rewolwer na stoliku nocnym. Wie dokładnie, co się stanie, jeśli go użyje. Ludzie po drugiej stronie drzwi zginą. Wszyscy co do jednego – a ona przejdzie po ich trupach i wydostanie się na ulicę. Wszystko potrwa zaledwie kilka sekund. Nic prostszego.

Ale Strzała nie sięgnie po rewolwer. Położyła go tam, bo taki ma zwyczaj, a także dlatego, by zobaczyli, że była uzbrojona i mogła się obronić. Choć może w ogóle nie zwrócą uwagi na ten szczegół. Nieważne. Ważne, że go tam położyła.

Zastanawia się, jak mogłoby wyglądać jej życie, gdyby nie było wojny, gdyby żołnierze na wzgórzach nie zapragnęli, żeby ich znienawidzono, gdyby nie uznali, że jedyną odpowiedzią na ich rzekomą krzywdę są działa, czołgi, granaty. Może wyszłaby za męża. Może zrobiłaby magisterium, znalazła dobrą pracę i ładne mieszkanie, a wieczorami chodziła ze znajomymi do teatru. Może miałaby dzieci. Lubi dzieci, w każdym razie lubiła. Tyle różnych opcji.

Teraz jej możliwości prawie się wyczerpały. Jeżeli sięgnie po broń i zabije ludzi stojących za drzwiami, stanie się uciekinierką. Prędzej czy później będzie musiała znowu kogoś zabić, inaczej zostanie schwytana. Sytuacja zmusi ją, by nienawidziła swoich prześladowców. Strzała nie chce do tego dopuścić. Nikt, czy to na wzgórzach, czy w mieście, nie będzie jej mówił, kogo ma nienawidzić.

Gdy wiolonczelista zniknął w drzwiach kamienicy, zeszła na dół, nie przejmując

się tym, czy ktoś ją zobaczy. Patrzyła na kamienie brukowe, na porozbijane okna, na stertę kwiatów. Nie myślała o niczym, bo wszystko przemyślała już tysiąc razy. Po prostu tam stała. Wiolonczelista już tu nie wróci. Nie będzie kolejnych koncertów. Było jej smutno, że to już koniec. Pochyliła się i położyła swój karabin obok smyczka.

Za kilka sekund drzwi się otworzą. Wpadnie czterech mężczyzn, a może więcej, i nafaszerują ją kulami. Nie potrwa to długo, najwyżej kilka sekund, potem zrobi im się głupio, że byli cali w nerwach.

Słyszy, jak jeden z nich robi krok do tyłu. Zaraz kopnie w drzwi. Zamyka oczy, przypomina sobie dźwięki, które słyszała zaledwie wczoraj, melodię, która umilkła, lecz pozostała w jej sercu. Otwiera usta i na moment przed tym, zanim drzwi wylecą z zawiasów, mówi cichym, ale mocnym głosem:

– Mam na imię Alisa.

POSŁOWIE

Niniejsza powieść – chcę to wyraźnie zaznaczyć – nie odzwierciedla prawdziwej chronologii oblężenia Sarajewa. Przedstawiony tutaj porządek wydarzeń w rzeczywistości byłby niemożliwy. Z konieczności skróciłem trzy lata do niespełna jednego miesiąca. Mam jednak nadzieję, że książka wiernie oddaje ducha tamtych zdarzeń.

Dwudziestego siódmego maja 1992 roku o godzinie czwartej po południu kilka pocisków moździerzowych spadło na tłum ludzi czekających na chleb na tyłach bazaru przy ulicy Vase Miskina. Dwadzieścia dwie osoby zginęły, a co najmniej siedemdziesiąt zostało rannych. Przez dwadzieścia dwa dni Vedran Smailović, znany sarajewski wiolonczelista, codziennie odgrywał w miejscu tragedii *Adagio g-moll*, by uczcić pamięć ofiar. Jego gest zainspirował mnie do napisania tej książki, ale postać wiolonczelisty nie jest wzorowana na prawdziwym Smailoviću, który w grudniu 1993 roku zdołał wyjechać z Sarajewa i obecnie mieszka w Irlandii Północnej.

Pseudonim „Strzała” zaczerpnąłem z audycji dokumentalnej *Snajper* wyprodukowanej przez duńskie radio. Wykorzystano w niej fragmenty wywiadu ze snajperką, która przedstawiła się jako Strzała (*Strijela*), podano jednak niewiele informacji na jej temat. Mimo prób nie udało mi się jej odnaleźć; być może nie żyje. Postać Strzały przedstawiona w niniejszej książce została przeze mnie wymyślona.

Oblężenie Sarajewa, najdłuższe oblężenie miasta w historii nowożytnej wojskowości, rozpoczęło się 5 kwietnia 1992 roku i trwało aż do 29 lutego 1996 roku. Według szacunków Organizacji Narodów Zjednoczonych zginęło w nim około dziesięciu tysięcy ludzi, a pięćdziesiąt sześć tysięcy zostało rannych. Codziennie spadało na miasto średnio 329 pocisków moździerzowych, a w rekordowym dniu 22 lipca 1993 roku spadło ich 3777. W półmilionowym Sarajewie zniszczono dziesięć tysięcy mieszkań, uszkodzono sto tysięcy. W sumie ucierpiało 64 procent budynków, przy czym 23 procent poważnie. Przywódcy armii bośniackich Serbów Radovan Karadžić i Ratko Mladić zostali oskarżeni o zbrodnie wojenne, lecz przez długie lata udało im się skutecznie ukrywać. Ostatecznie po schwytaniu zostali przewiezieni do Hagi, gdzie obecnie toczy się przeciwko nim postępowanie przed Międzynarodowym Trybunałem Karnym dla byłej Jugosławii.

Mam ogromny dług wdzięczności wobec Dinko Meskovicia, Sany Mesković, Miroslava Nenadicia i Olgi Nesić-Nenadić z Vancouver oraz Aliji Ramovicia z Sarajewa, którzy poświęcili mi wiele, wiele godzin, opowiadając swoje historie, pokazując miejsca, ucząc mnie myśleć jak sarajewianin. Wszyscy oni wniesli duży

wkład w tę książkę, na siebie natomiast biorę wszelkie błędy i nieścisłości. Jestem wdzięczny Sanji Ramović za to, że zechciała „wypożyczyć mi” swojego ojca.

Dziękuję Henry’emu Dunowowi, który gorliwie mnie reprezentował i wykonał kawał znakomitej pracy. Michaela Heywarda poczytuję za najwspanialszego żyjącego Australijczyka. Dziękuję Mandy Brett, Sarze McGrath, Raviemu Mirchandaniemu i Rosemary Shipton za entuzjazm i wsparcie redaktorskie. Diane Martin, mojej przyjaciółce i redaktorce, nigdy nie zdołam się w pełni odwdziżyć, ale mimo wszystko będę próbował.

Radą i wsparciem służyli mi Anne Beilby, Nina Ber-Donkor, Sarah Castleton, Marita Dachsel, Louise Dennys, Lara Galloway, Angelika Glover, Anthony Goff, Nancy Lee, Jeff Moores, Emiko Morita, Adrienne Phillips, Sarah Stein, Timothy Taylor, John Vigna, Hal Wake, Terrence Young i Patricia Young. Przyjaciele i rodzina cierpliwie znosili moją nieobecność, drażliwość i roztargnienie. Dziękuję moim niezastąpionym przełożonym, kolegom i koleżankom z programu kreatywnego pisania na University of British Columbia. Dziękuję Simon Fraser University Writer’s Studio, wydziałowi pisarskiemu University of Victoria oraz Sage Hill Writing Experience. Składam również podziękowania Canada Council for the Arts za udzieloną mi pomoc finansową.